



INSTYTUT
DZIEDZICTWA
SOLIDARNOŚCI

REDAKCJA | KRZYSZTOF NOWAK

AL- FA- BET

SOLIDARNOŚCI

Barbara **FEDYSZAK-RADZIEJOWSKA** | Andrzej **HORUBAŁA** | Paweł **JANOWSKI** | Jan **PIETRZAK** |
Piotr **SEMKA** | Barbara **SUŁEK-KOWALSKA** | Wojciech **TOMCZYK** | Mateusz **WYRWICH**

A L F A B E T S O L I D A R W O Ś C I

**AL-
FA-
BET**

SOLIDARNOŚCI



INSTYTUT
DZIEDZICTWA
SOLIDARNOŚCI

PROJEKT OKŁADKI I PROJEKT TYPOGRAFICZNY

Agnieszka Popławska

REDAKCJA

Krzysztof Nowak

WSPÓŁPRACA REDAKCYJNA

Wojciech Krasucki

SKŁAD I ŁAMANIE

Andrzej Owsiany

KOREKTA

Mirosław Wójcik

Copyright © Instytut Dziedzictwa Solidarności, 2020

WYDAWCA

Instytut Dziedzictwa Solidarności

Wały Piastowskie 24

80-855 Gdańsk

tel. (+48) 888 804 327

e-mail: sekretariat@ids1980.pl

www.ids1980.pl

DRUK I OPRAWA

Zakład Poligraficzny SINDRUK, Opole

WYDANIE I

Gdańsk 2020

e-ISBN 978-83-957269-6-5

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

WSPÓŁZAŁOŻYCIEL IDS



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

NSZZ
Solidarność
KOMISJA KRAJOWA

40
Solidarność

SPIS TREŚCI

Wstęp	IX
A	1
Akowcy w Solidarności	2
Aktorzy	4
Artyści i Solidarność	6
B	7
Bitwa o kuratora w Lublinie	8
Blokada ronda	10
Blokada ronda latem 1981 r.	12
Bogdan Borusewicz	13
Brygada Kryzys	15
C	17
Wiesław Chrzanowski (1923–2012)	18
D	19
Demokracja socjalistyczna	20
Dlaczego właśnie Gdańsk?	22
Dolinka Katyńska	24
Duszpasterstwa akademickie	26
Duszpasterze Solidarności	27
E	29
EA – Element Antysocjalistyczny	30
G	31
Przemysław Gintrowski (1951–2012)	32
Józef kardynał Glemp	34

Goście z Zachodu	35
Andrzej i Joanna Gwiazdowie	37
J	39
Jan Paweł II	40
K	41
Jacek Kaczmarski (1957–2004)	42
Kapelani Solidarności	44
Karnawał Solidarności	46
Kluby Służby Niepodległości i Kluby Rzeczypospolitej Samorządnej	48
Komisja zakładowa	50
Komitety Obrony Więzionych za Przekonania	52
Krzyż Katyński braci Melaków	55
L	57
„Laborem exercens”	58
Lipcowa podwyżka i przyziemne postulaty	59
Lipcowe porozumienia na Lubelszczyźnie	61
Ludzie Grudnia '70	66
Ł	69
Ładni ludzie, normalny język	70
W	71
Marsze głodowe	72
Matryca białkowa	73
Mediatorzy	74
„Miś”	76
Msza radiowa	77
N	79
Nawiedzeni	80
Niezależne Zrzeszenie Studentów	81

Niezależni uczniowie i harcerze	83
Nowa, NOWa, czyli Niezależna Oficyna Wydawnicza	86
Nowomowa	87
NSZZ „Solidarność” społeczny fenomen solidarności	89
O	91
Jan Olszewski (1930–2019)	92
Oświata i Solidarność – na Lubelszczyźnie inna niż wszystkie	94
P	97
Papież i Solidarność	98
Piosenka prawdziwa	100
Po raz pierwszy	102
Pomnik Powstańców Warszawskich w Słupsku	104
Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej	106
Półkownik	108
Prasa solidarnościowa	110
Przestraszeni komuniści	113
R	117
Regiony, czyli regionalne siedziby władz Solidarności	118
Religijność strajkujących	120
Reportaż Samitowskiego	123
Rolnicza Solidarność NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność”	124
S	127
Sojusz robotników i inteligencji	128
Solidarni z rodziną	130
Strach w sierpniu	132
Strajk czynny kroczący	133
Strajk studencki	134
Strajk w PLL LOT i sowiecki desant	135
Strajk w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej	136

Strajkowe msze święte / Msza i krzyż w Hucie „Warszawa”	138
Szczudłowski i Mażul – dwa stoczniove dęby	140
T	141
Taczki, czyli wyrzucamy naczelnego	142
Teatr	143
Tydzień Kultury Chrześcijańskiej	145
„Tygodnik Solidarność”	146
„Tysol”, czyli „Tygodnik Solidarność”	148
W	151
Anna Walentynowicz	152
Lech Wałęsa	154
Wniosek formalny	156
Wszystkie seanse zarezerwowane	158
Wydarzenia bydgoskie	159
Krzysztof Wyszkowski	162
Stefan kardynał Wyszyński	163
Z	165
Zamach 13 maja	166
Zamach na papieża i pogrzeb prymasa	167
Zatrzymane miasto Lublin	169
Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald”	171
Zmiana języka	172
Związek Zawodowy Funkcjonariuszy MO	173
Ż	175
Żeby Polska była Polską	176
Noty o autorach	177
Droga ku wolności	183

WSTĘP

„Alfabet Solidarności” adresujemy w pierwszej kolejności do młodych czytelników, którzy nie pamiętają tamtych wydarzeń i zazwyczaj wiedzą niewiele na temat historii Solidarności.

Chcemy im wyjaśnić, dlaczego my – świadkowie tamtego czasu – upieramy się, że ta historia wciąż jest żywa, że jest tak bardzo ważna nie tylko dla nas, lecz także dla młodych Polaków. Bo przecież z pewnością historia Solidarności jest fascynująca oraz inspirująca także dzisiaj. Zawiera w sobie pozytywną narrację o Polsce i Polakach.

Każde pokolenie dorasta stopniowo do szacunku dla swych przodków. Bo bez wiedzy, kto poprzedzał nas w sztafecie pokoleń – nie jesteśmy w stanie zrozumieć samych siebie. Nawet jeśli zgodnie z prawem młodego wieku kpimy z tradycji, demonstrujemy, że nic nas ona nie obchodzi – przychodzi później taki moment, gdy nam tej wiedzy jednak brakuje. A ona jest nam potrzebna jak tlen.

Historia Solidarności nie tylko inspiruje, ale także pozwala zachować szacunek dla swych przodków i dla swojego narodu. Daje wiarę w sens walki o niepodległe państwo, w sens patriotyzmu, odwagi cywilnej, altruizmu, miłości bliźniego oraz dobrze pojętego pluralizmu i tolerancji. Takie dziedzictwo obejmuje tradycja Solidarności.

By o tym opowiadać, wybraliśmy formę łatwiejszą w percepcji niż książka naukowa, z nadzieją, że mogą po nią sięgnąć także ci, którzy zazwyczaj nie czytają owych książek naukowych. Stąd pomysł na format „Alfabetu Solidarności” z krótkimi tekstami w formie haseł encyklopedycznych. Książka zawiera alfabetyczny zbiór nazw, pojęć, haseł lub nazwisk, które stanowią swoisty, syntetyczny przewodnik po historii karnawału Solidarności w latach 1980–1981. Teksty nie mają charakteru naukowych opracowań. Są to raczej świadectwa autorów, którzy zazwyczaj w formie felietonu opisują fenomeny wolnościowej rewolucji w rozmaitych stylach i konwencjach. Grupa autorów, którzy przyjęli nasze zaproszenie do udziału w tym projekcie, jest bardzo różnorodna i pluralistyczna, jak sama Solidarność. Łączy ich jednak przekonanie, że wszyscy jesteśmy dłużnikami i zarazem dziedzicami Solidarności i że warto o tym opowiadać.

Oddając w ręce czytelników „Alfabet Solidarności”, chcemy pokazać tę jaśniejszą stronę naszej historii, która dzisiaj nadal inspiruje pozytywną energią tamtego czasu bo... „Nie ma wolności bez Solidarności”.

Krzysztof Nowak



Akowcy w Solidarności

Już w okresie powstawania w drugiej połowie lat 70. trzech największych formacji opozycyjnych – Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”, Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO) oraz Ruchu Młodej Polski – ludzie aktywni dawniej w Armii Krajowej i innych organizacjach wojennego podziemia odgrywali w nich znaczącą rolę. W KOR, a potem w KSS „KOR” byli to Antoni Pajdak oraz Jan Józef Lipski, obaj aktywnie uczestniczyli w Armii Krajowej. Mentorem Ruchu Młodej Polski był z kolei Wiesław Chrzanowski, żołnierz Narodowej Organizacji Wojskowej oraz powstaniec warszawski. Czołową postacią Polskiego Porozumienia Niepodległościowego i współpracownikiem KOR był Jan Olszewski, uczestnik Szarych Szeregów zaangażowany w próby wywołania Powstania Warszawskiego na prawym brzegu Wisły. W Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela z pokolenia akowskiego na pierwszy plan wysuwał się Stefan Kaczorowski, prezes konspiracyjnego zarządu społecznego Stronnictwa Pracy, a później członek Konspiracyjnej Rady Jedności Narodowej oraz w czasie Powstania Warszawskiego żołnierz Oddziału Krybar na Powiślu.

Gdy wybuchł ruch Solidarności, dziesiątki tysięcy żołnierzy Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych oraz powojennego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” zaliczało się wówczas do pokolenia około 60-latków, wciąż stosunkowo aktywnego. Zazwyczaj nie byli w pierwszym szeregu inicjatorów nowego ruchu, ale natychmiast gorąco poparli nową solidarnościową rewolucję. Wiesław Chrzanowski opracowywał statut Solidarności, Jan Olszewski był doradcą prawnym Związku. Andrzej Wielowieyski, inny żołnierz AK, był członkiem Komisji Ekspertów przy Prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego podczas strajków w sierpniu 1980 r. W 1981 r. został powołany na kierownika ekspertów NSZZ „Solidarność” zgrupowanych w ramach Ośrodka Prac Społeczno-Zawodowych. Ale i same środowiska byłych akowców zakładały koła kombatanatów Solidarności. Regiony Związku były oparciem dla pierwszych grup, w których spotykały się wcześniej znajdujący się na marginesie społeczeństwa żołnierze podziemia narodowego i powojenni żołnierze wyklęci.

O atmosferze tamtych czasów dotyczącej weteranów Polski podziemnej świadczy wzruszająca relacja. W numerze 35 „Tygodnika Solidarność” z 20 listopada zamieszczono znamieny list byłego żołnierza AK Henryka Żuka z Warszawy. Wspomina on, jak rocznicę 11 listopada 1981 r. uczcił, przyłączając się do demonstracji rocznicowej. „Wymalowałem transparent z napisem: »AK« i udałem się z nim pod katedrę św. Jana (...). Ruszył pochód poprzedzany przez liczne zastępy harcerzy. Za nimi my. I tu niespodzianka. Na widok naszego transparentu milczące dotąd tłumy widzów, zgromadzone po obu stronach Krakowskiego Przedmieścia, wybuchły oklaskami i okrzykami: »Brawo, narzecie«, »Niech żyje Armia Krajowa«. Wielu zdejmowało czapki i kapelusze, wyciągano do nas ręce, niektórzy wybiegali na jezdnię, wiwatując na cześć żołnierzy AK. I tak przez

całą trasę. (...) Wzruszenie ścisnęło mnie za gardło. Nie jestem skory do płaczu, ale jednak łzy zakręciły mi się w oczach. Po tylu latach zohydźzania naszej przeszłości, naszych często tragicznych walk, po tylu latach fałszowania historii, przeinaczania faktów, nie udało się reżimowi wymazać z pamięci i sympatii warszawiaków Armii Krajowej. Dla mnie i kolegów to była wielka nagroda, to był wielki i najpiękniejszy dzień od chwili zakończenia wojny”.

Cytat jest długi, ale przypomina jedno. Dla tych ludzi walczących za Polskę w latach 1939–1945, dożywających wówczas (1980–1981) swych ostatnich dni, to karnawał Solidarności był triumfem wolności, którego nie zaznali w maju 1945 r. Osobny temat to rola byłych akowców w konspiracji po 13 grudnia. Wielu ludzi podziemia z wdzięcznością wspomina wówczas 70-letnich czy nawet 80-letnich byłych akowców, którzy służyli swoim okupacyjnym doświadczeniem w przygotowywaniu skrytek lub też uczyli młodych zasad konspiracji. Ich wiedza była wtedy bezcenna.

Piotr Semka

Aktorzy

Aktorzy stanowili w Peerelu bardzo widoczną grupę zawodową. Byli obok nielicznych sportowców, kilkunastu pisarzy, artystów i naukowców jedynymi ludźmi znanymi z imienia, nazwiska oraz twarzy. Dla wielu z nich twarz była najważniejsza. Kilkudziesięciu aktorów cieszyło się prawdziwą popularnością. Niektórzy z nich dobrze zarabiali. Co ważne, nieliczni zarabiali znacznie lepiej od innych grup zawodowych. Szczególnie dobrze płaciły kinematografie sowiecka i ernerowska. Także rodzima kinematografia dawała pewne możliwości.

Publiczność identyfikowała się z bohaterami filmowymi. Naturalną kolejną rzeczą publiczność przypisywała cechy swoich ulubionych bohaterów aktorom. Aktorzy byli więc autentycznie lubiani i cenieni. Reprezentowali nas. Kiedy jeden z aktorów dał po twarzy nielubianemu synowi niecierpianego polityka, stał się natychmiast bohaterem narodowym.

Dla władzy wszyscy ludzie popularni i lubiani stanowili łakomy kąsek. Mogli się przydać jako gwiazdy pochodów pierwszomajowych, odbieracze zaszczytów i odznaczeń. Mogli śpiewać, tańczyć, recytować, uświetniać rocznice rewolucji, wyzwolenia, a nawet rocznice powstania PRL. Aktorzy najczęściej zdawali sobie sprawę z trudności swego położenia. Większości z nich udawało się unikać zaangażowania w otwartą propagandę partii i systemu.

Z kompletnie innej strony – wybitna aktorka Halina Mikołajska została członkiem Komitetu Obrony Robotników, z KOR aktywnie współpracował też młody aktor Maciej Rayzacher. Byli za to przykładnie karani przez władze, przede wszystkim nie wolno im było pracować w zawodzie. Teatry były wówczas wyłącznie państwowe, podobnie jak państwowa była produkcja filmowa, radio i telewizja. Zaangażowanie opozycyjne oznaczało dla aktora koniec kariery.

Wtedy przyszedł szok Sierpnia '80. Dotychczasowy podział społeczeństwa na inteligentów i robotli przestał istnieć. Aktorzy teatru Wybrzeże bardzo szybko zjawili się w Stoczni Gdańskiej, by wesprzeć strajkujących. Potem aktorzy gremialnie poparli Solidarność. W ciągu kilkunastu miesięcy legalnego istnienia Związku ludzie teatru uwijali się jak szaleni, by dotrzeć do jak najszerzej publiczności z tekstami świeżo upieczonego noblisty Czesława Miłosza, a także Zbigniewa Herberta. Teatry grały pisarzy emigracyjnych, także opozycyjnych pisarzy zakazanych w swoich krajach: Czechów, Rosjan, Słowaków. Sławomir Mrożek napisał świetne „Pieszko”. Próbowano nawet wystawić „Różę” Stefana Żeromskiego. Cenzura zelżała do tego stopnia, że w teatrach pojawiły się sztuki o Powstaniu Styczniowym. Wcześniej powstanie to było „antyradzieckie”.

Solidarność wyzwoliła w ludziach niezwykłą energię. Umożliwiła realizację przedsięwzięć szalonych, wręcz niemożliwych. W Katowicach dwaj studenci Wydziału Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego – Adam Gessler i Mirosław Kin postanowili wystawić

dwa najsłynniejsze polskie dramaty romantyczne: „Dziady” i „Kordiana” w ciągu jednego wieczoru. Przedstawienie postanowili pokazać w największej hali widowiskowej w kraju – w katowickim Spodku. Przekonali do tego pomysłu śląską Solidarność, przekonali aktorów, m.in. Kalinę Jędrusik, Daniela Olbrychskiego, Krzysztofa Chamca, Jana Świderskiego, Wirgiliusza Grynia i Bogusza Bilewskiego. I wystawili maraton teatralny zatytułowany „Tragedia Romantyczna”. Osiem przedstawień pokazanych w największej hali widowiskowej w kraju zgromadziło ponad 50 tys. widzów. Działo się to w lipcu 1981 r. Dla teatru polskiego to wydarzenie miało skalę lotu na Księżyc. Nigdy przedtem ani nigdy potem nikomu nawet się nie śniły przedsięwzięcia o podobnym rozmachu.

Pięć miesięcy później Jaruzelski wprowadził stan wojenny. Zdecydowana większość aktorów odpowiedziała bojkotem mediów Radiokomitetu. W końcu 1982 r. ich nieobecność w telewizji i radiu ciągle przypominała o ofiarach, o tysiącach więźniów politycznych. Spontaniczny aktorski bojkot był wtedy ważnym świadectwem. Okazało się, że nieobecność może być najbardziej wymowną aktorską obecnością.

Wojciech Tomczyk

Artyści i Solidarność

Temat: „Artyści a Solidarność” przerabiałem, można powiedzieć, na własnym organizmie, od połowy sierpnia 1980 r. Postanowiłem mianowicie pod wpływem wydarzeń reaktywować zlikwidowany w 1978 r. Kabaret pod Egidą, by móc wyartykułować, co nam w duszach gra, w sposób dla nas właściwy: żartem i piosenką. Obdzwoniłem duże grono kolegów występujących ze mną w latach 70., by skompletować ekipę. Wiele osób odmówiło, nie ukrywając, że obawiają się kłopotów. Z tymi, którzy docenili wymiar strajku, pięć dni przed podpisaniem Porozumień Sierpniowych, 25 sierpnia, daliśmy premierę w małej salce hotelu MDM. Jak na Warszawę, miasto zawłaszczone przez komunistyczną „jelitę”, było to wydarzenie rewolucyjne. Po raz pierwszy bez zgody cenzury, nie wiedząc, czym skończy się strajk Solidarności, mówiliśmy rzeczy, jakich od Łaby do Władywostoku nikt nie słyszał. Społeczeństwo było podzielone. Imponująca liczba 10 milionów członków Solidarności dopiero po pewnym czasie dotarła do mediów. Skala buntu robiła olbrzymie wrażenie na świecie, lecz pamiętajmy, że 20 milionów dorosłych obywateli wołało nie występować przeciw realnemu socjalizmowi. Dopiero stan wojenny wymusił radykalizację opinii. Bojkot reżimowej telewizji przez część środowiska aktorskiego był ważnym wsparciem dla postaw niezłomnych, a także przykładem dla innych środowisk artystycznych. Można powiedzieć, że w tamtym momencie artyści „przydali się” Solidarności najbardziej spektakularnie. Przez osiem lat (1982–1989) komuna nie szczędziła sił, by Solidarność zdemolować organizacyjnie, skompromitować ideowo i moralnie – więzienia i internaty, paszporty w jedną stronę, terror wobec księży, pozbawianie środków do życia... i wiele metod „gnojenia”, upokarzania Polaków, którym zachciało się wolności. A z drugiej strony – drugi obieg, czyli bibuła, kasety z zakazanymi piosenkami, nielegalne kabarety, koncerty po domach, Teatr Domowy... Niewspółmiernie nikłe środki i możliwości, by podtrzymać ducha odwagi, który pojawił się pod bramą Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 r. Pojawił się na wezwanie św. Jana Pawła II. Zstąpił, by odmienić oblicze tej ziemi, przybrał nazwę: Solidarność. Przywrócił pamięć bohaterów, legendę wielkich zwycięstw, dumę i godność walecznego narodu... „narodu, który nigdy się nie poddaje”, jak powiedział niedawno amerykański prezydent przy pomniku Powstania Warszawskiego. Wielkim faktem historycznym jest ponowne odzyskanie niepodległości. Dokonali tego Polacy wszystkich profesji, warstw, stanów i klas... niektórzy artyści również mieli szczęście i zaszczyt mieć udział w tym zwycięstwie.

Jan Pietrzak



Bitwa o kuratora w Lublinie

Sprawa toczyła się jesienią 1981 r. Przez cały rok 1980 i w pierwszych miesiącach następnego Solidarność oświatowa dynamicznie się rozwijała. W jej skład wchodziło ok. 310 tys. związkowców w 1136 organizacjach zakładowych. Nadeszła jesień 1981 r. – 2 września na wniosek Komisji Interwencyjnej Sekcji Oświaty i Wychowania Zarząd Regionu Środkowo-Wschodniego wyraził wotum nieufności wobec kuratora Okręgu Szkolnego Lubelskiego Eugeniusza Korolczuka. Zarzucono mu niewłaściwą gospodarkę funduszami, nieustanne i nieuzasadnione zmiany na stanowiskach kierowniczych, kumoterstwo, brak odpowiedniej opieki nad dziećmi specjalnej troski, niesprawiedliwą politykę wobec nauczycieli w wyznaczaniu obowiązków i gratyfikacji, a także obronę skompromitowanych dyrektorów. Pismo otrzymał minister oświaty i wychowania Bolesław Faron, wiedział o nim oczywiście także wojewoda lubelski Eugeniusz Grabiec. Poznali je także wszyscy członkowie Solidarności. Władze milczały. Dni płynęły. 17 września wysłano do Warszawy ponowne pismo z propozycją spotkania w jednej z lubelskich fabryk. Zorganizowano także akcję plakatową – informację rozlepiano w całym Lublinie. Ze strony władz nie było żadnej reakcji.

Aż nadszedł 28 września, gdy Korolczuk podał się do dymisji. Poinformował o tym na zamkniętym spotkaniu dla dyrektorów. Plotki głosiły, że nowym kuratorem ma zostać Kazimierz Jagwodziak, prezes Zarządu Okręgu ZNP, nauczyciel fizyki w IX LO w Lublinie. Nikt tego z Solidarnością nie konsultował, co wywołało powszechne oburzenie. Protestowali nie tylko nauczyciele, ale także inni związkowcy. Władza się nie ugięła i 30 września mianowała Jagwodziaka nowym kuratorem. Próba sił jednak trwała nadal. 7 października odbyło się zebranie 134 przedstawicieli komisji zakładowych szkół i placówek wychowawczych w Domu Kultury Kolejarza w Lublinie. Wystosowano list do ministra oświaty i wychowania. Dwa dni później postulaty nauczycieli poparło Prezydium Zarządu Regionu. Zatwierdzono listę 20 postulatów, które 40 dni później stały się motywem przewodnim strajku nauczycieli Lubelszczyzny. W istocie była to suma wniosków, o których dyskutowano w węższych gremiach już od jesieni minionego roku. Pojawiło się hasło – „Solidarnie ratujemy oświatę”. 20 postulatów można streścić następująco: uspołecznienie oświaty i wychowania, nauczanie prawdziwej historii, poprawa warunków materialnych nauczycieli i reorganizacja nauczania i wychowania. Kilka dni później, 24–25 października, odbyło się II Walne Zebranie Delegatów Sekcji Oświaty i Wychowania – 222 delegatów reprezentowało ok. 12 tys. pracowników. Pojawiła się groźba strajku. Solidarność twardo żądała usunięcia kuratora z ZNP. Napięcie rosło, strony sporu wymieniały między sobą pisma. Ostrzegano ministra Farona. Ten odezwał się dopiero dwa dni po wybuchu strajku – 19 listopada.

Do Lublina przyjechał komunistyczny generał (!) Zygmunt Huszcza, wiceminister oświaty, i natychmiast zmobilizował ZNP do wyrażenia oficjalnego protestu i potępienia

strajku. Doszło do spotkania strajkujących z I sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR i wojewodą. Władza była nieugięta, Solidarność także. 19 listopada rozpoczął się „strajk czynny kroczący” – trwał do 3 grudnia, kiedy to na pierwszej zmianie lekcyjnej nastąpiło zawieszenie strajku, z pozostawieniem gotowości strajkowej aż do podpisania pełnego porozumienia, które miało nastąpić 31 grudnia 1981 r.

W strajku uczestniczyli nauczyciele z 25 szkół ponadpodstawowych, pracownicy Wojewódzkiej Biblioteki Pedagogicznej w Lublinie oraz nauczyciele dwóch szkół w Świdniku i jednej w Kraśniku. Komuniści byli wściekli. „W Lublinie popełniono zbrodnię! – wciągnięto dzieci, młodzież do strajku, w sprawy dorosłych” – grzmiał Komitet Wojewódzki PZPR. Media propagandowe usłużnie powielały partyjną narrację. W Lublinie w tym okresie przebywał Adam Siedlecki, doradca wicepremiera Mieczysława Rakowskiego, który „spontanicznie” publicznie zadawał pytanie: „Czy strajki są inspirowane z zewnątrz?”. Straszono anarchią wzniecaną przez grupę „warcholów”, ponadto strajk był „niedopuszczalną formą protestu, zbrodnią polegającą na wciąganiu młodzieży w sprawy dorosłych” – propaganda komunistyczna w pełnej krasie.

Po wielodniowych negocjacjach, w obecności członków Prezydium Zarządu Regionu podpisano porozumienie wstępne między wojewodą lubelskim a Regionalnym Komitetem Strajkowym Szkół. Postanowiono: 1) powołać społeczne rady oświaty i wychowania; 2) uznać oficjalnie Niezależny Ruch Harcerski i Federację Młodzieży Szkolnej oraz zapewnić udzielenie pomocy w ich działalności; 3) zezwolić na kontynuowanie zajęć specjalnych i zainicjowanych zmian w treściach i metodach nauczania historii, języka polskiego, elementów filozofii, nauk społeczno-ekonomicznych i etyki; 4) zobowiązać do niewyciągania konsekwencji w stosunku do osób, które brały udział w strajku.

Do rozpatrzenia pozostałych postulatów, w tym tematu kuratora, powołano 7-osobową grupę roboczą składającą się z przedstawicieli obu stron. Miała ona do 31 grudnia przedstawić protokół uzgodnień. Taki był plan. Ale po drodze był 13 grudnia 1981 r. i czołgi Jaruzelskiego na ulicach.

Paweł Janowski

Blokada ronda

W czasie wielkiej Solidarności imprezy i manifestacje organizowano na wielką skalę. Po latach spędzonych w lęku i samotności ludzie postanowili spotykać się w grupach co najmniej wielotysięcznych. To wtedy „Dziady” i „Kordian” były grane w katowickim Spodku. To wówczas wielotysięczne tłumy uczestniczyły w marszach, wiecach i uroczystościach. Jednym z takich *eventów* była Blokada Ronda. Trwała trzy dni: 3–5 sierpnia 1981 r. Rondem, które zablokowano, było skrzyżowanie ul. Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi (dzisiejsze rondo Romana Dmowskiego). Było to wówczas komunikacyjne serce stolicy.

30 lipca 1980 r., w odpowiedzi na obniżenie tydzień wcześniej (i tak niewysokich) kartkowych przydziałów mięsa i jednocześnie podniesienie jego cen (już wcześniej wysokich), Solidarność zapowiedziała protesty. Na 3 sierpnia zaplanowano demonstracyjny przejazd ciężarówek, autobusów i taksówek przez śródmieście Warszawy. W Krakowie, Łodzi i w dziesiątkach innych miast odbywały się w tym czasie marsze głodowe.

W komunie o wszystkim, także o cenach, decydował rząd. Wolny rynek był w systemie „sprawiedliwości społecznej” zjawiskiem nieznanym. Ograniczanie dostaw i zmniejszanie przydziałów kartkowych nie było wynikiem konieczności. Doprawdy trudno uwierzyć, że Polska, kraj od wieków będący spichlerzem Europy, trzydzieści kilka lat po wojnie stanął na krawędzi głodu. Braki w zaopatrzeniu w żywność były wynikiem świadomej polityki władz. Żywność magazynowano, tak by po wprowadzeniu stanu wojennego wytworzyć wrażenie poprawy zaopatrzenia. Komuniści dążyli do wytworzenia w społeczeństwie wrażenia, że to sierpniowe strajki i powstanie Solidarności zaowocowały spustoszeniem rynku. Jaruzelski chciał zmęczyć społeczeństwo, pogrążyć je w apatii. Jego celem było przecież wprowadzenie stanu wojennego, pacyfikacja narodu.

3 sierpnia 1981 r. o godz. 10 ciężarówki i autobusy ruszyły. Na rondzie czoło kolumny zostało zatrzymane przez milicyjną blokadę. Protestującym uniemożliwiono przejazd przed znajdującym się kilkaset metrów dalej gmachem Komitetu Centralnego PZPR. Do stojących autobusów i ciężarówek dołączyły tramwaje. Pantografy poszły w dół. Jak wszystkie imprezy organizowane przez Solidarność także blokada ronda imponowała doskonałą organizacją i porządkiem. Tak było zawsze, kiedy Solidarność brała we władanie jakikolwiek fragment terytorium Peerelu. Taki teren natychmiast stawał się enklawą porządku w oceanie peerelowskiej, sowieckiej bylejakości. Na obszarze, gdzie ludzie organizowali się sami, bez „pomocy” komuny, zniknął brud, bałagan, chamstwo. Nikt nie naruszał porządku, którego, dla uniknięcia prowokacji, pilnowała straż robotnicza. W pierwszym autobusie zorganizowano bar, w drugim ulokowało się kierownictwo akcji, w trzecim – centrum informacji dla obywateli i dla prasy, dalej był punkt sanitarny.

Na terenie blokady zniknęła też wszechobecna w komunie nuda. Z boku ronda (tam gdzie dziś mieści się „patelnia” przed stacją metra Centrum) wybudowano estradę, na której wystąpili Jacek Fedorowicz i Jan Pietrzak. Emitowano zapis rozmów w stoczni z sierpnia 1980 r. Prowadzono wykłady, recytowano wiersze. W kilka godzin otwarto wystawę poświęconą Sierpniowi. Warszawiacy odebrali blokadę bardzo dobrze. Pomimo pewnych uciążliwości (komunikacja miejska w Warszawie działała w czasie blokady jeszcze gorzej niż zwykle) przechodnie popierali blokujących. Blokadę zakończono 5 sierpnia. Wszyscy osiągnęli swoje cele. Solidarność pokazała siłę i solidarność właśnie. Władza pokazała, że jest zdeterminowana, by bronić Komitetu Centralnego PZPR, czyli siebie samych i własnych interesów.

Wojciech Tomczyk

Blokada ronda latem 1981 r.

Strajk warszawskiej komunikacji w sierpniu 1981 r. to jedno z bardziej spektakularnych wydarzeń karnawału Solidarności. Znalazłem się na rondzie zupełnie nieoczekiwanie. Z dwojgiem dzieci w wieku 7 i 8 lat pakowaliśmy się do wyjazdu na Mazury. Nagle wpadło dwóch mężczyzn, którzy powołując się na Seweryna Jaworskiego z Regionu Mazowsze, kategorycznie zażądali, bym jechał z nimi na strajk. Seweryna znałem wcześniej, uroczy chaos organizacyjny również, więc zabrałem dzieciaki i pojechaliśmy. Na znanym skrzyżowaniu ulic panował dziwaczny bałagan. Tramwaje i autobusy tkwiły w nieoczekiwanych miejscach, widać było ponure kordony ZOMO i ruchliwy, podenerwowany tłum. Ktoś mi rzucił w ucho ocenę sytuacji: „Jesteśmy o jedno rondo za blisko”. Jak wiadomo, przy następnym rondzie stał ówczesny „Kumitet Cyntralny naszjy partii”. Powodem strajku była fatalna sytuacja zaopatrzeniowa. Kiedy wypchnięto mnie na scenę, zacząłem tak: – Pozdrawiam klasę robotniczą, której przez 30 lat wmawiano, że tu rządzi i ona uwierzyła. Dziś rządzi na rondzie! – Nie należy się denerwować z powodu kolejek po mięso. One świadczą o tym, że mięso jest! – Jeżeli gdzieś mięsa nie starczy dla wszystkich, to losować! Samochody się losuje, kiełbasę też można i wątróbkę. Socjalizm loteryjny wprowadźmy. Wylosujesz – żyjesz, nie – to kopa i już! Po cholere nam pechowcy? – To się wszystko w pale nie mieści, jak powiada milicjant, który mi cielęcinę do domu przynosi. – Grożą nam, że sąsiedzi mogą wkroczyć do akcji, ale ponieważ grożą najlepszymi przyjaciółmi, to się nie boimy! Dzięki sąsiadom zimę mieliśmy lekką. Wszystkie granice waciakami obłożyli. A prawdę mówiąc – socjalizm jest jak papier toaletowy. Ciągłe się rozwija i zawsze do d... Wprowadźcie socjalizm na Saharę, po tygodniu piachu zabraknie!... itd. itp. Występ trwał około godziny. Moje dzieci, Jasia i Mikołaj, kręciły się pod nogami. Ludzie podawali im jakieś fanty, soczki do picia, nawet barszczyki z krokietami przyniósł im kelner z hotelu. Kiedy śpiewaliśmy w wielkim uniesieniu „Żeby Polska była Polską”, w sercu Warszawy, obok pałacu Stalina, wiedziałem, że zwyciężymy. Chwilę po skończeniu występu dwaj esbecy złapali mnie pod ramiona, wpakowali do suki i zawieźli na długie przesłuchanie. Wypuszczony po wielu godzinach miałem już pewność, że Polska wygra. Wściekłość esbeków była przekonująca, przerażenie autentyczne.

Jan Pietrzak

Bogdan Borusewicz

To on zaprojektował strajk w sierpniu 1980 r. W mieszkaniu Piotra Dyka 8 sierpnia fetowano wypuszczonych z więzienia działaczy Ruchu Młodej Polski: Dariusza Kobzdeja i Piotra Szczudłowskiego. Na domowej imprezie zgromadziły się wszystkie odłamy trójmiejskiej opozycji antykomunistycznej. Być może właśnie korzystając ze sporej liczby osób i ogólnego rozgardiaszu, Bogdan Borusewicz zrobił w trakcie tego spotkania krótką naradę na temat potrzeby zorganizowania strajku w gdańskiej stoczni. Bezpośrednią jego przyczyną było ostateczne zwolnienie z pracy Anny Walentynowicz. Najważniejsze ustalenia zapadły na schodach i na podwórku. Co ciekawe, obecny wówczas Wałęsa odnosił się niechętnie do idei protestu. Ale ostatecznie zgodził się wziąć udział. Faktem jednak pozostanie, że kluczowego dnia 14 sierpnia 1980 r. strajk zainicjowali Jerzy Borowczak, Ludwik Prądzyński i Bogdan Felski bez Wałęsy. Do dziś nie wiadomo, dlaczego pierwsze kilka godzin strajku spędził on poza stoczną. Bogdan Borusewicz był cichym architektem protestu w gdańskiej stoczni. To on pomagał zorganizować straż robotniczą, która pilnowała porządku i zapobiegała prowokacjom. Bogdan Borusewicz był też aktywny przy pisaniu postulatów strajkowych. Wielu przyjaciół nazywało go Borsukiem. Oddawało to dobrze jego styl bycia. Małomówny, skryty, ostrożny, lubił zachowywać wiele tajemnic podziemia wyłącznie dla siebie. Niektórzy przypisywali to pochodzeniu jego rodziców z Wileńszczyzny, gdzie antykomunizm łączył się z poważnym traktowaniem zagrożenia ze strony komunistów. Borusewicz zawsze chodził sam swoimi drogami. W 1968 r. w czasie rewolty studentów był uczniem Liceum Plastycznego w Gdyni. Zdobył strajkowe ulotki i powielał je w ciemni fotograficznej, robiąc odbitki na papierze fotograficznym. Wtedy po raz pierwszy SB wpadła na jego trop i po procesie został skazany na surową karę trzech lat więzienia. Na szczęście latem 1969 r. władza cofnęła się i zatrzymani w czasie wydarzeń marcowych wyszli na wolność. Borusewicz jedzie wtedy do Lublina na jedną z dwóch katolickich uczelni – słynny KUL. Tam odbywa przyspieszoną edukację opozycyjną. Po powrocie do Gdańska szybko znajduje drogę do Komitetu Obrony Robotników. W końcu lat 70. jest ważnym łącznikiem między trójmiejską opozycją a KOR-owcami. Umiejętności doskonałego organizatora wykorzystuje w czasie sierpniowego strajku. Ale gdy wybucha wielki ruch Solidarności, wszystkie jego zalety konspiracyjne zaczynają być kulą u nogi. Solidarność staje się masowym ruchem opartym na systemie demokratycznych wyborów. Małomówny, mrukliwy Borusewicz przegrywa rywalizację z domorosłymi trybunami ludowymi, którzy robią kariery jako przedstawiciele wielkich zakładów pracy. Słynna była agresywna zaczepka w czasie jednej z burzliwych dyskusji na temat kształtu Solidarności: „A pan to zasadniczo jaki zakład reprezentuje?”. Takie były skutki tego, że do ruchu Solidarności zapisywało się coraz więcej osób, które nie znały przedsierpniowego panteonu opozycjonistów. Borusewicz z coraz większą irytacją obserwuje powstawanie rozdętego aparatu

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

związkowego. Zaczyna też zauważać, że u części działaczy pojawia się interesowność i strojenie się w piórka. To wszystko jest mu jak najbardziej obce i jesienią 1981 r. powoli odsuwa się od Związku. Ale konspiracyjny siódmy zmysł każe mu wyczuwać zbliżającą się konfrontację siłową z władzą. Po cichu przygotowuje bazę poligraficzną na czarną godzinę. 13 grudnia ogłoszenie stanu wojennego wcale go nie zaskakuje. Nie daje się złapać bezpiece i przez kolejne pięć lat jest jednym z najsprawniejszych działaczy podziemia. Po 1990 r. próbuje jeszcze zaangażować się w działalność związkową, ale znów po pewnym czasie uznaje, że nie jest to jego wymarzony cel życia. Wraca do polityki.

Piotr Semka

Brygada Kryzys

Ten zespół muzyczny to najważniejszy głos ostrego rocka w okresie karnawału Solidarności. Grupa powstała w lipcu 1981 r. w Warszawie, została zorganizowana przez Tomasza Lipińskiego (ur. 1955), byłego lidera punkowej grupy Tilt, i Roberta Brylewskiego (1961–2018) z grupy Kryzys. Już sama nazwa dobrze wpisywała się w nastrój lat 1978–1981, a teksty, np. „I tak już nie ma nic”, oddawały wzburzenie i niezgodę młodego pokolenia na PRL. Zespół miał otworzyć swoim koncertem I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”, ale związkowcy wystraszyli się nieco ostrego, postpunkowego brzmienia, które mogłoby być szokiem dla starszej części delegatów. Nawiązaniem do ówczesnej robotniczej rewolucji była okładka płyty z utworami zespołu Kryzys (będącego poprzednikiem Brygady Kryzys), wydanej w 1981 r. przez francuską firmę Barclay, z materiałem nagrany w trakcie próby zespołu w Domu Kultury Ursus. Widnieje na niej uśmiechnięty robotnik wspinający się po schodach wielkiej rafinerii. Tak Francuzi postrzegali solidarnościową rewolucję i taka była siła przyciągania na Zachodzie ówczesnego, owianego aurą rewolucji polskiego rocka.

Piotr Semka



Wiesław Chrzanowski (1923–2012)

Żołnierz Armii Krajowej, powstaniec warszawski, który wspólnie z Janem Olszewskim napisał projekt statutu NSZZ „Solidarność”. Choć był związany z Wielkopolską (jego rodzice mieli tam majątek), to większość życia spędził w Warszawie. Tu się urodził i tu zmarł. Podobnie jak jego ojciec Wiesław senior, który był profesorem Politechniki Warszawskiej, Wiesław junior też zajmował się polityką. Wiesław senior blisko współpracował z Wojciechem Korfantym. Dwukrotnie zasiadał w rządzie, piastując tękę ministra przemysłu i handlu – raz u premiera Grabskiego, innym razem w rządzie Witosa.

Wiesław Chrzanowski junior, późniejszy marszałek Sejmu, również był sposobiony przez ojca do polityki, choć sam marzył o aktorstwie. Dojrzewał w atmosferze dyskusji politycznych, jego wyobraźnię kształtowała również historia pisana przez Berenta, Gąsiorowskiego i Parandowskiego. Gdy miał 15 lat, otrzymał od ojca „Myśli nowoczesnego Polaka” Romana Dmowskiego i od tego czasu sam zainteresował się polityką. Najpierw założył organizację polityczną, później sprawował różne funkcje w przedwojennym harcerstwie. Już w czasie wojny przystąpił do Młodzieży Wielkiej Polski. Trzy lata później organizował konspiracyjną Młodzież Wszepocholską. Jako żołnierz walczył w szeregach Narodowej Organizacji Wojskowej. Walczył w Powstaniu Warszawskim, a po wojnie podjął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Politycznie zaś zaangażował się w działalność Stronnictwa Pracy. Za swoją aktywność był dwukrotnie więziony przez komunistów: w latach 40. i 50. Przez kilkanaście lat, mimo zdanych egzaminów, komuniści odmawiali mu prawa do uprawiania zawodu adwokata. Został wreszcie radcą prawnym specjalizującym się w prawie spółdzielczym. Równolegle prowadził działalność naukową, z czasem uzyskując tytuł profesora zwyczajnego nauk prawnych. W czasie odwilży po 1956 r. Wiesław Chrzanowski nawiązał bardzo bliską współpracę z kardynałem Stefanem Wyszyńskim, która trwała aż do śmierci prymasa. Został też doradcą Episkopatu Polski. To m.in. dzięki Chrzanowskiemu powstały w latach 70. minionego wieku niezależne organizacje młodzieżowe o orientacji narodowo-katolickiej. Z jego inspiracji powstał Ruch Młodej Polski. W 1980 r. wielu uczestników spotkania z profesorem zostało działaczami i liderami NSZZ „Solidarność”. On sam zaś w 1980 r. został doradcą Związku. Był współautorem statutu NSZZ „Solidarność”. – Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że Polska odzyska niepodległość – mówił przed laty Wiesław Chrzanowski. – Kwestią było tylko to, czy ja tego dożyję. Dożył. W wolnej Polsce został współtwórcą Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, nawiązującego ideowo do nurtu narodowego w II RP. Po pierwszych wolnych wyborach w 1991 r. Wiesław Chrzanowski został wybrany na marszałka Sejmu I kadencji. Piastował także stanowiska ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. W 2005 r. został Kawalerem Orderu Orła Białego. Zmarł siedem lat później.

Mateusz Wyrwich



Demokracja socjalistyczna

Demokracja socjalistyczna jest to monumentalny idiotyzm. Nic podobnego nie istnieje. Po prostu każdy przymiotnik dodany do słowa „demokracja” unieważnia to słowo. Przeto „demokracja socjalistyczna” była i jest oksymoronem, wyrażeniem wewnętrznie sprzecznym.

Niestety, propaganda działa i jest skuteczna – m.in. dlatego, że ludzie nie zastanawiają się nad tym, co słyszą. Programowe ignorowanie przekazu propagandowego paradoksalnie może zwiększyć jego skuteczność. W Peerelu wszystkie media powtarzały takie sformułowania jak „demokracja socjalistyczna” po kilkadziesiąt razy dziennie. Sformułowanie to było obecne w każdym wydaniu wszystkich gazet. W tej sytuacji każdy człowiek żyjący poza klasztorem klauzurowym czy eremem kamedulskim stykał się z tym zwrotem kilka razy dziennie. Skoro o czymś się mówi, to znaczy, że to istnieje. Później byty tego rodzaju nazwano „faktami prasowymi”.

Przyjrzyjmy się organom „demokracji socjalistycznej” i ich działaniu. Sejm – naczelny organ władzy państwowej wszystkie decyzje podejmował jednogłośnie. Parlament, który podejmuje decyzje jednogłośnie, po prostu nie ma racji bytu. Ta sytuacja trwała od lat 50. do końca lat 80. Jeśli któryś poseł wyłamał się z jednomyślności, mówiono o tym potem latami. A poseł zniknął. Nominalna, kolegialna głowa państwa – Rada Państwa znana była głównie ze sformułowania „Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski”, stanowiącego dramatyczne *clou* każdego komunikatu o wykonaniu kary śmierci. Rada Narodowa to była oficjalna nazwa sitwy żerującej na dzielnicy, gminie, powiecie czy województwie. Im większa jednostka administracyjna, tym sitwa była większa i bardziej złożona. Oficjalne związki zawodowe dziarsko współpracowały z partią w dziele trzymania pracowników za twarz.

W socjalizmie, w świecie niczym z powieści Orwella, każda instytucja była własnym zaprzeczeniem. Nazwy instytucji należało rozumieć nie tak, jak one brzmiały, tylko dokładnie na odwrót. Oddziały terrorystyczne nazwano Służbą Bezpieczeństwa, partyjne bojówki – Milicją Obywatelską. Atomizacją społeczeństwa kierował oczywiście Front Jedności Narodu. A wszystkim kierowała Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, jak mówiono – ani partia, ani zjednoczona, a zwłaszcza nie polska i nie robotnicza.

Przy okazji warto zauważyć, że przymiotnik „socjalistyczny” miał moc. Jak wiadomo, każde magiczne zaklęcie ma moc. Porządne zaklęcie ma też naturę paradoksalną, ambiwalentną. Może działać w tę i we w tę, uwznioślać i unieważniać jednocześnie. Po pierwsze – jeśli coś było socjalistyczne, to oczywiście nie podlegało krytyce, a nawet dyskusji. Bo wszystko, co socjalistyczne, jest najlepsze z natury. Po drugie wszelako przymiotnik ten wszystko unieważniał. To znaczy wysadzał w powietrze każdy rzeczownik, który dookreślał. Gospodarka socjalistyczna oznaczała GOSPODRAKĘ. „Bohater pracy socjalistycznej” to najczęściej był krzykliwy moczymorda z rady zakładowej

albo w najlepszym razie idiota, który pracował szybciej niż inni i w ten sposób dezorganizował ewentualne wysiłki kolegów. Socjalistyczna organizacja pracy znaczyła tyle, co „burdel na kółkach”. Co oznaczał zwrot „socjalistyczne normy współżycia”, strach zgadywać. W szkołach próbowano lansować nawet „moralność socjalistyczną”. W praktyce okazało się, że oznacza to dwulicowość, upowszechnienie złodziejstwa, przekupstwa i wszechobecne pijaństwo. Zaiste była w tym słowie moc. Solidarność nie używała tego słowa. Ludzie Solidarności mówili o demokracji, nie używając żadnych przymiotników. Wydaje się, że sztuka zaklęcia rzeczywistości nie była im znana.

Wojciech Tomczyk

Dlaczego właśnie Gdańsk?

To, że w wydarzeniach Sierpnia '80 właśnie Stocznia Gdańska im. Lenina wysunęła się na czoło, było wynikiem splotu wielu czynników. Pierwszym i chyba najważniejszym była pamięć o rewolcie robotniczej Grudnia '70. Poczucie krzywdy związanej z masakrą stoczniowców i nieuhonorowaniem ich śmierci tkwiło jak drzazga w podświadomości wielu pracowników zakładu, ale i szerzej mieszkańców Trójmiasta. Świadczyły o tym inicjowane przez Wolne Związki Zawodowe i środowisko pisma „Bratniak” próby składania kwiatów przy bramie stoczni. To, że Gdańsk stał się centrum wydarzeń, było efektem wyłonienia się w latach 70. silnej grupy Wolnych Związków Zawodowych, która stała za planem strajku w sierpniu 1980 r. Tradycje i traumę Grudnia '70 miał też oczywiście Szczecin i Stocznia im. Adolfa Warskiego, jednak siły opozycji były tam mniejsze i to wpłynęło na znacznie mniej dojrzałe sierpniowe postulaty polityczne, towarzyszące żądaniom płacowym.

Jakiś wpływ na to, że władze komunistyczne w Gdańsku nie zdecydowały się na szybką pacyfikację siłową, miało też – rzadko podnoszone – położenie Stoczni Gdańskiej w samym centrum miasta. Od Dworca Głównego PKP w Gdańsku do bramy stoczni jest około 900 m w linii prostej. W innych dużych miastach zakłady pracy, które stały się w sierpniu rozsądnikiem protestu, znajdowały się nieporównanie dalej. Przykładowo: od centrum stolicy do Huty „Warszawa” był dystans 9,5 km. Huta im. Lenina oddalona jest od centrum Krakowa o 10 km. Zajezdnia autobusowa na ul. Grabiszyńskiej we Wrocławiu, gdzie rodziła się Solidarność, jest oddalona od centrum Wrocławia o 3,5 km. Centralne położenie stoczni w Gdańsku powodowało, że główna brama otoczona była ogromnym tłumem ludzi. Ich obecność na pewno utrudniała (choć nie uniemożliwiała w razie determinacji władz) interwencję siłową. Kolejną przyczyną szybkiego przekazywania wiedzy o trwaniu strajku był fakt, że między dworcem Gdańsk Główny a stacją kolejki SKM Gdańsk Politechnika pociągi przejeżdżały tuż obok murów stoczni. To dlatego stoczniowcy umieszczali na nich duże napisy „Strajk trwa” czy „Bóg, Honor, Ojczyzna”. W pamięci wielu gdańszczan utkwił wycięty z białego styropianu spory orzeł z zakazaną wówczas przez władze PRL koroną na głowie, który umieszczony został dokładnie przy trasie przejazdu pociągów.

Był jeszcze jeden czynnik w jakimś stopniu pomagający stoczni. W dniach 20–23 sierpnia w Sopocie odbywał się Międzynarodowy Festiwal Piosenki, który tradycyjnie gromadził wielu dziennikarzy z Polski i zagranicy. Do legendy przeszła nadaktywność ludzi cenzury długo deliberujących nad dwiema piosenkami, które do wyboru przekazała reprezentantka Polski Izabella Trojanowska. W dość mało politycznej piosence „Tydzień łez” według trójmiejskiej legendy władze dopatrywały się aluzji do czarnego tygodnia w Grudniu '70, zaś w piosence „Tyle samo prawd ile kłamstw” doszukiwano się krytyki epoki Edwarda Gierka.

Niektórzy wskazują jeszcze na to, że I sekretarzem KW PZPR w Gdańsku był wtedy Tadeusz Fiszbach, polityk dość liberalny jak na swoje czasy, który miał odrzucać pacyfikację stoczni przez MO i LWP. W tym sensie Grudzień '70 swym cieniem tragedii chronił protest robotników, którzy upomnieli się o pamięć poległych wówczas bohaterów.

Tak czy inaczej władze nie zdecydowały się na siłowe stłumienie protestu w ciągu pierwszego tygodnia jego trwania, a potem już liczba dziennikarzy zagranicznych była tak duża, że powtórki z Grudnia '70 nie dałoby się już dokonać bez międzynarodowego skandalu.

Piotr Semka

Dolinka Katyńska

Na powązkowskim Cmentarzu Wojskowym w Warszawie stoją dwa pomniki poświęcone zamordowanym przez Sowieców. Obydwa tuż przy pomniku Gloria Victis, upamiętniającym ofiary Powstania Warszawskiego. Oba w tzw. Dolince Katyńskiej. Jeden został postawiony w 1985 r. przez komunistów. Umieszczony na nim kłamliwy napis głosił, że polskich żołnierzy w Katyniu zamordowali Niemcy w 1941 r.

Drugi pomnik mówił prawdę, iż polskich żołnierzy zamordowali Sowieci w 1940 r. Jego powstanie jest związane z czterema braćmi, którzy pomnik zaprojektowali, wykonali i zamontowali w 1981 r. Umieścili na nim napis informujący, że zbrodni dokonali Sowieci. Czterej bracia to Andrzej, Arkadiusz, Sławomir i Stefan Melakowie z Warszawy. Stefan podczas lotu do Katynia zginął pod Smoleńskiem w 2010 r.

Bracia zostali zainspirowani do postawienia pomnika w 1978 r. przez kapelana Powstania Warszawskiego ks. Wacława Karłowicza, który był ich historycznym mentorem. Prace nad pomnikiem zaplanowano bardzo metodycznie. Najpierw bratanek Melaków zrobił projekt. W 1979 r. założono Konspiracyjny Komitet Katyński. W jego skład, oprócz braci Melaków, weszli m.in. ks. Wacław Karłowicz i Wojciech Ziemiński. W tym samym roku rozpoczęto dyskretne rozmowy z warszawskimi kamieniarzami, którym zamierzano powierzyć do wykonania poszczególne elementy pomnika – tak, by żaden z nich się nie zorientował, czego będzie dotyczyć całość monumentu. Pracownicy metaloplastyki powierzono wykonanie części liter oraz 200-kilogramowego łańcucha, który miał okalać monument. Co kilka tygodni wykonane elementy pomnika zwożono na działkę Arkadiusza Melaka. Z końcem 1980 r., kiedy rewolucja Solidarności dała wszystkim poczucie wolności, 10-tonowy pomnik był gotowy do montażu. Zdecydowano, że zamontowany zostanie na Cmentarzu Powązkowskim w lipcu 1981 r. – na dzień przed rocznicą Powstania Warszawskiego. Wcześniej umówiono młodzież z NZS i organizacji niepodległościowych z kilku odległych od stolicy miast, by pomogli w pracach. Żaden z ochotników nie wiedział, o jakie prace chodzi. Sądziło, że będą porządkować powstańcze groby. By nie budzić podejrzeń dozorców, elementy pomnika zostały dowieszone na cmentarz przez ciężarówkę przedsiębiorstwa oczyszczania miasta. Bez trudu też rozpoczęto wyładowywanie granitowych elementów. Po krótkim czasie pojawił się dyrektor cmentarza. Choć skonfundowany akcją, nie przeszkadzał w montażu. Godzinę później na nekropolię zjechali funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, ale też nie przeszkadzali. Na zakończenie prac zespół montujący pomnik odśpiewał hymn. Na południowej mszy św. w warszawskiej katedrze ks. Wacław Karłowicz poinformował o ustawieniu pomnika. W nocy jednak monument został zdemontowany przez funkcjonariuszy SB. 1 sierpnia Stefan Melak poinformował więc zebranych przy Dolince Katyńskiej o zrabowaniu pomnika przez esbeków. Sprawę jego zaginięcia zgłoszono do prokuratury, ale ta umorzyła śledztwo. Pomnik odnalazł się dopiero w 1989 r.

Władze stolicy zezwoliły na jego ustawienie dopiero w 1995 r. Jednak nawet w III RP komunistyczni aparaczczyki postanowili cofnąć decyzję samorządu stolicy i uniemożliwić rozebranie fałszywego pomnika i postawienie monumentu braci Melaków. Ówczesny premier Józef Oleksy i szef Urzędu Rady Ministrów Marek Borowski, obaj z lewicy, wydali pisma wstrzymujące rozbiórkę pomnika fałszywki i zmontowania na nowo pomnika braci Melaków. Przez kilka miesięcy trwały przepychanki pomiędzy pomnikiem „odnowionych komunistów” a pomnikiem Komitetu Katyńskiego. W rezultacie w Dolinie Katyńskiej stoją dziś dwa pomniki. Ten z czasów reżimu komunistycznego, stojący bokiem do pomnika Melaków. I równolegle do pomnika Gloria Victis pomnik Konspiracyjnego Komitetu Katyńskiego braci Melaków.

Mateusz Wyrwich

A
B
C
D
E
F
G
H
I
J
K
L
Ł
M
N
O
P
R
S
T
U
W
Y
Z
Ż

Duszpasterstwa akademickie

Te ośrodki niezależnej myśli w czasach PRL z ich charyzmatycznymi – jak by się dzisiaj, Anno Domini 2020, powiedziało – duszpasterzami doczekały się już własnego miejsca w literaturze.

Do poznańskich dominikanów już w 1956 r. zmierza Ignacy Borejko, student filologii klasycznej. Ów bohater rodzinnego cyklu „Jeżycjada” Małgorzaty Musierowicz – rodzonej siostry Stanisława Barańczaka, który też z dominikanami kooperował, czyli „knuł” (uroczy czasownik na określenie wszelakich działań konspiracyjnych) – idzie tam śladami koleżanek, które wypożyczają u ojców książki niedostępne w innych bibliotekach. W stanie wojennym Ignacy Borejko będzie internowany, a dominikanie będą nieść pomoc, pociechę i wsparcie. Także inna poznańska pisarka Małgorzata Klunder – w latach stanu wojennego studentka i konspiratorka, autorka powieściowego cyklu o rodzinie Niziołków – wiąże się z duszpasterstwem dominikanów.

W Gdańsku już na początku lat 70., od razu po tragedii Grudnia '70, rozwinął działalność o. Ludwik Wiśniewski OP – w jakimś stopniu ojciec chrzestny Ruchu Młodej Polski, który wyłonił się z duszpasterstwa. W Poznaniu działał o. Honoriusz Kowalczyk, w Warszawie o. Jacek Salij, w Krakowie o. Andrzej Kłoczowski – wszyscy dominikanie.

Znakomicie było rozwinięte duszpasterstwo krakowskie, jeszcze od czasów ks. Karola Wojtyły. W Warszawie odbywały się cykliczne spotkania studentów u prymasa Stefana Wyszyńskiego – ich uczestnicy do dzisiaj wspominają talerze pełne pączków i książki otrzymywane przy wyjściu. Także w mniejszych ośrodkach akademickich, nie tak silnych tradycją, młodzież znajdowała oparcie w mądrych i patriotycznie nastawionych księżach, choć może nie było ich aż tak wielu.

Kiedy w październiku 1980 r. studenci wrócili po wakacjach na uczelnie, dzięki zwycięstwu Solidarności życie intelektualne i organizacyjne rozgorzało. Młodzież z duszpasterstw akademickich nie musiała się poznawać i rozpoznawać dopiero w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów. Oni już byli niezależną od komunistów wspólnotą, zanim niezależną studencką organizację stworzyli.

Barbara Sułek-Kowalska

Duszpasterze Solidarności

Były ich dziesiątki, a może nawet setki. Kierowali duszpasterstwami ludzi pracy i otrzymywali status oficjalnych kapelanów regionów Solidarności. Najbardziej znany z nich ks. Jerzy Popiełuszko był opiekunem strajkujących hutników w Hucie „Warszawa”, później objął swoją posługą duszpasterstwo służby zdrowia w stolicy. Jego męczeńska śmierć potwierdziła, że kapelani byli uważani przez władzę za wyjątkowo groźnego przeciwnika. Niektórzy kapelani, tacy jak ks. Henryk Jankowski, będą zapewne stanowić dla historyków zagadkę. Dziś wiele osób pamięta aktywną pomoc tego proboszcza parafii św. Brygidy udzielaną robotnikom i nie potrafi zrozumieć, jak ten kapłan mógł jednocześnie być źródłem informacji dla SB i księdzem oskarżanym dzisiaj o molestowanie seksualne. Inni charyzmatyczni duszpasterze Solidarności: ks. Kazimierz Jancarz, ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, ks. Jan Sikorski, ks. Witold Andrzejewski czy ojciec Hubert Czuma byli cichymi bohaterami karnawału Solidarności. Aktywnie działali na rzecz budowania patriotycznej świadomości działaczy związkowych, szczególnie tych niższego szczebla. W sytuacjach kryzysowych zachęcali do umiaru i nieprzecenia własnych sił. Bywali też mediatorami w lokalnych konfliktach z władzą. A po 13 grudnia podjęli akcję pomocy charytatywnej dla osób internowanych i więźniów aresztów podległych władzom PRL. Niezwykle wielu z nich to osoby skromne, które nie chwaliły się swoimi cichymi misjami łagodzenia nastrojów. Dziś, niestety, żyjemy w czasach, kiedy te dobre dzieła wykonane przez kapelanów Solidarności są spychane w cień niepamięci. Tym bardziej warto wspomnieć portret zbiorowy duszpasterzy Solidarności, który wypełnia strony trzech części chyba niedocenianej książki Mateusza Wyrwicha.

Piotr Semka

EA – Element Antysocjalistyczny

Button (?), przypinka (?), wpinka (?) z takim skrótem i napisem pojawiła się w odpowiedzi na ataki moskiewskiej „Prawdy” i krajowej propagandy, zarzucające Solidarność upolitycznienie i obecność w ruchu związkowym „elementów antysocjalistycznych”. Jak to z wyrazistymi epitetami bywa, łatwo je uczynić orężem szyderstw. Podobne zjawisko oglądaliśmy przy okazji niektórych działań KOD, podchwytyjącego obelgi Jarosława Kaczyńskiego, choćby te o „gorszym sorcie”. A w karnawale oprócz EA był jeszcze PK – „pełzający kontrrewolucjonista”, ale chyba przyjął się słabiej.

Gdzie się kupowało takie znaczki? Chyba najłatwiej przy wejściu na uniwersytet. No tak, tamten okres to przecież także święto znaczków i symboli identyfikacji. Ludzie w euforii chcieli potwierdzać swój wybór, deklarować udział w przemianach, dzielić się radością z przynależności do wspólnoty. W 1978 r., wraz z wyborem Karola Wojtyły na papieża, spod bluzek i koszul wysunęły się na wierzch krzyżyki i medaliki. Po zwycięstwie sierpniowego strajku i eksplozji Solidarności znaczki z jej nazwą znaczyły mnóstwo swetrów i kurtek. W kłapach pojawiły się orzełki z koroną.

Ale przecież było mnóstwo innych znaczków, wpinek. Do kolekcji wkrótce dołączyło mocne czarno-białe logo NZS, pojawił się znaczek z gdańskimi trzema krzyżami i z napisem: Grudzień 70. Ktoś obnosił hasło: „Uwolnić politycznych”.

Niektórzy ludzie oblepieni byli znaczkami gęściej niż dzisiaj sportowcy sponsorskimi logotypami. Ja chyba prezentowałem się dość skromnie, choć wyraziście. Na szyi miałem w tamtych czasach rzemyk ze sporym mosiężnym, stylizowanym na gołębicę krzyżem Taizé, no i – jako przewodniczący komisji wydziałowej – wpinałem w czarny sweter znaczek NZS.

Andrzej Horubała



Przemysław Gintrowski

(1951–2012)

Pieśniarz, muzyk, kompozytor. Nauczyciel licealny, również wykładowca akademicki w łódzkiej Szkole Filmowej. Zaczął grać, bo – jak mówił – denerwowała go niesprawiedliwość rozpanoszona w PRL. Swoją edukację muzyczną rozpoczął w warszawskim Rejtanie, równolegle w szkole muzycznej. Dojrzałości politycznej uczył się w bardzo patriotycznej drużynie harcerskiej Czarna Jedyńka. Bardzo ambitny student przychodził do Sigmy, klubu Uniwersytetu Warszawskiego, i nocami ćwiczył gitarowe akordy. Tam też dawał pierwsze koncerty. Skończył Politechnikę Warszawską z tytułem inżyniera elektryka, choć studiował także na uniwersytecie. O Katyniu dowiadywał się – jak mówił – już po studiach. Uczył się wówczas w PRL-owskiej szkole średniej i nie słyszał o Herbercie, któremu później składał dozgonny hołd, śpiewając jego wiersze. Całym sobą – co podkreślał – Przemysław Gintrowski postanowił wyrazić niezgodę na zbrodnię komunistów w 1970 r. Szukał tekstów oddających tragizm losu Polski i Polaków. W początkach lat 70. znalazł mądrą i zbuntowaną poezję Krzysztofa Marii Sieniawskiego z kręgu twórców uniwersyteckiej Sigmy. Stamtąd trafił do Remontu, klubu Politechniki Warszawskiej. Tu jego droga przecięła się z drogą Jacka Kaczmarskiego. Żaden z nich nie zamierzał śpiewać w duecie. Z czasem jednak wydało im się to najsensowniejsze. Zbliżyło ich do siebie podobne myślenie. Ich program „Mury” z tytułową piosenką sprawił, że obaj, dotąd znani w elitarnym kręgu, z dnia na dzień stawali się coraz bardziej rozpoznawalni. Ich popularność przypieczętował kolejny program „Obława”. Zaczęli koncertować ze swymi dwoma programami w Teatrze na Rozdrożu. Warszawa i Polska w końcu lat 70. poczęła zjeżdżać na ich koncerty. Cenzura zaś postanowiła nie tolerować dłużej tej zbuntowanej poezji, lecz bieg historii zapobiegł marginalizacji obu artystów zaplanowanej przez komunistyczną cenzurę.

W rok 1980 i w okres strajkowy Przemysław Gintrowski wchodził z nieformalnym tytułem barda. Ten status szczególnie umocnił się po gdańskim koncercie na I Przegłędzie Piosenki Prawdziwej „Zakazane Piosenki”. Sukces przypieczętował Festiwal Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu i festiwal w Opolu. Przyszły zaproszenia na koncerty za granicą. Nagrali kolejną płytę. A pieśń zbuntowanych pt. „Mury” stała się nieformalnym hymnem Solidarności na długie lata.

Ich wędrówka do sukcesu artystycznego i komercyjnego zakończyła się wraz w wprowadzeniem stanu wojennego. Duet, z czasem trio: Gintrowski, Łapiński, Kaczmarski, zakończył swoją działalność wraz ze stanem wojennym. Później koncertują wspólnie już tylko incydentalnie. Gintrowski zostaje w Polsce. Koncertuje w domach i kościołach, również w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej, gdzie wystąpił z niezwykłym koncertem „Pamiętki”. Z biegiem czasu uległ wielkiej fascynacji poezją Herberta,

którą postanowił wyśpiewać. Początkowo sam Herbert sceptycznie przyjął twórczość Gintrowskiego. Później jednak poeta napisał w jednej z kartek do kompozytora: „Zbi-gniew Herbert – tekściarz Gintrowskiego”. W połowie lat 80. Przemysław Gintrowski rozpoczął współpracę z kinem. Jego muzyką opatrzone takie dzieła, jak „Nadzór” Sa-niewskiego, „Ostatni prom” Krzystka czy „Tato” Ślesickiego.

Mateusz Wyrwich

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

Józef kardynał Glemp

Pamiętam, jak na początku stanu wojennego ojciec Jacek Salij tłumaczył mi, wściekłemu młodzieńcowi, że być może Pan Bóg powołał takiego prymasa, by nas nauczyć pokory. Faktycznie, rachuby inteligentów wskazywały w 1981 r. na inne kandydatury, mówiono o Franciszku Macharskim, fantazjowano o ks. prof. Józefie Tischnerze, a został nim mało zręczny kurialista. Jego rozpropagowana przez komunistów homilia, wygłoszona w sanktuarium Matki Bożej Łaskawej wieczorem 13 grudnia 1981 r., ze zdaniem: „Nie ma większej wartości nad życie ludzkie”, wywarła na mnie fatalne wrażenie.

Nie uchronił przed śmiercią ks. Jerzego Popiełuszki, nie uchronił księży ginących w niewyjaśnionych okolicznościach w czasie Okrągłego Stołu. Nie przygotował żadnego projektu duszpasterskiego na nowe tysiąclecie, a w momencie śmierci Jana Pawła II zachowywał się co najmniej dziwnie.

Ale na razie trwał karnawał Solidarności. Po podniosłych uroczystościach pogrzebowych Prymasa Tysiąclecia ujrzelśmy nowego prymasa, nowego przewodnika. Arcybiskup Józef Glemp. Zupełnie anonimowy, z niczym sensownym niekojarzony. Nieefektywny, niezręczny, z mało uduchowioną twarzą, z odstającymi uszami, którymi mógł konkurować z Jerzym Urbanem. No tak: ciężko być następcą człowieka tak wielkiego formatu jak Wyszyński. W ogóle ciężko Kościołowi pozierać się po odejściu wielkich przewodników. Rozkwit i kryzys Kościoła katolickiego w Polsce to przecież między innymi rezultat grania na wielkie osobowości.

Prymas Józef Glemp od początku próbował włączyć się w wielką politykę i mediarować między władzą a Solidarnością. Ale przecież decyzje o konfrontacji i wprowadzeniu stanu wojennego w zasadzie już wówczas zapadły, więc mediacje Glempa, jego studzenie nastrojów, jak choćby poparcie dla decyzji o zawieszeniu strajku studenckiego, wszystko to nie miało większego znaczenia, choć na pewno świadczyło o dobrej woli. Prymas Glemp karmił radykalnych działaczy, organizował spotkania na najwyższym szczeblu, rozsyłał listy. Wszystko na nic.

Andrzej Horubała

Goście z Zachodu

Wraz z wybuchem solidarnościowej rewolucji do Polski zaczęły zjeżdżać dziesiątki ekip z zachodnich telewizji, które relacjonowały na żywo fenomen pierwszej anty-systemowej rewolucji robotniczej w bloku sowieckim. Niekiedy redakcje sięgały po dziennikarzy polskiego pochodzenia, co bardzo ułatwiało kontakt z robotnikami. Taką postacią był Tony Halik (1921–1998). W czasie sierpniowego strajku przybył do stoczni jako korespondent amerykańskiej stacji NBC. Jako ktoś dobrze znany z telewizyjnych programów pt. „Tam, gdzie pieprz rośnie” nie miał żadnych problemów z wejściem na teren stoczni. Dziennikarze zachodni przybywali do Gdańska jako stolicy ruchu Solidarności w towarzystwie niezwykle urodziwych tłumaczek – zazwyczaj studentek filologii obcojęzycznych z Warszawy czy Krakowa.

Stałym punktem zainteresowania był Lech Wałęsa. Długie kolejki korespondentów ustawiały się przed gabinetem lidera Solidarności w Hotelu Morskim w Gdańsku-Wrzeszczu. Niekiedy do tej fortecy solidarnościowej rewolucji przybywały gwiazdy światowego dziennikarstwa. Gdy zimą 1981 r. przybyła tu włoska dziennikarka Oriana Fallaci, na wieść o jej wizycie z biurowych pokoiów wymykały się urzędniczki związkowe, aby podziwiać jej wielkie, okrągłe, wyzywające okulary i luksusowe futro z norek, w którym przyleciała do Polski przekonana, że to kraj arktycznych mrozów. Innym egzotycznym gościem w Gdańsku w 1981 r. był Günter Grass. Na spotkaniu z gdańskimi miłośnikami jego twórczości zaszokował swoich słuchaczy refleksją, że oto obraz Matki Boskiej skojarzył mu się z portretem marksistowskiej aktywistki Róży Luksemburg. Najbardziej zakłopotani byli polscy gospodarze z Solidarności, gdy jesienią 1980 r. Polskę zaczęli nawiedzać dziennikarze z trockistowskiej IV Międzynarodówki. Rewolucję Solidarności postrzegali oni jako zwiastun wymarzonej przez ich patrona ideowego Lwa Trockiego oddolnej rewolucji robotniczej przeciwko komunizmowi etatystycznemu. Dopiero gdy w rozmowach z polskimi działaczami Solidarności zauważali ich brak entuzjazmu dla jednego z przywódców ataków na Polskę w 1920 r., wychodziło na jaw, jak bardzo obie strony są od siebie odległe ideowo.

Najatrakcyjniejsze dla działaczy lokalnych były wizyty delegacji zamożnych związków zawodowych z RFN, krajów Beneluxu i Francji. Podczas jednej z wizyt w lokalnym ośrodku Solidarności w dość nędznym baraku, który władze tamtego miasta przyznały związkowcom, pod wpływem ulewy zawałił się dach z płyty piłśniowej. Wywołało to na gościach z zagranicy tak wstrząsające wrażenie, że po powrocie do siebie ufundowali i wysłali związkowcom w paczkach całkowite wyposażenie biurowe wraz z bardzo pożądanymi wówczas teleksami i kserokopiarkami. Austriackie związki zawodowe zażyły wówczas hojnością wobec Gdańska, wyposażyły tamtejsze biuro Solidarności w kamery telewizyjne i zestawy do montażu telewizyjnego. Zachodni goście odgrywali,

A

B

podobnie jak w czasie strajku w Stoczni Lenina, bardzo ważną rolę symboliczną. Uświadamiali działaczom Solidarności, że ich walkę obserwuje i wspiera większość światowej opinii publicznej.

C

D

Piotr Semka

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

Andrzej i Joanna Gwiazdowie

Andrzej Gwiazda zawsze był jakiś inny. Na tle strajkujących robotników Stoczni Gdańskiej jego osiem lat starszeństwa wobec Wałęsy rzucało się w oczy. Razem z Wałęsą w sierpniu 1980 r. byli bardzo dobrym duetem. Wałęsa był zagończykiem w rozmowach z władzą, a ubrany w sweter brodacz potrafił gasić kwieciste wystąpienia kolejnych wicepremierów powoływaniem się na twarde konkrety. „Mówi Gwiazda” – brzmiało w megafonach transmitujących negocjacje i wszyscy od razu nadstawiali uszu. Robotnicy wiedzieli, że Gwiazda dokona zaraz logicznego, ale i nieustępliwego podsumowania aktualnego stanu rozmów. Ci, co go obserwowali z bliska, widzieli, jak istotny wpływ na jego postawę miały jego doświadczenia życiowe. Był synem marynarza floty i pińskiej, hen daleko na Kresach. Ojciec został wzięty do niewoli niemieckiej, 4-letni Andrzej razem z matką i babką został wywieziony do kołchozu w północnym Kazachstanie. Gdy wróci do kraju, będzie miał już 11 lat i żadnych złudzeń wobec komunizmu. Wyrzucony przez stalinistów z politechniki w 1953 r. trafił do jednej z fabryk. Po latach opowiadał o bardzo znaczącym epizodzie. Młodemu robotnikowi, który miał stanowisko pracy obok Gwiazdy, wskutek nieuwagi spadła na ziemię droga szwedzka wiertarka, jak to się wtedy mówiło: „importowana za cenne dewizy”. Gdy się okazało, że po upadku wiertarka przestała działać, do fabryki przyjechało UB, które zabrało chłopaka. Wyszedł on z katowni bezpieki po pięciu dniach. Jak opowiadali koledzy, był cały fioletowy od bicia. W pracy już się nie pokazał, a po trzech tygodniach wszyscy się dowiedzieli, że zmarł. Takie lekcje życia mogły nauczyć niechęci do komunizmu na całe życie. W 1956 r. wskutek poststalinowskiej odwilży Gwiazda wraca na politechnikę. Gdy w 1968 r. już jako asystent dowiedział się o wystąpieniach studentów na Uniwersytecie Warszawskim, pewny, że Gdańsk pójdzie śladem Warszawy, wbiegł na salę, w której studenci słuchali wykładu i krzyknął na cały głos: „Warszawscy studenci ruszyli”. W odpowiedzi usłyszał kilka ściszonych głosów: „No i co z tego”. Należał do tych, na których Grudzień '70 wywarł ogromne wrażenie. Był w tłumie, który zdobywał i podpalił komitet wojewódzki partii komunistycznej. Dla ludzi, którzy dusili w sobie dziesięciolecia rozmaitych upokorzeń doznawanych od PZPR, była to chwila jakiegoś nieznanego wcześniej triumfu, rozliczenia się za dawne i mniej dawne krzywdy. Tej chwili satysfakcji, że robotnik potrafi też „popędzić kota” pysznym partyjniakom, gdańscy stocznioowcy nie zapomnieli nigdy. A późniejsza masakra robotników tylko wzmocniła to poczucie, że gdy jest się razem, władza bywa bezradna. Na pewno nie byłoby Gwiazdy opozycjonisty, gdyby nie jego towarzyszka życia Joanna Duda. To ona reprezentowała społeczną, lewicową wrażliwość w tym związku. Ona również pochodzi z Kresów, z Krzemieńca. W 1962 r. wstąpiła do partii, ale odeszła po Marcu '68. Były w niej jakieś marzenia ulepszenia, naprawy socjalizmu w jakąś formę realnej sprawiedliwości społecznej. W 1976 r. wspólnie z mężem napisała list otwarty do Sejmu w obronie Komitetu

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

Obrony Robotników. Potem była wierna KOR-owcom długie lata aż do lat 80., gdy zrozumiała, że ci w bardzo cyniczny sposób postawili na Wałęsę. Bez nich Wolne Związki Zawodowe, założone w kwietniu 1978 r., nie miałyby tak silnie propracowniczego charakteru. W sierpniu 1980 r. – jak już pisałem – Gwiazda był bardzo dobrym partnerem dla Wałęsy, ale sam jako lider w strajku nie musiałby się sprawdzać. Dystans, który był między robotnikami a przedstawicielami inżynierów, na pewno dałby o sobie znać. Ale już w roku Solidarności, który wybuchł po zakończeniu strajku, Gwiazda znalazł się bardzo dobrze. I znów sprawdzał się jako nieustępliwy rzecznik rozliczania władzy z jej deklaracji. Na każdym posiedzeniu Komisji Krajowej potrafił skutecznie rozliczać Wałęsę z jego lawirowania między Związkiem a stanowiskiem władzy. Z czasem ta rywalizacja przełożyła się na podział: Wałęsa zwolennik umiaru i Gwiazda jako stronnik polityki przypierania władzy do muru. Ten konflikt ujawnił się w całej rozciągłości w czasie kryzysu bydgoskiego. Wałęsa całym swoim sprytem wykreował sytuację, w której po zawarciu osłabiającej dla Solidarności ugody z władzą tekst tzw. porozumienia warszawskiego odczytał Gwiazda. Stało się tak, mimo że były zesłaniec uważał porozumienie za kapitulację. Nigdy nie darował Wałęsie tego cwaniackiego wmanewrowania w ugodę, z którą się nie zgadzał.

Przez kolejne legalne dziewięć miesięcy działalności Solidarności do 13 grudnia 1981 r. Gwiazda będzie rywalem Wałęsy. Na zjeździe Solidarności podkreślał, że: „Solidarność cofnęła się w ciągu poprzedniego roku, gdyż nie zareagowała ostro na zaczepki władzy”. Po 13 grudnia fakt, że Gwiazda został zaliczony do tzw. siódemki najbardziej agresywnych działaczy „ekstremy Solidarności”, spowodował, że wyszedł na dobre na wolność bardzo późno, dopiero 15 maja 1985 r. Zorientował się, że nikt nie ma zamiaru na nowo zwoływać Komisji Krajowej Solidarności i od tej chwili stanął w opozycji do Wałęsy już na zawsze. Był jednym z najbardziej znanych krytyków Okrągłego Stołu. Renesans jego popularności w latach 1990–2000 będzie wynikał z kontrastu jego postawy w stosunku do Wałęsy. Skromne mieszkanie w bloku na gdańskiej Zaspie będzie antytezą okazałej willi Lecha Wałęsy.

Piotr Semka



Jan Paweł II

W odróżnieniu od Prymasa Tysiąclecia lepiej wyczuł znaczenie Sierpnia '80 i nie zblamował się niezręcznymi wypowiedziami. No tak, ale to jego portret znalazł się na ukwieconej bramie Stoczni Gdańskiej, przypominającej ołtarze przygotowywane przez wiernych na Boże Ciało. Nie działa się to przypadkiem. Nasz światowy przywódca, nasz człowiek w Watykanie, nasz mistrz i przewodnik miał być także gwarantem naszej nie-tykalności. Rozbudził i rozhuścił zbiorowe emocje, modlił się o odnowę ziemi, tej ziemi, więc w nim widziano także obrońcę i patrona tego, co się z nami dzieje...

Jego pielgrzymka do Polski w 1979 r. była wielkim narodowym przebudzeniem. Ganiałem wtedy w euforii w niebieskiej furazerce służby porządkowej, regulując ruchem wiernych na placu Zwycięstwa i dźwigając wiadra z wodą dla stojących w pełnym słońcu uczestników mszy. Następnego dnia przed mszą w kościele św. Anny ucałowałem jego pierścień, gdy papież podszedł do naszej grupki stojącej w licealnych T-shirtach i zagadnął o znaczenie napisu „Reytan”. Naprawdę zdziwiło mnie, że nie zna liceum o takiej tradycji.

Potem w kilka osób poleciliśmy jeszcze za papieżem do Krakowa. Był to mój pierwszy w życiu lot samolotem, wypadło jakoś tanio, bo skorzystaliśmy ze zniżek (być może uczniowskich?). Ale w ogóle czerwiec 1979 r. to był czas niezwykłego święta. W sklepach z okazji papieskiej pielgrzymki pojawiła się po raz pierwszy i na krótko coca-cola w puszkach (z niemieckimi napisami), kupić można było wydany przez Tonpress podwójny singiel Beatlesów z okładką projektowaną przez Waldemara Świerzego. Niebo zstąpiło na ziemię.

No tak, z tym że papież w PRL był tylko na poły legalny. Za gazetkę ścienną, witającą go w kraju, grożono mi wyrzuceniem z liceum (inna sprawa, że część tekstów zawierała rozważania na temat końca komuny). Podjęto też poważne śledztwo w związku z zawieszeniem na maszcie przed szkołą flagi w kolorze żółto-białym.

A teraz jego portret wisiał na bramie stoczni, monsturalny długopis z jego wizerunkiem dzierżył w dłoni podpisujący Porozumienie Gdańskie Lech Wałęsa, a kilka miesięcy później delegacja Solidarności składała papieżowi hołd, przywożąc do Watykanu makietę pomnika Poległych Stoczniovców.

Więź z Ojcem Świętym była niesamowita. I przecież papież też mógł czuć dumę z nas. Bo energia Solidarności, wielkie duchowe odrodzenie inspirowało także jego. Dlatego strzały, jakie padły na placu Świętego Piotra 13 maja 1981 r. wszyscy potraktowali jako coś absolutnie osobistego. Jako zamach na nas, na naszą największą świętość, naszego lidera. Msze i nabożeństwa były czymś oczywistym. Pamiętam, że zorganizowanie zbiorowej modlitwy na Uniwersytecie Warszawskim nie podlegało żadnym procedurom i nie wymagało uzyskiwania żadnych zgód: było zrozumiałym dla wszystkich odruchem serca. Kilka dni później wspaniale zareagował krakowski NZS, organizując Biały Marsz. To też były rzeczy oczywiste, spontaniczne i naturalne.

Andrzej Horubała



Jacek Kaczmarski (1957–2004)

Pisarz, poeta, a przede wszystkim pieśniarz. Autor kilkuset piosenek i wierszy. Nagrał kilkadziesiąt albumów, indywidualnych lub w trio – Kaczmarski, Gintrowski, Łapiński. Twórca pieśni patriotycznych. Nazywano go bardem Solidarności, choć nie akceptował tego zaszczytnego miana. Uważał bowiem, że z jednej strony: zubaża, redukuje to jego artystyczne *emploi*, z drugiej zaś: że nie zasłużył sobie na takie wyróżnienie.

Wychowywali go dziadkowie komuniści, choć rodzice – lewicujący artyści malarze mieszkali niecały kilometr dalej. Często czuł się odrzucony, samotny. Ciągnął do innych ludzi. Niekiedy zamykał się w sobie. W różnych okresach swojego niespełna 50-letniego życia to poczucie odrzucenia – jak przyznawał – zagłuszał alkoholem. Trunek też traktował jako środek antystresowy. Już jako uczeń kreował się na twardego, ale nie wychodziło mu to najlepiej. Tak naprawdę był człowiekiem nieśmiałym. Uwielbiał brydża i szachy. Błyskotliwy, inteligentny, z poczuciem humoru. Dzięki sukcesom w olimpiadzie polonistycznej rozpoczął studia bez egzaminu, ucząc się w indywidualnym systemie, co w PRL było niezwykle wyróżnieniem zapowiadającym błyskotliwą karierę naukową. Kaczmarski wybrał jednak edukowanie innych przez swoje śpiewane utwory poetyckie.

W 1977 r. otrzymał, wraz z Piotrem Gierakiem, pierwszą nagrodę na Festiwalu Piosenki Studenckiej we Wrocławiu, następnego roku indywidualnie. Trafił wówczas do elitarnego i na swój sposób niezależnego Kabaretu pod Egidą, prowadzonego przez Jana Pietrzaka. Traktował to jako niezwykle wyróżnienie. W studenckim klubie Remont poznał Przemysława Gintrowskiego i niebawem Łapińskiego. W 1978 r. nagrali program „Mury”, na rok przed Sierpniem '80 – programy „Raj” i „Muzeum”, co wyniosło ich na szczyty popularności.

Czas 16 miesięcy Solidarności uważał za najszcześniejszy w swoim życiu. Jednak bardzo bał się zaszukania go jako poety, pieśniarza politycznego. – Starłem się przekazać ludziom, że to, co się działo wówczas w Polsce, nie jest niczym wyjątkowym, że to tylko kolejny etap w paśmie wszystkich historycznych doświadczeń – zwierzał się w 2001 r. – Dałem temu wyraz z programie „Muzeum”, który dla mnie był wtedy najważniejszym podsumowaniem dokonań artystycznych. Mojej duchowej i intelektualnej dojrzałości.

Lata pierwszej emigracji stanu wojennego, choć bardzo twórcze, przede wszystkim odczuł jako samotność emigranta. Kiedyś powiedział, że już wie, jak strasznie musieli się czuć popowstaniowcy uchodźcy, o których śpiewał. Ci z czasów zaboru, ci za okupacji sowieckiej. Wiele nagrywał, a jego taśmy były masowo, choć nielegalnie, kolportowane w Polsce. Jednak wielu jego fanów odwróciło się od niego, uznając, że pozostając na emigracji, zdradził Polskę. Przez długie lata miał żal o to do swoich fanów. W 1983 r. rozpoczął współpracę z Radiem Wolna Europa. Wprowadzony zaś rok później w RWE

„Kwadrans Jacka Kaczmarskiego” przyciągał do radioodbiorników tysiące słuchaczy. Po latach, uogólniając czas pobytu na emigracji, podczas jednej z rozmów mówił: – Przede wszystkim ukształtowałem się wtedy jako artysta. Koncertując w środowiskach polonijnych na świecie, poznałem mnóstwo ludzi z czasów II RP, którzy byli elitą, a o których nie miałem pojęcia, bo o nich nie uczono nas w szkole.

Po powrocie z emigracji nie potrafił jednak zaaklimatyzować się w Polsce po 1989 r. Choć dał wiele koncertów z Gintrowskim i Łapińskim, choć miał wielu fanów, to jednak czuł, że nie odbierają jego poezji tak jak w stanie wojennym czy wcześniej. Remedium na wszystkie bóle i rozczarowania miał być pobyt w Australii. Chciał ten czas potraktować jak trwający długie lata urlop. Wrócił jednak znowu pod koniec lat 90., należał bowiem do tych artystów, dla których najżyźniejszą glebą był kraj urodzenia.

Mateusz Wyrwich

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

Kapelani Solidarności

Podczas legalnego działania Solidarności fundamentalny wkład w formowanie społeczeństwa w całej Polsce wnieśli kapłani. Towarzyszyli strajkującym w zakładach. Głosili Słowo Boże. Świecili sztandary Solidarności. Byli pierwsi w niesieniu wiary, nadziei, misji i odwagi. Niejednokrotnie wspomagali związkowców w organizowaniu struktur zakładowych czy też regionalnych. Podczas spotkań na plebaniach dyskutowano o zarysach programu działalności Związku, czy to w zakładzie, czy nawet w regionie. Działacze Solidarności na początku często dostawali wsparcie finansowe od proboszczów czy wikarych na podstawowe potrzeby, np. organizowanie poligrafii czy dokumentacji fotograficznej. Ale dla związkowców ważne też były rozległe kontakty księży z wiernymi w innych parafiach, gdzie kapłani rekomendowali zaufanych ludzi do działalności związkowej. Łączyli też często dwa sobie obce światy: ludzi kultury i nauki z robotnikami. Budowali wzajemną solidarność. Często z inicjatywy miejscowych księży proboszczów czy biskupów możliwe stawało się upamiętnianie ważnych dla narodu rocznic, do 1980 r. zakazanych przez komunistów, takich jak 3 Maja czy 11 Listopada. Na terenie świątyń czy obok nich wmurowywano tablice pamiątkowe poświęcone ważnym rocznicom, także bohaterom narodowych zrywów, jak również I wojny światowej, Powstań Śląskich czy Powstania Wielkopolskiego – nietolerowanych przez komunistów. Upamiętniano narodowych bohaterów II wojny światowej, których komuniści pozbawiali polskiego obywatelstwa, takich jak generałowie Władysław Anders, Stanisław Maczek, Stanisław Sosabowski czy Stanisław Kopański. Dzięki kapłanom, którzy z czasem zyskali nieformalny tytuł kapelanów Solidarności, możliwe stało się głoszenie dotychczas zakazanej przez komunistów wiedzy z zakresu historii czy literatury polskiej. To księża udostępniali pomieszczenia, najczęściej salki katechetyczne, na m.in. niezależne wykłady. Tam po raz pierwszy ludzie urodzeni po II wojnie światowej dowiadywali się prawdy o Armii Krajowej, Narodowych Siłach Zbrojnych, Narodowym Zjednoczeniu Wojskowym czy o innych organizacjach podziemnych walczących o wolność i niepodległość przeciwko niemieckiemu i sowieckiemu okupantowi. Po raz pierwszy społeczeństwo dzięki edukacji w salkach katechetycznych dowiadywało się o istnieniu Polskiego Państwa Podziemnego w czasie II wojny światowej i rządu RP na uchodźstwie, a także o literaturze tworzonej przez pisarzy i poetów pozostających na emigracji.

Jednak najważniejsze, o czym wspominają zarówno kapłani, jak i związkowcy, było niesienie przez kapelanów strawy duchowej. Tysiące strajkujących spowiadało się po raz pierwszy od kilku czy kilkudziesięciu lat. Dzięki nim następowało też godzenie rodzin przez lata skonfliktowanych z powodu różnic politycznych – dzieci z rodzicami, braci z braćmi. Dzięki kapelanom Solidarności wcale nierzadko związkowcy nazywali swój Związek chrześcijańskim.

Symbolem kapłana zaangażowanego w pomoc ludziom stał się ks. Jerzy Popiełuszko, kapłan różnorodnych środowisk, zarówno robotniczych, jak i artystycznych. Łączył on kręgi naukowe z ludźmi, którzy niegdyś nimi pogardzali. On sam był szczególnie za to znienawidzony przez reżim komunistyczny. Ale przede wszystkim za głoszenie prawdy wraz z absolutem: „Prawda was wyzwoli”. Dla komunistów stał się symbolem wartości, które zagrażały totalitaryzmowi. I za to przecież został zamordowany przez jego funkcjonariuszy w orwelowskim roku 1984.

Mateusz Wyrwich

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

Karnawał Solidarności

Nie wiadomo, kto wymyślił to określenie. Na pewno największą popularność zdobyło ono *ex post* – po 13 grudnia 1981 r. Wtedy to – na zasadzie kontrastu z ponurą epoką rządów Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego – wszystko to, co było między Sierpniem '80 a Grudniem '81 wydawało się pełnym kolorów światłem wolności. Ale określenie „karnawał” żartobliwie używane było jeszcze w czasie legalnego istnienia NSZZ „Solidarność”. Tkwiło w nim niejasne przeczucie, że okres wybuchu wolności w kraju, który żyje w cieniu Związku Sowieckiego, jest czymś nietrwałym i kruchym, a jednocześnie niezbędnym dla równowagi psychicznej narodu.

Dzisiaj po latach można podzielić ten karnawał na trzy zasadnicze fazy. Pierwsza to okres od 30 sierpnia 1980 r. – dnia podpisania Porozumienia Gdańskiego i końca strajków w Stoczni im. Lenina w Gdańsku. Jako umowny jej koniec można wskazać początek lutego 1981 r., gdy do dymisji podał się premier Józef Pińkowski. Był to okres, w którym komunistyczna władza była zaskoczona szybkością powstawania kolejnych struktur Solidarności i sparaliżowana lękiem przed nową sytuacją. NSZZ „Solidarność” szybko stał się 10-milionową siłą. Przywódcy sierpniowego strajku: Lech Wałęsa, Anna Walentynowicz i Andrzej Gwiazda odbyli wówczas tour po wielkich i średnich polskich miastach, przyciągając na stadiony tysiące ludzi. Fala zmian parła przez Polskę jak pożar na stepie. We wszystkich niemal środowiskach pojawiały się inicjatywy niezależne. W nowym roku akademickim studenci zakładali Niezależne Zrzeszenie Studenckie – NZS. W szkołach średnich rozwijał działalność Ruch Młodzieży Szkolnej. W Solidarność Wiejską organizowali się rolnicy. W rezultacie zmian niezwykle ożywiły się stowarzyszenia twórcze. Wszystko to początkowo zaskoczyło i osłabiło władzę. Determinacja Solidarności robiła wtedy wrażenie na czołówce partyjno-rządowej. Tak było, gdy w listopadzie 1980 r. wybuchł spór o aresztowanie Jana Naroźniaka i Piotra Sapeły, dwóch pracowników powielarni prokuratury, którzy ujawnili okólnik prokuratora generalnego Lucjana Czubińskiego nakazujący dalsze ściganie opozycji demokratycznej. Doszło do groźby strajku solidarnościowego i PZPR jednak się wycofała. Tak samo władza wykazała brak pewności siebie w trakcie sporu o rejestrację NSZZ „Solidarność”. Do rejestracji doszło, choć nie obyło się bez uznania tzw. wiodącej roli partii komunistycznej w państwie. Ten okres – można umownie przyjąć – zakończył się w lutym 1981 r.

Kolejna, druga faza zaczyna się 11 lutego wraz z objęciem funkcji premiera przez dotychczasowego ministra obrony gen. Wojciecha Jaruzelskiego. W aparacie władzy dochodzi już wtedy do pewnej konsolidacji i pojawia się plan wciągania Solidarności w ciągłe konflikty, które mają rozmontować jej autorytet. Na czoło wydarzeń tego okresu wysuwa się prowokacja bydgoska, która poprzez groźbę strajku generalnego Solidarności zakończyła się 31 marca 1981 r. podpisaniem porozumienia warszawskiego. Wielu działaczy Solidarności wskazywało później, że ten kompromis poważnie wpłynął

na dynamizm działania ruchu. Ale po pewnym spadku napięcia nadzieje na odzyskanie inicjatywy przez Solidarność ożywiły się w czasie dwóch tur zjazdu NSZZ „Solidarność”. Wtedy to ogłoszono posłanie do ludzi pracy Europy Środkowej, które wskazywało, że w miarę legalnego trwania Solidarność może być wzorem dla podobnych ruchów w innych krajach bloku socjalistycznego.

Rozpoczęcie ostatniej fazy karnawału można wyznaczyć symbolicznie na dni od 16 do 18 października 1981 r. Na IV plenum KC PZPR wybrano wówczas nowego I sekretarza partii, gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Wówczas władza zaczynała już być pewna, że społeczeństwo – wymęczone trudnościami walki o zdobycie podstawowych produktów potrzebnych do życia – zacznie wpadać w pesymizm, a nawet przejawiać lęk przed załamaniem się gospodarki państwa. Po stronie Solidarności spowodowało to wytwarzanie polaryzacji. Działacze bardziej umiarkowani zaczęli szukać nadziei na przetrwanie Solidarności w mediacji Kościoła z władzą. Bardziej radykalni zaczęli głosić nieuchronność generalnego starcia – Związek miał stanąć na czele społeczeństwa do konfrontacji z aparatem władzy. Przeceniano wpływ solidarnościowej rewolucji na aparat milicyjny i wojskowy. Ta trzecia faza zakończyła się wprowadzeniem stanu wojennego i zepchnięciem Solidarności do podziemia. Określenie „karnawał” jest krytykowane przez część działaczy jako sprowadzenie wydarzeń z lat 1980–1981 do zjawiska na pograniczu zabawy. Jeszcze inni twierdzą, że używanie formuły karnawału w naturalny sposób było korzystne dla rozładowania więzów solidarności społecznej po 13 grudnia 1981 r., gdyż siłą rzeczy sugerowało, że wraz z wyjściem wojska na ulicę powróciła może szpetna, ale jakaś normalność. Uwagi krytyków tego określenia nie biorą pod uwagę tego, że był to termin ironiczny. Pod pozorem lekkiego tonu maskował huśtawkę nastrojów między wiarą w zwycięstwo polskiej rewolucji a obawami przed powtórką z Węgier w 1956 r. i Czechosłowacji w 1968 r. Jeszcze inni wspominają karnawał jako okres niebywale czystych i bezinteresownych zachowań społecznych.

Piotr Semka

Kluby Służby Niepodległości i Kluby Rzeczypospolitej Samorządnej

W miarę rozwoju solidarnościowej rewolucji działacze antykomunistycznych środowisk prawicowych i konserwatywnych zaczęli zgłaszać postulat przygotowania do tworzenia normalnych partii politycznych. Aby nie używać określenia „partia”, którą to nazwę w PRL rezerwowano tylko dla PZPR, uczestnicy m.in. Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz Ruchu Młodej Polski poinformowali 28 września 1981 r. o powstaniu Klubów Służby Niepodległości. Na lidera organizacji nowego ruchu wyrastał jeden z inicjatorów – Wojciech Ziemiński, zasłużony działacz niepodległościowy. Inne ważne postacie, które zadeklarowały wolę tworzenia KSN, to Aleksander Hall, Jarosław Kaczyński, Bronisław Komorowski i Marian Piłka. KSN bardzo wyraźnie podkreślały postulat rozpoczęcia otwartej debaty nad kwestią niepodległości Polski. Wyraźnie akcentowano też szacunek dla Kościoła katolickiego i jego roli w historii i współczesności Polski. Lider frakcji ekonomistów w nowym ugrupowaniu, Stefan Kurowski, propagował wprowadzenie do państwowej gospodarki socjalistycznej elementów wolnorynkowych. Powstanie KSN wywołało skrajnie różne reakcje związkowych działaczy. Część robotników była zirytowana takimi inicjatywami, wskazując, że rozbijają one jeden front Solidarności. W odpowiedzi aktywiści KSN zastrzegali się, że działalność tego rodzaju nie koliduje z wypełnianiem związkowych obowiązków, ale powstanie KSN było sygnałem, że drogi aktywnych politycznie działaczy opozycji i robotników zaczną się powoli, choć przyjaźnie, ale jednak rozchodzić.

Sprawa skomplikowała się dodatkowo, gdy dwa miesiące później (1 grudnia 1981 r.) lewa strona Solidarności powołała Kluby Rzeczypospolitej Samorządnej o nazwie „Wolność–Sprawiedliwość–Niepodległość”. Już samą nazwą ten odłam ludzi aktywnych w Solidarności nawiązywał do socjalistycznej tradycji PPS z okresu II wojny światowej. W publikacjach KRS „WSN” można było znaleźć elementy polemiki ideowej ze środowiskiem Klubów Służby Niepodległości. W deklaracji Klubów Rzeczypospolitej Samorządnej można było przeczytać, że „przypisywanie sobie wyłączności posługiwania się zarówno hasłami niepodległościowymi, jak i wartościami chrześcijańskimi jest szantażem. (...) Droga do niepodległości Polski wiedzie (...) przez oddolny, demokratyczny ruch społeczny. Jedynie w takim ruchu mogą powstać warunki dla przeprowadzenia wolnych wyborów. (...) W przyszłych pertraktacjach z ZSRR, w których Polska będzie reprezentowana przez autentyczne przedstawicielstwa narodowe, należy wypracować nowy układ, w którym konieczne ograniczenia nie naruszają zasady suwerenności narodu, to jest jego gwarantowanego demokratycznymi instytucjami prawa stanowienia

o sobie". Wprowadzenie stanu wojennego przerwało tworzenie się zarówno Klubów Służby Niepodległości, jak i Klubów Rzeczypospolitej Samorządnej. Pozostają one jednak wskazówką, że z czasem obok związku zawodowego Solidarność zaczęły powstawać zaczątki partii politycznych.

Piotr Semka

A
B
C
D
E
F
G
H
I
J
K
L
Ł
M
N
O
P
R
S
T
U
W
Y
Z
Ż

Komisja zakładowa

– Sierpień 1980 r. Podpiszą – nie podpiszą? Wejdą – nie wejdą? Te dwa pytania zadawali sobie wszyscy, ale że na międzynarodową konferencję katalityczną byłam zgłoszona już dawno – opowiada dr Hanna Rembertowicz, dziś emerytowany chemik z Politechniki Warszawskiej – więc do Krakowa pojechałam, tyle że z radyjkiem przy uchu. A w Krakowie pustki. Zagranica się wystraszyła, że w Polsce jakaś polityczna rozróbka! Kiedy wróciłam 3 czy 4 września, zobaczyłam, że wszyscy już się organizują. Wydziały: elektryczny, chemiczny, architektura! Wolne związki zawodowe powstawały niemal na moim biurku! Ale jeszcze nawet nie wiedzieliśmy, że to ma być Solidarność!

Kierownikiem zakładu dr Hanny Rembertowicz był prof. dr inżynier Stefan Weychert (1912–1989), żołnierz Września '39 i Armii Krajowej, w tym organizator tajnego nauczania, następcą prof. Józefa Zawadzkiego, ojca legendarnego „Zośki” z Szarych Szeregów. Prof. Weychert był autorytetem i oparciem dla wszystkich, którzy jesienią 1980 r. poderwali się do niezależnej samoorganizacji. To on wymyślił codziennie drukowane komunikaty. Pierwsze były przepisywane na maszynie przez przebitkę (przebitka to bibułka A4, która umożliwia pisanie w kilku kopiach jednocześnie) i rozwieszane na uczelni. Komunikaty były publikowane co dwa–trzy dni, żeby wszystko odbywało się transparentnie.

Komunikat nr 1 z 11 września, podpisany przez Uczelniany Komitet Koordynacyjny Komitetów Założycielskich Samorządnych i Niezależnych Związków Zawodowych Pracowników Politechniki Warszawskiej, dawał ludziom – pełnym entuzjazmu, ale i obaw – prawne argumenty. Informował, że zawiązał się jako komitet „niezależny od Rady Zakładowej ZNP” i „powstał z inicjatywy spontanicznie tworzonych komitetów”. Komunikat odwoływał się do Konstytucji PRL, konwencji nr 87 i 98 Międzynarodowej Organizacji Pracy, „Międzynarodowego paktu praw obywatelskich i politycznych”, ratyfikowanych przez Sejm PRL, oraz do Porozumień Sierpniowych. Wzywał pracowników Politechniki Warszawskiej do tworzenia komitetów założycielskich samorządnych i niezależnych związków zawodowych we wszystkich jednostkach organizacyjnych.

Już 19 września Komitet Koordynacyjny postanowił zwołać na 27 września zjazd założycielski samorządnych i niezależnych związków zawodowych pracowników PW, który uchwali tymczasowy statut i nazwę związku. W komitetach założycielskich odbyły się wybory delegatów, dr Hanna Rembertowicz miała mandat nr 106. – Nie interesowały nas związkowe wczasy, cebula i kartofle na zimę – mówi dziś – wszyscy chcieliśmy robić porządki. Uczyc tak, jak chcemy, rozwiązać sprawy adiunktów, wywalić instytuty, wybrać samodzielnie dziekana i rektora oraz żeby wreszcie partia komunistyczna przestała rządzić na uczelni, żeby tzw. element „wroga ludu” przestał mieć znaczenie. Zjazd założycielski obradował w dniach 27–28 września w Małej Auli. Komunikat nr 14 ogłosił: „dziś w dniu Zjazdu jest nas 4600”. Jednym z nich był mój mąż, Tadeusz Kowalski!

W jednej tylko uczelni, największej w kraju, było już 4600 członków wolnego związku! To pokazuje, dlaczego wkrótce Solidarność liczyła 10 milionów!

Zjazd wybiera Komisję Zakładową. Przewodniczącym zostaje dr Andrzej Smirnow. I wreszcie... jeeest! Zjazd podejmuje uchwałę, że „delegaci w poczuciu odpowiedzialności za jedność niezależnego i samorządnego ruchu związkowego postanowili rozwinąć dalszą działalność w ramach NSZZ »Solidarność«”.

Komunikat nr 22 informuje, że Komisja Zakładowa została zobowiązana do wystąpienia do ministra nauki z żądaniem natychmiastowego odwołania rektora PW prof. S. Pasyńkiewicza. Politechnika Warszawska jako pierwsza w kraju uczelnia sama wybiera 11 kwietnia 1981 r. rektora. Zostaje nim prof. Władysław Findeisen, przewodniczącym kolegium elektorów jest prof. Stefan Weychert. I to on w grudniu 1981 r., kiedy wrócił z Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarnictwa, gdzie wspierał strajkującą młodzież „strażacką”, powie: pani Hanko, zaczęło się odliczanie. Trzeba pomyśleć, co należy schować.

Barbara Sułek-Kowalska

A
B
C
D
E
F
G
H
I
J
K
L
Ł
M
N
O
P
R
S
T
U
W
Y
Z
Ż

Komitety Obrony Więzionych za Przekonania

Istnieją dokumenty, na które wszyscy lubią się powoływać jako na szczytowe osiągnięcia potęgi ducha człowieka i ludzkiej dobroci. Trudno uwierzyć, ale w wieku XX także powstawały teksty fundamentalne dla cywilizacji. Do nich należy „Powszechna deklaracja praw człowieka”, uchwalona przez Zgromadzenie Ogólne ONZ w 1948 r. Dla przypomnienia – oto artykuły deklaracji dotyczące wolności obywatelskich:

Artykuł 18

Każdy człowiek ma prawo wolności myśli, sumienia i wyznania; prawo to obejmuje swobodę zmiany wyznania lub wiary oraz swobodę głoszenia swego wyznania lub wiary bądź indywidualnie, bądź wspólnie z innymi ludźmi, publicznie i prywatnie, poprzez nauczanie, praktykowanie, uprawianie kultu i przestrzeganie obyczajów.

Artykuł 19

Każdy człowiek ma prawo wolności opinii i wyrażania jej; prawo to obejmuje swobodę posiadania niezależnej opinii, poszukiwania, otrzymywania i rozpowszechniania informacji i poglądów wszelkimi środkami, bez względu na granice.

Artykuł 20

1. Każdy człowiek ma prawo spokojnego zgromadzania i stowarzyszania się.
2. Nikogo nie można zmuszać do należenia do jakiegoś stowarzyszenia.

Artykuł 21

1. Każdy człowiek ma prawo do uczestniczenia w rządzeniu swym krajem bezpośrednio lub poprzez swobodnie wybranych przedstawicieli.
2. Każdy człowiek ma prawo równego dostępu do służby publicznej w swym kraju.
3. Wola ludu jest podstawą władzy rządu; wola ta wyraża się w przeprowadzanych okresowo rzetelnych wyborach, opartych na zasadzie powszechności, równości i tajności lub na innej równorzędnej procedurze, zapewniającej wolność wyborów.

Już na pierwszy rzut oka widać, że wszystkie kraje bloku komunistycznego nie tyle nawet łamały poszczególne prawa człowieka, co były ufundowane na ich zaprzeczeniu. W Peerelu nie istniała wolność sumienia, wyznania, stowarzyszania się. Mówienie o swobodnym dostępie do informacji w kraju cenzurującym zaproszenia ślubne i głośzącej rozgłośnie radiowe było oczywistym szyderstwem.

Innym ważnym dokumentem jest „Akt końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie”, podpisany w 1975 r. w Helsinkach. Oto jego fragment:

Państwa uczestniczące będą szanować prawa człowieka i podstawowe wolności, włączając w to wolność myśli, sumienia, religii lub przekonań każdego bez względu na różnicę rasy, płci, języka lub religii. Będą one popierać i zachęcać do efektywnego korzystania z obywatelskich, politycznych, ekonomicznych, społecznych, kulturalnych i innych praw i wolności, które wynikają wszystkie z przyrodzonej godności ludzkiej osoby i mają podstawowe znaczenie dla jej swobodnego i pełnego rozwoju. W tych ramach Państwa uczestniczące będą uznawać i szanować wolność jednostki w zakresie wyznawania i praktykowania, indywidualnie lub wspólnie z innymi, religii lub przekonań zgodnie z nakazami jej własnego sumienia.

Podpisanie tego dokumentu przez Edwarda Gierka, pierwszego sekretarza PZPR, można było określić wyłącznie jako wyjątkową bezczelność. Więźniowie polityczni siedzieli w więzieniach przez cały okres istnienia Peerelu. Najpierw ich liczebność sięgała kilkudziesięciu tysięcy, potem wahała się: to rosła, to opadała. W więzieniach siedzieli działacze polityczni, społeczni, wojskowi, harcerze, księża i biskupi, dziennikarze, pisarze, uczniowie, studenci, chłopci zwani z tej okazji „kułakami”. Siedzieli także ludzie, którzy opowiadali dowcipy, pisali listy za granicę albo słuchali radia. Siedzieli świadkowie Jehowy i inni mężczyźni odmawiający odbycia dwuletniej służby wojskowej.

Władza ludowa początkowo chełpiła się procesami politycznymi. Nie chwalili się torturami czy morderstwami. Wyjątkiem były mordy sądowe – tymi się chwalili. Potem już nie musieli tego robić, ludzie bali się i tak. W latach 70. propaganda zaprzeczała istnieniu jakichkolwiek więźniów politycznych. Mogli tak kłamać skutkiem sprytnego manewru. Jeszcze na przełomie lat 60. i 70. skazywano ludzi za kolportaż literatury, przynależność do tajnej organizacji czy rozpowszechnianie fałszywych wiadomości. To nie były przestępstwa pospolite. Natomiast po protestach w czerwcu 1976 r. robotnicy Ursusa, Płocka i Radomia byli skazywani na wyroki wieloletniego więzienia za chuligaństwo i kradzieże. Nie zaś za strajki i protesty.

Władze twierdziły, że więźniów politycznych w Peerelu nie ma. Z jednym wyjątkiem. Kiedy w sierpniu 1980 r. strajkujący domagali się zwolnienia więźniów politycznych, „Dziennik Telewizyjny” poinformował ludność, że w Polsce jedynym więźniem tego rodzaju jest niemiecki nazista Erich Koch, gauleiter Prus Wschodnich. Prezenter pytał retorycznie: Czy to o niego chodzi uczestnikom nieuzasadnionych przerw w pracy?

W Porozumieniach Sierpniowych z 1980 r. władze zobowiązały się do wypuszczenia więźniów politycznych. Praktyka pokazała, że władze komunistyczne podpisały porozumienia ze strajkującymi wyłącznie po to, aby je łamać. Już 23 września aresztowano przywódcę Konfederacji Polski Niepodległej Leszka Moczulskiego. Jesienią 1980 r. aresztowano także innych działaczy KPN: Krzysztofa Bzdyla, Zygmunta Goławskiego,

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

Tadeusza Jandziszaka, Tadeusza Stańskiego i Jerzego Sychuta. W styczniu 1981 r. aresztowano Romualda Szeremietiewa.

W grudniu 1980 r. zaczęły powstawać Komitety Obrony Więzionych za Przekonania (KOWzaP). Tworzyli je działacze opozycji, Solidarności, NZS i pozostali na wolności członkowie KPN. Ludzie ci organizowali manifestacje, zbierali podpisy pod petycjami, organizowali głodówki. Skutkiem tych nacisków kierownictwo Konfederacji zostało zwolnione w czerwcu 1981 r. z aresztu. 15 czerwca rozpoczął się tzw. I proces KPN. Po miesiącu aresztowano ich ponownie. W sierpniu 1981 r. władze, bezpieka i milicja zaczęły nękać i zastraszać działaczy KOWzaP. Próbowano uniemożliwić im działanie. W tej sytuacji I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” postanowił uznać Komitety za agendy Związku. Oznaczało to, że ich działacze podlegali ochronie Związku na równi z członkami Solidarności.

W stanie wojennym większość działaczy Komitetów również poznała smak więziennego chleba. Więźniów politycznych w Polsce znów liczono w tysiącach. Latem 1982 r. Leszek Moczulski korzystał z gościny więzienia mokotowskiego. Przebywał tam w tym samym czasie sądzony za nadużycia były prezes Radiokomitetu Maciej Szczepański. Czasem spotykali się w więziennej „sieczkarni” (zbiorowa cela, rodzaj poczekalni, w której aresztowani oczekują na suki i konwojentów, by jechać do sądu). Siedzieli w milczeniu, nie odzywając się do siebie. Kiedy pierwszy z nich był wywołany do wyjścia, przechodząc obok drugiego, przystawał na chwilę. Wypowiadał formułę: „Życzę panu sprawiedliwego wyroku”. Drugi odpowiadał: „I nawzajem!”. Wyrok siedmiu lat więzienia dla Leszka Moczulskiego zdecydowanie do sprawiedliwych nie należał.

Ostatni więzień polityczny Peerelu, dziennikarz i historyk Józef Szaniawski, opuścił więzienie w Barczewie 22 grudnia 1989 r. Dziewięć dni przed powstaniem III Rzeczypospolitej. Trzy lata wcześniej w tym samym więzieniu zmarł gauleiter Erich Koch, jedyny człowiek uznawany przez władze Peerelu za więźnia politycznego.

Wojciech Tomczyk

Krzyż Katyński braci Melaków

Nie każdy uwierzył 31 lipca w wiadomość, że na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach stanął Krzyż Katyński z napisem „Katyń, Starobielsk, Ostaszków, Kozielsk, Wojsko Polskie 1940”. A wiadomość błyskawicznie zaczęła krążyć po Warszawie, ponieważ ci, którzy słyszeli ją na własne uszy – została ogłoszona przez głównego autora tej inicjatywy w archikatedrze i przy Grobie Nieznanego Żołnierza – telefonowali jeden do drugiego i to jeszcze przez wiele dni! Kto jednak pojechał na Powązki dopiero 1 sierpnia – jak co roku na całkowicie niezależne od władzy spotkanie powstańców warszawskich i ich rodzin przy grobach ich kolegów i dowódców – ten już Krzyża Katyńskiego nie zobaczył. Funkcjonariusze SB brutalnie go usunęli, czyli ukradli! Nie przewidzieli jednak, że miejsce po nim – Dolinka Katyńska – będzie płonęło setkami zniczy co roku i to już na zawsze!

Przez 35 lat PRL temat był całkowicie zakazany. O Katyniu nie mówili, nie pisali dziennikarze, historycy i nauczyciele. Bywało, że nie wiedzieli o sowieckiej zbrodni nawet absolwenci studiów historycznych na polskich uniwersytetach, a tu nagle pomnik z prawdziwą datą?! Słowo „Katyń” nie pojawiała się w cenzurowanej przestrzeni publicznej. Nawet dzieci zamordowanych w Katyniu oficerów, żeby dostać się na studia, pisały w zniechęconych kwestionariuszach osobowych, że ojciec zginął na wojnie albo z niej nie wrócił. Dopiero karnawał Solidarności sprawił, że o zbrodni katyńskiej zaczęto mówić, bo pojawili się ludzie, którzy postanowili przywrócić, czy raczej odzyskać narodową pamięć o tysiącach polskich oficerów zamordowanych przez sowieckie państwo w kwietniu 1940 r. w Katyniu. Drugoobiegowe – czyli bezdebitowe, czyli niezależne i wciąż podziemne – wydawnictwa mocno pracowały na rzecz edukacji o zbrodni katyńskiej, choć przecież nie były w stanie naprawić społecznych szkód wyrządzonych przez 40 lat milczenia.

Na samym czele walczących w tamtych czasach o prawdę katyńską należy postawić Stefana Melaka i jego braci Arkadiusza, Andrzeja, Sławomira – to ich dziełem był Krzyż Katyński na Powązkach. Duchowego wsparcia udzielał im zawsze ks. Wacław Karłowicz, jeden z legendarnych księży warszawskich, kapelan Powstania Warszawskiego, ps. Andrzej Bobola. Od 1974 r. wraz z nimi Stefan Melak tworzył Krąg Pamięci Narodowej, a od 1979 r. tajny Komitet Katyński. Mieszkali na warszawskim Gocławku, gdzie ks. Karłowicz był proboszczem kościoła św. Wacława, skąd dwa kroki do Olszynki Grochowskiej z jej pamiętną bitwą Powstania Listopadowego, którą bracia też objęli upamiętnieniem i działaniem. Ale wróćmy do Krzyża Katyńskiego.

Przygotowania odbywały się w największej tajemnicy, o czym opowiadał mi wiele lat później sam Stefan Melak. Prace nad granitowym krzyżem – wysokim na cztery metry, co już na starcie utrudniało prace organizacyjne – były prowadzone przez kilka miesięcy w garażu Arkadiusza Melaka, który był autorem artystycznego projektu krzyża

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

i jego wykonawcą. Problem transportu i wjazdu na cmentarz z tak dużym obciążeniem bracia Melakowie rozwiązali, wypożyczając – w jaki sposób zorganizowali pożyczkę, pozostaje ich tajemnicą – samochód Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania Miasta, który nad ranem mógł swobodnie wjechać na Cmentarz Powązkowski. Śmieci nawet w PRL nie budziły zainteresowania ani podejrzeń.

Ale Krzyż Katyński został ukradziony i wywieziony w nieznanym kierunku. Oficjalna wersja władz głosiła, że zrobili to „nieznani sprawcy”. Stefan Melak nie dał za wygraną, złożył doniesienie do prokuratury, przedstawił sprawę księdzu prymasowi i władzom Warszawy. Na zjeździe Solidarności Stefan rozdał 4 tys. egz. „Oświadczenia” Komitetu Katyńskiego i doprowadził do uchwały poparcia w staraniach o zwrot Krzyża Katyńskiego. Powołał też Obywatelski Komitet Budowy Pomnika Ofiar Katynia, który 6 grudnia wmurował akt erekcyjny pod pomnik Katyński na Cmentarzu Powązkowskim.

Barbara Sułek-Kowalska

[REDACTED]

[REDACTED]

„Laborem exercens”

Druga encyklika Jana Pawła II „O pracy ludzkiej” została ogłoszona 14 września, kiedy w Gdańsku, w dwóch turach, obradował I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” (5–10 września oraz 26 września – 7 października 1981 r.). To było prawdziwe święto wolności – wielkie, burzliwe, fascynujące i wspaniałe wydarzenie. Dla młodej dziennikarki, jaką wówczas byłam – jedyne w swoim rodzaju. Zjazd rozpoczął się mszą św., której przewodniczył nowy prymas abp Józef Glemp. Kapelanem zjazdu był przyjaciel Jana Pawła II ks. Józef Tischner z Krakowa. To jego kazanie było najbardziej nagradzane oklaskami i najbardziej dyskutowane. Nie było wątpliwości, że ks. Tischner przemawia niejako z mandatu samego papieża, choć nikt tego tak nie nazwał. W dodatku ks. Tischner mówił o pracy – jej godności, jej niepodległości, jej wspólnotowym charakterze. To kazanie zostało decyzją całego zjazdu włączone do jego oficjalnych dokumentów.

A kiedy w świat poszła wiadomość o nowej encyklice, zapanowało wręcz poczucie, że jest ona odpowiedzią na Solidarność i zarazem z niej wyrasta, choć przecież została ogłoszona z okazji 90 rocznicy „Rerum novarum”, ważnej encykliki Leona XIII. Encyklika Jana Pawła II pokazuje, że praca ludzka jest działaniem, przez które człowiek przekracza siebie i zmienia świat – czyni go sobie poddanym. Człowiek powołany do pracy przez Boga uczestniczy w działaniu Stwórcy. Praca jest dla człowieka, a nie odwrotnie.

W „Laborem exercens” papież wyraźnie wskazuje na priorytet człowieka i jego pracy nad kapitałem oraz wartości duchowych nad materialnymi. Znaczący twierdzą, że jest to encyklika najbardziej w dziejach społecznej myśli Kościoła skupiona wokół jednego problemu. Powtarza się w niej sformułowanie „ewangelia pracy” i zarazem najbardziej osobista, bo przecież papież wykorzystał w niej własne doświadczenia pracy fizycznej, którą wykonywał w młodości. Ta encyklika była wówczas i pozostaje nadal wielkim wsparciem intelektualnym dla wolnych związków zawodowych pojmowanych jako „ruch solidarności” społecznej.

Barbara Sułek-Kowalska

Lipcowa podwyżka i przyziemne postulaty

Lipcowe strajki w 1980 r. na Lubelszczyźnie, podobnie jak w innych miejscach w kraju, miały charakter spontaniczny i były bezpośrednią reakcją na wprowadzone podwyżki. Ich głębszą przyczynę stanowiło niezadowolenie z narastających uciążliwości dnia codziennego: pustych półek sklepowych, wielogodzinnego stania w kolejkach, braku podstawowych artykułów pierwszej potrzeby (żywność, środki higieny, odzież, obuwie itd). Od kilku lat w środowiskach robotniczych narastała jednocześnie gotowość do upomnienia się o sprawy socjalne i pracownicze, pozostające w rażącej sprzeczności z głoszonym oficjalnie „dobrobytem” „robotniczego” państwa. Warto też zauważyć, że lipcowa fala strajków przebiegła jeszcze bez inspiracji i udziału opozycji politycznej.

Robotnicy domagali się zmniejszenia różnic płacowych, podniesienia najniższych wynagrodzeń, podwyższenia dodatków rodzinnych, ustalenia jasnych kryteriów przeseregowania, przedłużenia płatnych urlopów macierzyńskich, ujednoczenia systemu emerytalnego, skrócenia do 6 godzin czasu pracy matek dzieci w wieku do lat 8, stosowania jawności kryteriów podziału dóbr materialnych i poprawy świadczeń socjalnych. Inne dotyczyły: poprawy zaopatrzenia w artykuły żywnościowe w lokalnych sklepach (zwłaszcza mięsnych), cofnięcia podwyżek cen, zaprzestania sprzedaży artykułów krajowych w sklepach PEWEX, utrzymania talonów na cukier oraz wprowadzenia talonów na artykuły przemysłowe, których brakuje w sklepach, zlikwidowania korupcji w lecznictwie.

Ponadto domagano się poprawy warunków socjalnych oraz zagwarantowania ustawowo wolnych sobót, ochrony strajkujących przed zwolnieniem z pracy, zmian rad zakładowych i wyboru nowych, niezależnych od dyrekcji, wypłaty należności za dni strajku z puli związków zawodowych, uniezależnienia działalności związków zawodowych od administracji i aparatu partyjnego oraz umożliwienia „drukowania w prasie wszystkiego, co ważne w życiu politycznym i gospodarczym”. Najogólniej rzecz ujmując, chodziło o chleb i wolność, o godność i sprawiedliwość.

W czasie Lubelskiego Lipca zgłoszono ok. 1,2 tys. wniosków i postulatów. W zdecydowanej większości miały one charakter wewnątrzzakładowy, socjalny i ekonomiczny. Niektóre wykraczały jednak poza ten horyzont. To właśnie w lipcu lubelscy robotnicy postawili postulat wprowadzenia wolnych sobót, wówczas odrzucony przez władze, ale kilka tygodni później umieszczony na liście 21 postulatów gdańskiego Sierpnia. Wyłomem dla ówczesnego porządku ustrojowego było powszechne żądanie zrównania zasiłków rodzinnych z obowiązującymi w milicji i wojsku. Po raz pierwszy podważono dotychczasową rolę związków zawodowych i zarzucono im uzależnienie od władz.

A
B
C
D
E
F
G
H
I
J
K
L
Ł
M
N
O
P
R
S
T
U
W
Y
Z
Ż

Zakończenie strajku w WSK Świdnik podpisaniem pierwszego pisemnego porozumienia władz z przedstawicielami pracowników stanowiło precedens w dziejach konfliktów społecznych PRL i torowało drogę do podobnego rozwiązywania kolejnych protestów. Pokojowe, osiągnięte drogą negocjacji rozstrzygnięcie protestów na Lubelszczyźnie stało się inspiracją do rozpoczęcia lepiej zorganizowanego i dalej idącego strajku w Stoczni Gdańskiej, a następnie na całym Wybrzeżu.

Paweł Janowski

Lipcowe porozumienia na Lubelszczyźnie

Lipiec okazał się przełomowym miesiącem nie tylko na Lubelszczyźnie, ale i w całej Polsce. 1 lipca 1980 r. decyzją Związku Spółdzielni Spożywców „Społem” wprowadzono w bufetach przyzakładowych w całym kraju podwyżkę cen niektórych gatunków wyrobów mięsnych. Komuniści, pamiętając rok 1976, nie wprowadzili jej ani zarządzeniem rządowym, ani uchwałą parlamentu. Komuna gospodarczo zaczęła się chwiać, dlatego władze PRL musiały przyjąć jakiś program oszczędnościowy. Liczyły na to, że w wakacje podwyżka zostanie przyjęta spokojniej, dlatego zdecydowano się na lipiec. Reakcja robotników zaskoczyła komunistów. Tego samego dnia wybuchły strajki w WSK „PZL-Mielec”, w Zakładach Mechanicznych „Ursus” w Warszawie, w Zakładach Metalurgicznych „Pomet” w Poznaniu, w Sanockiej Fabryce Autobusów „Autosan” w Sanoku, w Fabryce Obrabiarek Specjalizowanych „Ponar-Tarnów” oraz wśród kierowców Oddziału VII Przedsiębiorstwa „Transbud” w Tarnobrzegu, zatrudnionych przy budowie Elektrowni „Połaniec”. To były jeszcze rozproszone protesty, które szybko „załatwiano” lokalnie, ustępowano „punktowo”.

Paradoksalnie właśnie szybkie uleganie żądaniom pracowników zachęcało do strajku kolejne zakłady. W dniach 3 i 4 lipca kontynuowano strajk w WSK Mielec, ZM „Ursus” i jego filiach oraz częściowo w Fabryce Przekładni Samochodowych „Polmo” w Tczewie. 3 lipca strajkowały ponadto: Wydział Wręgowni w Stoczni Gdańskiej, zakłady Pomet w Poznaniu, Centrum Naukowo-Produkcyjne Technik Komputerowych i Pomiarowych w Warszawie, wydział Fabryki Lamp Kineskopowych „Zelos” w Piasecznie k. Warszawy, część zakładów Zelmot w Warszawie, Walcownia w Śremie (filia Zakładów im. Hipolita Cegielskiego w Poznaniu), Zakłady Remontu Obrabiarek „Ponar-Reso” w Żyrardowie oraz żyrdowskie Zakłady Spirytusowe „Polmos”. 4 lipca strajkowało Tarnowskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Ogólnego. Pierwsza fala lipcowych strajków dogasała. 5 lipca stopniowo wróciły do pracy ostatnie grupy strajkujących w WSK Mielec. Pojedyncze strajki trwały w kraju przez cały lipiec. Nigdzie nie osiągnęły jednak takiej skali jak na Lubelszczyźnie.

Strajki na Lubelszczyźnie rozpoczęły 8 lipca o godz. 9.30 protest załogi Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego „PZL-Świdnik”, kiedy to przerwali pracę pracownicy Wydziału Obróbki Mechanicznej. Po przerwie śniadaniowej bunt objął już całą halę nr 1, z trzema wydziałami mechanicznymi. O godz. 11 przerwali pracę pracownicy produkcyjni pozostałych wydziałów (ok. 3 tys. osób). Około godz. 12.30 strajk ogarnął już całą załogę, a ok. godz. 15 w ponad 90 proc. załoga pierwszej zmiany opuściła zakład. Strajk uratowały małe grupki uczestników protestu, które pozostały i spowodowały

A
B przedłużenie protestu na drugą zmianę. Dyrekcja z aktywnym partyjnym podjęła działania odwetowe, tworząc 200-osobową grupę łamistraków.

C W drugim dniu strajku wydziały WSK – mechaniczny, montażu, narzędziownia – nie przystąpiły do pracy. Strajkowało już ok. 4 tys. osób. Zablokowano centralę telefoniczną, odcinając łączność na zewnątrz. Mimo to już ok. godz. 10 zebrało się ponad 2 tys. osób i rozpoczął się wiec załogi. Rosła liczba protestujących. W obliczu rosnącego strajku wojewoda poinformował o pozostawieniu cen sprzed 8 lipca w kioskach i bufetach zakładowych oraz obiecał poprawę asortymentu, jakości i ilości zaopatrzenia.

D
E
F Robotnicy rozeszli się do wydziałów i tam spisali postulaty – w sumie 568. Około godz. 15 pracownicy pierwszej zmiany opuścili zakład pracy, ale druga zmiana kontynuowała strajk. Naciski na jego zakończenie nie ustawały. Protestujący często powtarzali argument, że „nie oni pierwsi przzerwali pracę i nie oni pierwsi ją rozpoczną”. 10 lipca, przed przybyciem ludzi do pracy, na poszczególnych wydziałach rozwieszono informacje o zadeklarowanych poprzedniego dnia nowych tabelach płacowych. Z samego rana komisja powołana do spraw wniosków załogi dokonała ich uporządkowania. Ostatecznie lista postulatów zawierała 110 punktów, żądania kierowano pod adresem dyrekcji zakładu, naczelnika miasta, władz wojewódzkich oraz władz centralnych.

G
H
I
J
K Robotnicy wybrali swoją reprezentację do rozmów z władzami. 11 lipca o godz. 9, w czwartym dniu strajku, w sali konferencyjnej zebrało się 250 reprezentantów załogi. Ponownie wybrano skład Komitetu Postojowego. W tym samym czasie przed gmachem dyrekcji zebrało się ok. 1 tys. osób, do których wyszli przedstawiciele Rady Zakładowej oraz Komitetu Postojowego. Zofia Bartkiewicz z Prezydium Komitetu Postojowego zaapelowała do zebranych o podjęcie pracy, uzasadniając to potrzebą uniknięcia dalszych strat oraz tym, że postulaty załogi są rozpatrywane i będą sukcesywnie wcielane w życie. Sytuację uratował Zbigniew Puczek, któremu udało się wydostać z budynku biurowca i który zaproponował ponowne wybranie delegatów wydziałów (z każdego działu po 7 osób: co najmniej 3 osoby do prowadzenia rozmów z dyrekcją, co najmniej 3 osoby do straży porządkowej oraz 1 osobę do utrzymywania łączności).

L
Ł
M Mimo że władze żądały natychmiastowego podjęcia negocjacji, w ciągu niecałej godziny dokonano nowych wyborów. Strajkujący próbowali wymusić na dyrekcji wydanie nowych przepustek, by trójki porządkowe mogły wyeliminować z terenu zakładu obcych, czyli funkcjonariuszy SB.

N
O
P
R Rozpoczęły się ponad 8-godzinne negocjacje, zakończone podpisaniem porozumienia kończącego strajk. Jest to prawdopodobnie pierwsze pisemne porozumienie zawarte między władzami komunistycznymi PRL a strajkującymi. Po 81 godzinach strajku pracownicy WSK Świdnik podjęli pracę.

S
T
U
W Tymczasem lubelska lawina strajkowa zaczęła się już drugiego dnia strajku w Świdniku. 9 lipca rozpoczęła protest Fabryka Maszyn Rolniczych „Agromet”, gdzie na tle płacowym na 3 godziny pracę przerwało 70 pracowników. 10 lipca protest objął większość pracowników (ok. 1,2 tys. osób). Postulaty i żądania robotników dotyczyły głównie poprawy sytuacji płacowej oraz utrzymania cen artykułów mięsnych na poprzednim

poziomie. Także 10 lipca zastrajkował Zakład Naprawczo-Produkcyjny Mechanizacji Rolnictwa w Lublinie. Nie pracowało ok. 50 pracowników pierwszej zmiany, którzy w przedłożonej petycji oraz w czasie rozmów z dyrekcją domagali się poprawy zaopatrzenia w artykuły żywnościowe, przywrócenia dawnych cen detalicznych oraz likwidacji sklepów komercyjnych. Pojawiły się także roszczenia natury płacowej i socjalnej. W wyniku perswazji dyrekcji udało się skłonić pracowników drugiej zmiany do warunkowego podjęcia pracy.

Ponadto 10 lipca rozpoczęły strajk Lubelskie Zakłady Naprawy Samochodów. Strajkowało ok. 900 osób. Robotnicy żądali 40-proc. podwyżki płac, poprawy zaopatrzenia w żywność, poprawy warunków socjalnych oraz zagwarantowania ustawowo wolnych sobót. Załoga nie chciała wydelegować przedstawicieli do negocjacji, obawiając się, że ludzie ci zostaną później zwolnieni z pracy. Pertraktacje nie doprowadziły do podjęcia pracy. 11 lipca, w drugim dniu strajku, pracownicy LZNS odrzucili obietnicę dyrektora zjednoczenia dotyczącą wprowadzenia minimalnych podwyżek płac. Na pierwszej zmianie strajkowało 770 osób, a na drugiej ok. 300. Poprzez rozmowy z aktywnym i wybranymi pracownikami władze – bezskutecznie – usiłowały wznowić pracę dwóch wydziałów.

12 lipca, w trzecim dniu strajku w LZNS, kierownicy i mistrzowie przekonali robotników o potrzebie wytypowania przedstawicieli załogi do rozmów z dyrekcją. Po przełamaniu obaw, w stolarni Wydziału Montażu zorganizowano grupę przedstawicielską. O godz. 8.20 postulaty były już gotowe: wprowadzenie piątej tabeli płac, 25-proc. stałej premii, właściwego zaopatrzenia miasta w żywność, wyrównania zasiłków rodzinnych do poziomu obowiązującego w milicji i wojsku, niekaranie za udział w strajku, zmiana Rady Zakładowej i wybór nowej, niezależnej od dyrekcji, wypłata należności za dni strajku z puli związków zawodowych, wprowadzenie ustawowo wolnych sobót niezależnie od wykonania planu, poprawa warunków socjalnych.

Równolegle z prowadzonymi rozmowami władze wykorzystują aktywność partyjny do przełamania solidarności strajkujących. Do biurowca pojedynczo wzywa się wybranych pracowników i nakłania ich do podjęcia pracy. O godz. 11.20 w hali napraw Jelcza 315 „urobiona” przez władze grupa próbuje rozpocząć pracę. Zamiary te niweczy interwencja ok. 200 robotników. Do ponownej próby złamania strajku dochodzi w punkcie wydawania naprawionych autobusów. Robotnicy zapobiegawczo blokują ciężarówkami jelczami bramę i wjazd do magazynów. Sobotnie rokowania z dyrekcją kończą się fiaskiem. 12 lipca strajk objął też filie zakładu.

Już 10 lipca w Fabryce Samochodów Ciężarowych w Lublinie, największym zakładzie pracy na Lubelszczyźnie, na wydziałach Tłoczni i Montażu towarzysząca wypłacie wynagrodzeń wiadomość o obniżeniu premii z 28 do 15 proc. wywołuje wśród załogi atmosferę niezadowolenia. 11 lipca o godz. 6 Wydział Tłoczni rozpoczyna strajk. Rozmowy dyrekcji ze zgromadzoną w świetlicy załogą wydziału nie dają rezultatu. W następnych godzinach do strajku przystępują kolejne wydziały: strajkuje ok. 1 tys. pracowników pierwszej zmiany, następnie ok. 600 z drugiej zmiany (na 800 osób).

A
B
C
D
E
F
G
H
I
J
K
L
Ł
M
N
O
P
R
S
T
U
W
Y
Z
Ź

Na trzeciej zmianie strajkują już wszystkie wydziały produkcyjne. Dowodem odpowiedzialnej społecznie postawy załogi jest praca Wydziału Elektrociepłowni, dostarczającej ciepłą wodę mieszkańcom Lublina, a także pracowników obsługujących piece do obróbki cieplnej (ich wygaszenie spowodowałoby ogromne straty dla zakładu). Warunkiem powrotu załogi do pracy jest zawarcie pisemnego porozumienia. Pracownicy otrzymali 1 tys. zł podwyżki, a minister przemysłu maszynowego zagwarantował bezpieczeństwo strajkującym. Po podpisaniu porozumienia, ok. godz. 13 załoga powróciła do pracy.

I tak już każdego dnia na całej Lubelszczyźnie. 11 lipca – przerwało pracę ok. 150 pracowników Wydziału Mechanicznego w Zakładach Azotowych „Puławy”, a 4 dni później strajkuje już 1 tys. pracowników pierwszej zmiany z pięciu wydziałów pomocniczych i transportu, którzy żądają podwyżek płac. 12 lipca – zastrajkowało 420 pracowników Lubelskich Zakładów Mięśnych, gdzie poprzedniego dnia przedłożono postulat 20-proc. podwyżki płac. 14 lipca – w Lubelskich Zakładach Drobiarskich pracę przerwało ok. 200 osób na pierwszej zmianie, domagając się podwyżek płac. Po podniesieniu płac pracownicy drugiej zmiany podjęli pracę. 11, 12 i 14 lipca – strajkują stacje obsługi PP „Polmozbyt” w Lublinie, żądając podwyżki płac, poprawy warunków socjalnych i obniżki cen na artykuły spożywcze. Dyrekcja zapowiada podwyżki płac.

15 lipca władze zameldowały z niepokojem: „zauważono próby docierania do niektórych zakładów pracy osób niebędących pracownikami tego zakładu”. 16 lipca na terenie Lublina i woj. lubelskiego strajki objęły 32 zakłady pracy, a uczestniczyło w nich ponad 8 tys. osób. Jak podkreśla minister spraw wewnętrznych, z rozszerzaniem się fali strajkowej ma związek szerokie przenikanie do załóg pracowniczych informacji o udanych strajkach w dniach poprzednich i spełnianiu przez władze wielu postulatów płacowo-socjalnych, wysuwanych przez załogi. 16 lipca o godz. 7.15 rozpoczyna strajk Lokomotywnia Pozaklasowa PKP w Lublinie. Miasto stanęło następnego dnia, gdy komunikacja miejska również zastrajkowała.

Strajki kierowców spowodowały wstrzymanie zaopatrzenia Lublina w artykuły spożywcze, z wyjątkiem dostaw mleka do żłobków i przedszkoli. Zastrajkowały: Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska „Bursaki”, Lubelskie Zakłady Zielarskie „Herbapol” w Lublinie, „Transbud” Oddział w Lublinie, Zakłady Przemysłu Motoryzacyjnego „Elektromot” w Lublinie oraz Miejskie Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji w Lublinie.

17 lipca, według Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, strajki w Lublinie i woj. lubelskim objęły ok. 40 zakładów pracy. Władze zakładowe i państwowe zaczęły się poważnie obawiać konsekwencji. Fala protestów się rozlewa i jest już nie do zatrzymania. Strajkują także małe zakłady i małe miasteczka – cała Lubelszczyzna.

Z każdym dniem, wraz z podpisywanymi porozumieniami sytuacja jednak powraca powoli do normy. Od 21 lipca zmniejszyła się fala strajków, a 25 lipca na terenie całej Lubelszczyzny pracowały już wszystkie zakłady pracy. Strajkowa atmosfera trwała tu jeszcze przez kilkanaście dni. Strajki Lubelskiego Lipca objęły ok. 160 zakładów pracy, głównie na terenie ówczesnego woj. lubelskiego, z czego większość (90) w samym

Lublinie. Ponadto, w mniejszym stopniu, fala strajkowa objęła także ówczesne woj. chełmskie, białkopodlaskie i zamojskie. Liczbę strajkujących szacuje się na ponad 60 tys. (ta kwestia wymaga dokładnych badań). Na tle wszystkich lipcowych strajków w kraju (177 zakładów pracy, 81 tys. strajkujących) rozmiary strajków Lubelskiego Lipca zdecydowanie przekraczały granice tego, co do tej pory widziały komunistyczne władze.

Paweł Janowski

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

Ludzie Grudnia '70

Rok powstania Solidarności – 1980 był przełomowy w procesie odświeżania prawdy o historii Polski. Dotychczasowa wiedza o latach poprzednich skrywana była w archiwach komunistycznej bezpieki albo PZPR. Dzięki wolności wywalczonej przez 10-milionowy związek NSZZ „Solidarność” możliwe stało się odkrywanie kolejnych faktów ukrywanych dotychczas przez cenzurę PRL. Szczególnie ukrywane były fakty związane ze zbrodniami komunistów w 1970 r. w Trójmieście – brutalność milicji i wojska, liczba zamordowanych, skatowanych, postrzelonych i wyrzuconych z pracy.

Rok 1980 pozwolił odkrywać skalę tych zbrodni oraz tożsamość zabitych i rannych. Jednym z kilku tysięcy rannych był Adam Gotner, w 1970 r. uczeń Technikum Mechanicznego i pracownik gdyńskiej stoczni. 17 grudnia jedzie on kolejką do pracy na pierwszą zmianę. Grudniową ciemność rozświetlają mdłe peronowe lampy. Po wyjściu z wagonów na słabo rozświetlonych peronach współpasażerowie zatrzymują się i stoją jak cienie. Przez gwar wsłuchują się w ledwie słyszalne komunikaty. Jedne nawołują do powrotu, inne do pracy w stoczni. Adam zmierza w kierunku stoczniowej bramy. Ulicę blokują czołgi i wojskowe transparenty z ciężkimi karabinami maszynowymi. Adam nagle zwalnia. Z lufy czołgu wylatuje pocisk. Adam nie wie: ślepek czy...? Cofa się z tłumem, który wpada w panikę. Po salwie słyszy serię z CKM ustawionego naprzeciwko czołgu. Kątem oka widzi błyski rozgrzanych pocisków wylatujących z karabinu. Nie wie dlaczego, ale schyla się do człowieka, który jeszcze przed chwilą stał przed nim. Ten podkurcza nogi i nagle je prostuje. Adam chce go podnieść. Brakuje mu tchu. Powie później: – Tak jakby ktoś przykrył mi twarz poduszką. Człowiek bezwładnie upada. Adam próbuje go podnieść. Nie ma świadomości, że jego kompan nie żyje. Sam próbuje postawić go na nogi. Nie rozumie, dlaczego ręce odmawiają mu posłuszeństwa. Nie wie, że ma w sobie sześć kul. Jeszcze widzi wokół siebie leżących na ulicy. Zrywa się. Biegnie, depcząc po brzuchach, plecach. Czuje nieopisaną bezradność. Upada. Ale gdzie? Może na wysokości Dworca Głównego. Na chwilę odzyskuje przytomność w furgonetce. Nie wie, że jest wśród ciężko rannych i zabitych. Budzi się w izbie przyjęć tymczasowo zamienionej na kostnicę. Nikt się nim nie zajmuje. Uważają go za nieboszczyka z przestrzeloną tętnicą. Adam jednak odzyskuje na krótko przytomność. Widzi młodego mężczyznę ze spuszczoną głową, z na wpół rozerwanymi plecami i płucami. Słyszy lekarzy, którzy kwalifikują ciężko rannych – do życia albo do śmierci. Tego da się uratować, tamtego już nie – słyszy. Po kolejnej wizycie lekarzy Adam zostaje zakwalifikowany do żywych. Trafia na salę operacyjną. Budzi się po czterech dniach. Po blisko roku od wyjścia z kolejki wraca do domu. Kończy technikum. Wraca do pracy. Wszyscy wiedzą, że jest ofiarą Grudnia. Ale o tym głośno się nie mówi. Jednak pamięć o tamtych wydarzeniach nigdy w Trójmieście nie zginie. W 1980 r. Adam Gotner bierze udział

w strajku i współtworzy Solidarność w gdyńskiej stoczni. Zostaje też jednym z inicjatorów i bardzo aktywnym organizatorem budowy w Gdyni dwóch pomników poświęconych poległym stoczniowcom. W latach 80. działa w podziemiu Solidarności. Po 1989 r. aktywnie włączy się w budowę nowej Polski.

Mateusz Wyrwich

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż



Ładni ludzie, normalny język

„Jacy ludzie zrobili się nagle ładni” – to spostrzeżenie słyszało się często w pierwszych miesiącach powstawania Solidarności jesienią 1980 r. Ten być może zaskakujący dla młodego czytelnika cytat można zrozumieć jedynie wtedy, gdy pamięta się realia życia codziennego w PRL z epoki Edwarda Gierka. Oprócz wąskiej elity partyjnej, wybrańców władzy ze świata sportu, sztuki i nauki oraz wąskiej grupy ludzi z prywatnej inicjatywy „umiejących się ustawić” – cała reszta obywateli musiała wszystko, co potrzebne do życia, zdobywać lub „załatwiać”: sprytem, układami lub wytrwałością każącą stać w wielogodzinnych kolejkach.

Te wszystkie bolączki dnia codziennego, uwiecznione kpiarsko w filmach Stanisława Barei, w realiach PRL doprowadzały do łez goryczy. Upokarzały i rozwścieczały, ale też skłaniały do najprostszej reakcji przypominającej tzw. falę w wojsku – odreagowywania swoich krzywd agresją i chamstwem wobec innych, tak samo udręczonych przez system komunistyczny. Przepychano się „na chama” w tramwaju, zamykano innym drzwi przed nosem, łatwo dochodziło do kłótni, a nawet rękoczynów. Ludzie, aby zemścić się za swoją walkę o najprostszy produkt, korzystali z każdego wymiaru posiadanej władzy, aby upokorzyć innych. „Nie ma”, „Zamknięte”, „Nie podoba się, to proszę nie brać” – takimi burkliwymi odzywkami sprzedawczynie odreagowywały na klientach frustrację z powodu słabych zarobków czy przemęczenia.

Na tym tle zapal tworzenia Solidarności i ogólne nadzieje na jakąś lepszą egzystencję naprawdę rozjaśniały twarze. Zapominano na jakiś czas o wyścigu szczurów do rolki papieru toaletowego czy deficytowej paczki kawy. Można było wrócić do autentycznego patriotyzmu, niekiedy naiwnego, ale opartego na rodzinnych tradycjach poświęcenia dla dobra wspólnego. Dla ludzi wierzących był to krótki okres w PRL, gdy nie musieli drzeć, czy ich wiara nie zablokuje awansu w pracy.

Piotr Semka

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

Marsze głodowe

Najbardziej zapamiętano te z Łodzi – tysiące prządek łódzkich i robotnic idących w demonstracjach w centrum miasta z transparentami „Chcemy jeść”. Liderzy regionów Solidarności zorganizowali marsze jako protest przeciw decyzji rządu PRL z 23 lipca 1981 r. o zmniejszeniu o jedną piątą kartkowych norm zaopatrzenia w mięso i jego przetwory. Jednocześnie dokonano podwyżki cen większości produktów żywnościowych. W odpowiedzi Solidarność zapowiedziała marsze głodowe.

Pierwszy z nich odbył się 25 lipca 1981 r. w Łodzi z udziałem około 5 tys. demonstrantów. W kolejnych dniach podobne pochody odbyły się w Krakowie, Nowym Sączu, Kutnie, Przemyślu, Piotrkowie Trybunalskim, Łasku, Zduńskiej Woli, Puławach, Częstochowie, Ostrowcu Świętokrzyskim, Bełchatowie, Tomaszowie Mazowieckim, Żelowie i Szczecinie.

Największy marsz głodowy przeszedł największą łódzką arterią – ul. Piotrkowską 30 lipca 1981 r. i zgromadził około 50 tys. ludzi, głównie kobiet z dziećmi.

Niezależnie od intencji organizatorów z „S” – marsze głodowe pokazały wielu ludziom bezsilność Związku wobec rosnącej arogancji władzy. U części wymęczonych ludzi z premedytacją wywoływano fatalistyczną postawę: niech to już się wszystko skończy.

Piotr Semka

Matryca białkowa

To ona była jedynym łatwo dostępnym, a więc najpopularniejszym narzędziem powielania tekstów w czasach rewolucji Solidarności. Skutecznym sposobem omijania komunistycznej cenzury i łamania monopolu państwa PRL na przekaz informacji. Matryca białkowa była tańsza oraz sto razy bardziej rozpowszechniona od powielaczy i zazwyczaj czechosłowackich powielarek spirytusowych. Każdy, komu przypadła rola operatora ciężkiego metalowego wałka, który rozprowadzał farbę po kartce – pamięta zapewne nieznośny ułamek sekundy, gdy wałek trzeba było zatrzymać w powietrzu, aby kolega podkładający papier mógł zabrać wydrukowaną kartkę. To zatrzymanie wałka i zmaganie o jego utrzymanie nieruchomo w powietrzu, powtarzane po raz tysięczny, powodowało charakterystyczny ból mięśni przedramienia. Suszące się na specjalnych linkach kartki zatruwały i wywoływały ból głowy zapachem farby w niewielkich zazwyczaj pomieszczeniach domorosłych drukarni. Remedium bywało picie dużych ilości mleka, podwędzanego niekiedy – wstyd się przyznać – sprzed okolicznych bloków.

I te ciągle kłopoty z pękającymi matrycami „Skolwin” oraz gęstością farby. Na tle kiepskich skolwinów jako ideał jawią się białkówki angielskiej firmy Gestetner, przywożone z Zachodu przez zagraniczne delegacje. A jednak mimo bólu głowy od farby i bolących rąk od dźwigania wałka – chętnych do druku nigdy nie brakowało. Świadomość, że ulotki to bardzo dolegliwa i celna broń przeciw komunie, wynagradzała wszelkie niedogodności.

Piotr Semka

Mediatorzy

Na początku lat 80. społeczeństwo nie miało prawie żadnej łączności z władzą. Podział był ścisły. Robotnicy oczywiście nie utrzymywali praktycznie żadnych kontaktów z inteligencją. Nie było kontaktów sąsiedzkich. Ludzie udręczeni trudami życia codziennego z trudem podtrzymywali nieliczne kontakty rodzinne czy przyjacielskie. Restauracje w dzisiejszym znaczeniu tego słowa nie istniały, nie istniała też instytucja grilla, co swoją drogą dziś wydaje się zupełnie niemożliwe. Większość ludzi żyła w przekonaniu, że jedynym oparciem jest najbliższa rodzina. Owszem, zakładano, że ludzie widywani na przykład w kościele zasługują na zaufanie. Ale dla większej spokojności lepiej było siedzieć cicho i nie nawiązywać kontaktów.

Władza, ludzie z nią współpracujący byli postrzegani jako istoty wrogie, część opresyjnego systemu. Nie działało się tak bez powodu. Oprócz partyjnych istnieli też w społeczeństwie jawni i tajni współpracownicy milicji i bezpieczeństwa. Po powstaniu Solidarności podział na „nas” i „ich” stał się zupełnie jawny. Kolejne prowokowane przez władzę kryzysy – aresztowanie członków KPN, Jana Naroźniaka, kryzys bydgoski, machinacje na rynku żywności etc. – pogłębiały ten podział.

Właśnie w czasie kryzysów bywali potrzebni mediatorzy. Ludzie, którzy byli wiarygodni dla jednej i drugiej strony, którzy przynajmniej w teorii byli łącznikami, a nie reprezentantami stanowiska jednej ze stron. Nawet potencjalnych mediatorów nie było wielu. Wymagania, którym musieli oni sprostać, były niezwykle wyśrubowane. Po pierwsze musieli być ludźmi funkcjonującymi publicznie, jednocześnie wiarygodnymi, a co najmniej nieskompromitowanymi. Musieli być wiarygodni także dla drugiej strony. To znaczy – nie mogli być mediatorami na przykład opozycjoniści przedsiębiorciami ani żadni inni bohaterowie wewnątrzpartyjnych szkoleń czy czarne charaktery ówczesnych szczujni. Po drugie mediatorzy musieli rozumieć co najmniej dwa języki dla nich obce. Z jednej strony była to partyjna nowomowa, z drugiej polszczyzna robotników i chłopów. Po trzecie mediatorzy musieli umieć mówić długo – tak, aby zagadać i zamęczyć obie strony konfliktu. Wreszcie przydatną cechą była zdolność wielogodzinnego funkcjonowania bez snu i jedzenia. Ludzi spełniających te i liczne inne warunki było, jako się rzekło, niewielu.

Mediatorami byli na ogół nieliczni wiarygodni dziennikarze, rektorzy szkół wyższych (chyba że byli akurat relikami czasów przedsiębiorczych, czyli reprezentantami władzy zaangażowanymi w konflikt), księża i biskupi. Jako mediator do historii przeszedł Stefan Bratkowski, ówczesny, wybrany na fali zmian, prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Bratkowski w grudniu 1980 r. zażegnał poważny kryzys, który mógł się zakończyć nawet strajkiem generalnym. Dziennikarz poręczył za Jana Naroźniaka, aresztowanego pracownika Zarządu Regionu Mazowsze Solidarności. Następnie przywiózł uwolnionego Naroźniaka do strajkującej fabryki w Ursusie. Robotnicy

obnosili Narożniaka na ramionach po całej fabryce, aby pokazać, że rzeczywiście go wyrwali z rąk czerwonych.

Z mediacją innego typu mieliśmy do czynienia w czasie zdarzenia w Otwocku. 7 maja 1981 r. tłum ok. 200 osób zamierzał podpalić drewniany komisariat na dworcu kolejowym. Powodem wzburzenia tłumu było pobicie w komisariacie dwóch ludzi. Do Otwocka przybyli działacze Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”. Byli to: pracownik Polmozbytu Franciszek Drzewiński, fizyk Zbigniew Romaszewski i pisarz Jan Walc. Ten ostatni wszedł do budynku i cały czas zdarzenia spędził wraz z milicjantami. Walc z narażeniem własnego życia chronił życie potencjalnych ofiar samosądu. Wiceprzewodniczący Zarządu Regionu Mazowsze Seweryn Jaworski i doradca Regionu Mazowsze Adam Michnik przywieźli z Warszawy oddanego im przez milicję jednego z zatrzymanych. Incydent udało się zażegnać. Solidarność uratowała milicjantów. Posterunek spalono dopiero następanej nocy, gdy w środku nikogo nie było.

Było to jedno z tych zdarzeń, wcale nie tak rzadkich, podczas których Solidarność broniła „ich” – ludzi władzy, przed zasadnym skądinąd gniewem „nas” – ludności. Oni nigdy za to nie podziękowali. Przeciwnie – ludzie, którzy uratowali otwockich milicjantów, byli po grudniu 1981 r. gorliwie prześladowani przez milicję, bezpiekę, sądy i całą resztę „władzy ludowej”. Seweryn Jaworski, Adam Michnik i Zbigniew Romaszewski zostali wytypowani przez władzę do pokazowego procesu „jedenastki” Solidarności. Jaworski i Michnik spędzili ponad 2,5 roku w areszcie, czekając na proces „ekstremistów” z Solidarności. Zbigniew Romaszewski dołączył do nich 27 sierpnia 1982 r. po blisko dziewięciu miesiącach ukrywania się i pracy w podziemnych strukturach Solidarności. Zdążył uruchomić m.in. podziemne Radio Solidarność.

Wojciech Tomczyk

„Miś”

Film Stanisława Barei nie miał prawa pojawić się na ekranach, bo był totalną zlewką z PRL. A jednak się udało. Nakręcony w 1979 r., nieskołaudowany, przeleżał na półce tylko troszeczkę, by wejść na ekrany w 1981 r. Scenariusz Barei i Stanisława Tyma, pełen szyderczych obserwacji, w groteskowy sposób portretuje tamtą Polskę. Młode pokolenie czasami nie wie już, co w tym filmie było przesadą, a co realistyczną obserwacją... Naprawdę w barze mlecznym przy uniwersytecie nie było cynowych talerzy przykręcanych do blatów, a i sztucce nie były przywiązane do blatów łańcuszkami.

Greps goni greps, gag pogania gag i faktycznie część z nich można przyłożyć i do dzisiejszej epoki, bo głupota i służalczość nie znają granic czasowych i są ponadustrojowe, czy to chodzi o prezesa klubu sportowego czy prezesa partii. Dla mnie najbardziej wstrząsającą sceną, dopełniającą rozrehotany bareizm, jest jednak pieśń o Trasie Łazienkowskiej. Dzieje się tak za sprawą obsady. Wykonawcą songu „Hej, młody junaku”, schodzącym przy wiwatach rozkołysanej publiczności, jest bowiem Paweł Wawrzecki, aktor, którego ojciec, Stanisław, został w 1964 r., za Gomułki, powieszony w więzieniu na Rakowieckiej w związku z prawomocnym wyrokiem w „aferze mięsnej”. Tu z entuzjazmem wykrzykuje do gratulujących mu funkcjonariuszy: „Ja wam zawsze wszystko wyśpiewam!”. No i spoza ekranu wieje grozą. Ale tak ma być. Bo komuna to nie tylko niedobory, przejściowe trudności i niedogodności, to ustrój fundowany przede wszystkim na strachu. Ten strach i przemoc czasem zagłuszane entuzjastycznymi meldunkami z frontu robót, czasem wybuchami śmiechu, były jednak przez całą historię PRL tym ostatecznym kośćcem, fundamentem komuny.

Wydawało się, że po „Misiu” i „Człowieku z żelaza” nie ma powrotu do bajania o władzy, która chce dobrze i o konieczności porozumienia z nią. I rzeczywiście, choć próbowano tworzyć jakieś PRON-y, jakieś Rady Konsultacyjne, choć niektórzy naiwni i tchórzliwi usiłowali szukać jakiejś formy porozumienia, to stan wojenny pokazał, że bez rozwalenia systemu nie ma możliwości społecznego rozejmu. Nie udało się więc władzy po 13 grudnia wmówić narodowi – tak jak po roku 1956 czy 1970 – że będzie dobrze. Elita intelektualna i artystyczna, inteligencja i robotnicy nie zapalali już nadzieją na współpracę z partią. Wyrazem niezgody była – częściej niż knucie i protesty – apatia, a pod nią skryty, narastający gniew.

Andrzej Horubała

Msza radiowa

„Minęła godzina dziewiąta. Za chwilę z kościoła Świętego Krzyża w Warszawie nadamy mszę świętą. Homilię wygłosi bp Jerzy Modzelewski, organy – Wiktor Łyjak”. Tym komunikatem w niedzielę 21 września 1980 r. o godz. 9 w Programie I Polskiego Radia rozpoczęła się transmisja mszy św. Była wtedy piękna słoneczna pogoda i w wielu miastach, nie tylko w Warszawie, ludzie w euforii otwierali okna i podkręcali radioodbiorniki, żeby pokazać swój udział w tym wolnościowym akcie społecznym, bo nie tylko religijnym. Była to pierwsza transmisja niedzielnej mszy św. od 1949 r.! Był to też najszybciej zrealizowany punkt Porozumień Sierpniowych! I jedyny, którego realizacja nie uległa zawieszeniu po 13 grudnia 1981 r. – mszy radiowej nie było tylko przez pierwsze niedziele stanu wojennego, do 17 stycznia 1982 r. – potem wróciła na antenę.

W Porozumieniach Sierpniowych podpisanych 31 sierpnia 1980 r. w Gdańsku czytamy:

punkt 2. Korzystanie ze środków masowego przekazu przez związki wyznaniowe w zakresie ich działalności religijnej będzie realizowane w drodze uzgodnienia problemów natury merytorycznej i organizacyjnej między organami państwowymi a zainteresowanymi związkami wyznaniowymi. Rząd zapewni transmisję radiową niedzielnej mszy w ramach szczegółowego uzgodnienia z Episkopatem.

Autorem tego punktu był Bogdan Borsewicz. Punkt ten był konsekwencją 21 Postulatów Gdańskich: przestrzegać zagwarantowaną w Konstytucji PRL wolność słowa, druku, publikacji, a tym samym nie represjonować niezależnych wydawnictw oraz udostępnić środki masowego przekazu dla przedstawicieli wszystkich wyznań (postulat nr 3).

Polskie Radio w pierwszych latach istnienia II Rzeczypospolitej zaczynało program pieśnią „Kiedy ranne wstają zorze”. Od 3 maja 1927 r. msze św. z katedry poznańskiej nadawane były w programie ogólnopolskim, po wojnie w Boże Narodzenie 1945 r. transmitowano pasterkę z Łodzi, a następnego dnia mszę św. z kościoła Świętego Krzyża w Warszawie. Transmisje skończyły się w 1949 r. Owszem, w czasie I Pielgrzymki Jana Pawła II do Ojczyzny były transmisje, także z inauguracji pontyfikatu 22 października 1978 r., ale regularnej radiowej niedzielnej mszy św. dla chorych nie było!

Po podpisaniu Porozumień Sierpniowych kardynał Stefan Wyszyński już 19 września 1980 r. ustanowił dekretem Kościelną Redakcję Transmisji Mszy Świętej. W pierwszym składzie redakcji znaleźli się: ks. Alojzy Henel – proboszcz parafii Świętego Krzyża, ks. Jerzy Chowańczak, ks. Stefan Gwiazdowski, ks. Wiesław Kądziała, ks. Józef Majkowski, ks. Jerzy Zalewski oraz ks. Józef Zawitkowski. Później do pracy redakcyjnej zaproszono także ks. Józefa Jachimczaka, o. Jacka Salija, ks. Tadeusza Huka i ks. Mirosława Pacuszkiewicza. O oprawę muzyczną troszczył się ks. Wiesław Kądziała. Prymas

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

wybrał kościół Księży Misjonarzy, górujący nad Krakowskim Przedmieściem. Działy się w nim na przestrzeni dziejów wielkie wydarzenia, modlili się królowie, prezydenci, kardynałowie i dowódcy oraz przyszli papieże, jak w 1920 r. nuncjusz apostolski Achilles Ratti, późniejszy papież Pius XI, i kardynał Karol Wojtyła. Tu odbywały się uroczyste nabożeństwa i manifestacje patriotyczne w czasach rozbiorów i w PRL.

Zarówno wtedy, 21 września 1980 r., jak i każdej następnej niedzieli aż do końca PRL, a właściwie do 11 kwietnia 1990 r., kiedy ustawa sejmowa zlikwidowała cenzurę, każda homilia Radiowej Mszy Świętej przed wygłoszeniem musiała być prezentowana cenzorowi, czyli funkcjonariuszowi Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk (od jesieni 1981 r. – Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk). Księża odpowiedzialni za kazania opowiadali, że zastrzeżenia cenzorów pojawiały się nawet wobec samej treści Ewangelii. No cóż, w tej dziedzinie komunistyczni cenzorzy nie byli wykształceni. Po 1945 r. tzw. władza ludowa zakładała przecież, że Kościół zniknie w ciągu 20 lat, czyli ok. 1966 r. To w tym właśnie roku prymas Wyszyński poprowadził uroczyste, kościelne obchody Milenium Chrztu Polski, w których na przekór władzy komunistów uczestniczyły miliony Polaków!

Barbara Sułek-Kowalska



A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

Nawiedzeni

To ogólne określenie nie jest oczywiście terminem medycznym. Chodzi o pewną grupę dziwnych ludzi, którzy znaleźli się w PRL na marginesie życia, a odwiedzali siedziby Solidarności, aby przekazać ostrzeżenia przed promieniowaniem z kosmosu, pokazać cudowne sposoby ratowania polskiej gospodarki, niekiedy dość fantastyczne sposoby samoobrony społecznej na wypadek ataku władz lub też wielokrotnie i zdecydowanie domagali się interwencji i naprawienia doznanych krzywd. Oczywiście ta ostatnia kategoria petentów nie miała nic wspólnego z tymi, których nazywano czasem nieszkodliwymi wariatami czy nawiedzonymi.

Nie zmienia to jednak faktu, że wiele lat bezprawia w PRL wykreowało ludzi, którzy z uporem zbierali werdykty sądowe oraz odwołania od nich i byli przekonani, że Solidarność musi im coś załatwić, naprawić krzywdy etc. Do pracy z tak kłopotliwymi gośćmi wyznaczano osoby taktowne i cierpliwe. Ale nawet one czasami po kilku miesiącach ćwiczenia franciszkańskiej pokory nie były w stanie dłużej spokojnie wysłuchiwać opowieści o niesamowitych odkryciach czy wynalazkach albo tylko o doznanych krzywdach, czasami sprzed wielu lat, których Solidarność nie była w stanie zweryfikować ani naprawić.

Piotr Semka

Niezależne Zrzeszenie Studentów

Pierwszy obraz, jaki zjawia się przed oczyma, gdy myślę o NZS? Dwóch delegatów Politechniki Warszawskiej wydzierających sobie mandat przy głosowaniu jakiejś uchwały na obradach reprezentantów warszawskich uczelni. Biją się całkiem serio i brutalnie, jeden przyciska drugiego do blatu, wykręca mu rękę, próbując wyrwać z jego dłoni kawałek kartonika. No tak: trudne były początki demokracji w posierpniowej Polsce. I przecież NZS – powołany jako przeciwwaga dla Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, jako naturalna kontynuacja nielegalnego Studenckiego Komitetu Solidarności (SKS) – był organizacją, w której jak w soczewce skupiły się wszelkie powikłania narodzin nowego. Wielkie strajki studenckie – ten łódzki (w czasie zimowej sesji i ferii!) i późniejszy, radomski, prowadzone w związku z lokalnymi konfliktami i ambicjami, były dość niezdarne koordynowane, bo też ogólnopolska struktura NZS była jakaś dziwna, rozluźniona, więc kończyły się owe strajki porażkami: niewyraźnymi obietnicami, mediacją dorosłych. Mało to wszystko sensownie wyglądało. No, ale takie były, konieczne zapewne, bóle porodowe demokracji.

Czasem skrót NZS mylnie wymawiano NSZ (Narodowe Siły Zbrojne) i była to pomyłka jak najbardziej uzasadniona: NZS był jawnie antysocjalistyczną organizacją. Powstał nie z potrzeby jakiegoś dialogu i układania się z władzą (w to bawili się czasem aktywiści studenckich samorządów), ale po to, by być elementem kontrrewolucji – jakby napisano w partyjnej prasie.

Zapisanie się do enzetesu i później uczestnictwo w strajkach studenckich dla wielu było realnym przełamaniem bariery strachu. Bo przecież strach automatycznie nie ustał 31 sierpnia 1980 r. Pamiętam opowieść mojego przyjaciela, który w październiku 1980 r. przybył z Białegostoku na studia w warszawskiej PWST, jak to pierwszy list protestacyjny – a listów podpisywało się wówczas mnóstwo, tak jak mnóstwo było głosowań i referendum – starał się podpisać jakoś niewyraźnie, by w razie czego uniknąć konsekwencji. Potem stał się otwarcie walczącym z komuną kolesiem. Zresztą chyba Kazik Staszewski w którymś z wywiadów prasowych wspomina swój akces do strajku studenckiego (jesienią 1981 r.!) jako rzecz przełomową.

Na czele Niezależnego Zrzeszenia Studentów stanęli w dużej mierze ludzie już jakoś tam zapisani w archiwach bezpieki: działacze SKS, współpracownicy Komitetu Obrony Robotników (KOR), uczniowscy aktywiści. Na SGGW przewagę miała Konfederacja Polski Niepodległej, to oni stanęli na czele wielkiego marszu w obronie więzionych Leszka Moczulskiego i jego przyjaciół. Na Uniwersytecie Warszawskim dominował KOR i to uczelniany NZS zorganizował wielką sesję o Marcu '68.

Udało się sporo rzeczy: kolportaż bibuły, ale też biblioteki wydawnictw niezależnych, działalność wydawnicza (u nas na wydziale drukowaliśmy „Biuletyn CIA”, czyli Centrum Informacji Akademickiej), aktywna walka o zmianę programu nauczania – opór wobec

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

obowiązkowych przedmiotów ideologicznych (jakiejś ekonomii politycznej, filozofii marksistowskiej) oraz wobec przymusowego uczenia się języka rosyjskiego, podjęcie prób likwidacji studium wojskowego, wreszcie przeprowadzenie strajku studenckiego jesienią 1981 r.

Po 13 grudnia uniwersytecki NZS rozpułnął się w podziemnej Solidarności. Owszem, były też działania legalne, półlegalne i nielegalne: przejmowanie samorządów studenckich, tworzenie grup samokształceniowych, kół naukowych, jakieś akcje z krótkimi strajkami, oczywiście ostry kolportaż bibuły i uczestnictwo w przejawach przykościelnej kultury niezależnej, ale najistotniejszym chyba rezultatem karnawału przeniesionego w stan wojenny było nawiązanie mnóstwa kontaktów i przyjaźni, które zaowocowały możliwością fantastycznej współpracy w podziemiu.

Andrzej Horubała

Niezależni uczniowie i harcerze

Przebudzenie społeczne, zapoczątkowane latem 1980 r., dotarło także do środowisk uczniowskich. Jeszcze przed powstaniem Solidarności, w połowie roku, w środowisku puławskich uczniów (głównie Liceum Ogólnokształcącego im. KEN) powstała Konfederacja Ludzi Wolnych, przemianowana wkrótce na Suwerenne Porozumienie Młodzieży. Organizacja skupiała się głównie na działalności samokształceniowej, ale po powstaniu NSZZ „Solidarność” zaangażowała się we wspomaganie akcji związkowych.

W połowie stycznia 1981 r. do Kuratorium Oświaty i Wychowania w Lublinie złożony został projekt statutu Szkolnego Zrzeszenia Uczniowskiego. Jego autorami byli uczniowie z I, II i IX LO w Lublinie. Celem ich działalności była ochrona interesów uczniów w zakresie potrzeb materialnych, naukowych i społecznych oraz ścisła współpraca z Niezależnym Zrzeszeniem Studentów.

Wyrazem zaangażowania młodzieży szkolnej w dokonujące się w kraju przemiany była pomoc w akcjach prowadzonych przez NSZZ „Solidarność”, np. 21 marca 1981 r. młodzież szkolna w Zamościu została w godzinach rannych włączona do rozdawania przechodniom specjalnego wydania biuletynu MKZ Regionu Środkowo-Wschodniego w Lublinie, zawierającego informacje o wypadkach w Bydgoszczy. Znamienne zdarzenie zaszło 12 listopada 1981 r. w Zamościu. Tego dnia w II LO podczas przerwy lekcyjnej został zatrzymany przez Służbę Bezpieczeństwa uczeń klasy IV c Radosław Sarnicki. Zatrzymanie ucznia bez bliższego określenia przyczyny wywołało oburzenie wśród nauczycieli i uczniów szkoły. Znalazło ono nawet wyraz m.in. w piśmie działającej na terenie szkoły podstawowej organizacji partyjnej PZPR do Komitetu Miejskiego i Wojewódzkiego PZPR oraz do wojewody zamojskiego. Po interwencji I sekretarza KW PZPR w Komendzie Wojewódzkiej MO przesłuchanie ucznia zakończono przed godz. 16. Dopiero po jego przybyciu do szkoły nauczyciele i młodzież szkolna rozeszli się do domów. Jak informowały władze, przyczyną zatrzymania Sarnickiego było posiadanie przez niego materiałów KPN oraz planu miasta Zamościa z podziałem na sektory, co miało służyć rozpowszechnianiu materiałów propagandowych KPN. Ślady należących do niego linii papilarnych znaleziono ponadto na ulotkach KPN rozklejanych na terenie Zamościa.

Na II Walnym Zebraniu Delegatów Sekcji Oświaty i Wychowania (24–25 października 1981 r.) przyjęto rezolucję popierającą „działania i inicjatywy młodzieży zmierzające do zwiększenia samorządności i autonomii organizacji młodzieżowych w szkołach”. Młodzież chciała działać i działała niezależnie oraz skutecznie na miarę swoich możliwości.

Powstanie Solidarności i przemiany w kraju na nowo ożywiły problem modelu polskiego harcerstwa. Sprzyjała temu październikowa kampania sprawozdawczo-wyborcza w skomunizowanym Związku Harcerstwa Polskiego. Kampanii towarzyszyła

A
B
C
D
E
F
G
H
I
J
K
L
Ł
M
N
O
P
R
S
T
U
W
Y
Z
Ź

ostra krytyka form i metod działania oraz małej aktywności nauczycieli w procesie wychowania młodzieży. Dyskusje rozgorzały wokół modelu harcerstwa w szkołach ponadpodstawowych. Podnoszono problemy rzecznictwa spraw młodzieży, które we wcześniejszym okresie było fikcją. Padały propozycje powrotu do nazwy Drużyn Starszoharcerskich. Postulowano apolityczność organizacji, jej samodzielność, autonomię i niezależność. Na sytuację w hufcach Lublin i Puławy wpływała aktywność Kręgu Instruktorskiego „Zawisza”, zrzeszającego młodzież ze szkół ponadpodstawowych, gdzie trzon kadry stanowili instruktorzy studenci Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (KUL). W styczniu 1981 r. działający na terenie Lublina Krąg „Zawisza” skupiał 40 osób, w tym 36 uczniów lubelskich szkół średnich, którzy prowadzili drużyny ZHP w szkołach podstawowych. Przewodniczącym Kręgu był harcmistrz Michał Bobrzyński, pracownik KUL, a bardzo aktywnym instruktorem – Krzysztof Stanowski, student historii KUL. Krąg „Zawisza” wchodził w skład ogólnopolskiego Porozumienia Kręgów Instruktorów Harcerskich im. Małkowskiego. Jego członkowie legitymowali się wysokim stopniem umiejętności harcerskich. Ścisłe współpracowali z NSZZ „Solidarność”. W połowie stycznia 1981 r. Krąg „Zawisza” wydał i rozprowadził pierwszy numer gazetki „Zawiszak”. Podobną gazetkę wydała drużyna w Puławach.

25 kwietnia 1981 r. instruktorzy harcerscy – członkowie kręgu zawiszaków, nie mogąc zaakceptować utrzymanej przez VII Zjazd ZHP podległości ideologicznej tej organizacji wobec komunistycznej PZPR, ogłosili wystąpienie ze struktur ZHP i podjęli jednocześnie decyzję kontynuowania działalności harcerskiej w formie niezależnej. Wydano oświadczenie: „Uważamy, że tzw. odnowa w oficjalnym ZHP, obfitująca w szereg spektakularnych, obliczonych jedynie na propagandowy efekt gestów ma na celu zamaskowanie wysiłku władz ZHP zmierzającego do utrzymania w związku dotychczasowych struktur i dominacji zawodowego aparatu organizacyjnego, a także co najważniejsze, dotychczasowego wyłącznego podporządkowania harcerstwa materialistycznej, ateistycznej ideologii obcej większości polskiego społeczeństwa. Wierzymy, że niezależny, wolny od ideologicznych i politycznych nacisków, autentyczny w swym działaniu ruch harcerski ma szansę stać się znaczącym czynnikiem w wychowaniu młodzieży”.

Przewodniczący Kręgu „Zawisza” zwrócił się pisemnie do Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” Regionu Środkowo-Wschodniego o poparcie inicjatywy i objęcie przez przyszły Zarząd Regionu Solidarności patronatu nad niezależnym harcerstwem. Odpowiedzią Solidarności była uchwała I Walnego Zebrania Delegatów zobowiązująca nowe władze regionalne Solidarności do roztoczenia stosownego patronatu, a nawet zapewnienia „odpowiednich warunków działania”. Niezależne harcerstwo zaczęło wydawać własne gazety. Od października 1981 r. lubelski „Zawiszak” nosił podtytuł: „Biuletyn Komisji Społecznej ds. Wychowania Harcerskiego przy ZR NSZZ »Solidarność« w Lublinie”. Wydawcą pisma był Zarząd Regionu Środkowo-Wschodniego Solidarności. Od 24 grudnia 1980 r., w Puławach zaczęło wychodzić pismo „Zawiszak. Niezależne pismo Drużyn Zawiszackich Liceum Ogólnokształcącego

im. A.J. Czartoryskiego w Puławach”, od marca–kwietnia 1981 r. jako „Pismo Drużyn Zawiszkackich L.O. im. A.J. Czartoryskiego i L.O. im. KEN w Puławach”. W listopadzie 1981 r. całkowicie zmienił się tytuł gazety na: „Zgrzyt. Pismo młodzieży wydawane przy drużynach NRH I i II L.O.” (wydano 6 numerów).

Paweł Janowski

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

Nowa, NOWa

czyli Niezależna Oficyna Wydawnicza

Pierwsze podziemne wydawnictwo. W latach 70. – numer jeden w Polsce. Bibuła, wiemy to już od Józefa Piłsudskiego, doskonale sprawdza się nie tylko jako forma rozpowszechniania idei, ale i sposób na budowanie siatki współpracowników, no i element przekraczania psychologicznej granicy strachu. Były więc książki i czasopisma wydawane przez NOWą tak przedmiotem wtajemniczenia, jak i znakiem statusu.

I było w ofercie NOWej sporo dobrej literatury. Oczywiście część tytułów stanowiły przedruki wydawnictw emigracyjnych, ale przecież spory był udział premier: „Kompleks polski” i „Mała apokalipsa” Tadeusza Konwickiego, szkice Andrzeja Kijowskiego i Tomasza Burka, kolejne numery kwartalnika „Zapis”, wiersze Stanisława Barańczaka i Ryszarda Krynickiego.

W czasach karnawału sprawa się skomplikowała, bo do wszystkiego doszedł jeszcze aspekt finansowy: stoliczki z bibułą przed uniwersytetem były źródłem pokaźnych dochodów, tak na działalność związkową, jak i do konsumpcji indywidualnej. Obok NOWej rozkwitło nagle mnóstwo wydawnictw, niektóre z rodowodem przedsiębiorczym, jak to imienia Konstytucji 3 maja, inne powołane *ad hoc* i oferujące dość przypadkowe niekiedy tytuły. Stoliczki z bibułą przed uniwersytetem zapełniły się szarymi i kolorowymi okładkami. Dużą część tego towaru produkowało się na dojsciach w państwowych drukarniach, był to realny biznes i wiele osób, niekoniecznie ideowych, włączało się w ruch wydawniczy, by sobie po prostu dorobić. Nie było to złe: pieniądź przyczyniał się do wzrostu życia wydawniczego i przecież w stanie wojennym spowodował, że bibuły tłuczono naprawdę dużo. W drugiej połowie lat 80. był to pokaźny biznes i mocno dość zinfiltrowany przez SB, ale to już inna historia.

Po Sierpniu rzecz była fantastyczna i naprawdę radością napełniała nas choćby wieść o spotkaniu Czesława Miłosza z Mirkiem Chojeckim i jego ekipą, która drukowała zakazanego w PRL pisarza i wydawała go pod szyldem NOWej.

Znajomkowie ze studiów jeszcze chyba w czasach karnawału poszli na przeszkolenie „do Boguty” i potem w stanie wojennym pracowali jako składacze książek. Oczywiście, że za pieniądze. Oczywiście, że było to zagrożone więzieniem. Z tamtego czasu miałem niezłą pamiątkę: kilka śmierdzących farbą drukarską i jakimś rozpuszczalnikiem świeżutkich egzemplarzy „Rozmów polskich latem roku 1983” Jarosława Marka Rymkiewicza. Dlaczego kilka? Bo gdy wpadłem na chwilę i zastałem ich przy pracy, to zniecierpliwiony próbowałem sam je sobie przyciąć gilotyną i jakoś niespecjalnie dobrze mi szło, więc w końcu z pięć takich romboidalnych obrzynów wzięłem ze sobą.

Andrzej Horubała

Nowomowa

Nowomowa to sztuczny język, stanowiący protezę, namiastkę polszczyzny, służący do komunikowania społeczeństwu woli władzy. W państwie totalitarnym język jest narzędziem groźnym dla rządzących. Ze swej natury służy do przekazywania informacji, ocen i pamięci. To wszystko są zjawiska niebezpieczne dla władzy. Dlatego totalitaryzm zawsze próbuje wprowadzić do powszechnego użytku nowomowę, pseudojęzyk, w którym słowa albo tracą znaczenie w ogóle, albo uzyskują nowe znaczenie. Na przykład przymiotnik „sowiecki”, jednoznacznie negatywny, został zastąpiony przez słowo „radziecki”, będące jego dosłowną kalką językową. „Sowiecki” budziło jednoznaczne skojarzenia z brudem, głodem, ubóstwem, okrucieństwem, zdradą i zbrodnią. Słowo „radziecki” nie kojarzyło się z niczym. Obowiązkowo łączono je w zbitki pojęciowe o zabarwieniu pozytywnym czy wręcz entuzjastycznym: „armia radziecka – wyzwolicielka”, „radziecka, bratnia pomoc” etc.

Nowomowa służyła też do udratyzowania rzeczywistości i jej uproszczenia. W tym sensie nowomowa jest narzęciem manichejskim. Świat opisywany przez nowomowę jest prosty i jasny. Istnieje w nim ostry podział. Z jednej strony to, co istnieje, jest DOBRE, czyli POSTĘPOWE, JASNE, NOWE i MŁODE. Tym czymś jest Polska Ludowa, stanowiąca część bratniego związku ludzi pracy miłujących pokój. Z drugiej strony istnieje także, choć dogorywa, świat ZŁY, STARY, WSTECZNY, REAKCYJNY, CIEMNY. Ten świat to Zachód (zwłaszcza agresywna Ameryka i jeszcze gorszy Izrael) i Kościół.

Innym powodem narzucania nowomowy była wola zastąpienia języka służącego do komunikacji bełkotem, ściemą i nic nieznaczącym wodolejstwem. Mistrzem wodolejstwa był Gomułka, jego rekord życiowy, ustanowiony na IV zjeździe PZPR, wynosi 6 godzin i 14 minut. Tyle trwało odczytanie jego referatu. Twórcy i użytkownicy nowomowy wychodzili ze słusznego założenia, że człowieka bełkoczącego nie można chwycić za słowo.

Nowomowa stanowiła zlepek rusycyzmów: „internacjonalizm”, „przemysł wiodący”; zaklęć magicznych: „marksizm-leninizm”, „zasady leninowskie” „socjalistyczne normy współżycia społecznego”; a także oksymoronów: „centralizm demokratyczny”, „nowa tradycja” czy „demokracja ludowa”. Osobną grupą wytworów nowomowy są nazwy mające unieważnić, zatrzeć ślady chrześcijaństwa w Polsce. Trwającym do dziś reliktem nowomowy jest na przykład „święto zmarłych”.

Wbrew powszechnemu przekonaniu nowomowa nie pozostała wyłącznie językiem mediów czy sytuacji oficjalnych. Także zwykli ludzie ulegali czasem pokusie używania polszczyzny telewizyjnej. Nowomowę można było usłyszeć nawet w czasie spotkań towarzyskich. Z kolei towarzysze partyjni potrafili, co cwańsi, porzucić od czasu do czasu rytualny język. Gierek w 1971 r. zadał stoczniovcóm pytanie: „Jak? Pomożecie?”. I po chwili, gdy rozległ się szmer aprobaty, dodał: „No...”. To „No...”, te dwie litery

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

zdecydowały, że Gierek został, jak się potem okazało – błędnie, uznany za człowieka takiego jak my. W każdym razie to nonszalanckie, kumpelskie „no” dało mu 10 lat władania Polską. Czego skutki odczuwamy do dziś.

W sierpniu 1980 r., nagle i bez ostrzeżenia, pojawili się ludzie mówiący normalnym językiem. Pojawili się wszędzie, sporadycznie nawet występowali w telewizji. Już w sierpniu członkowie Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego – z jednym, to prawda, spektakularnym wyjątkiem – mówili dobrze. Wyrażali się zrozumiale, jasno i precyzyjnie. Udało im się ten język narzucić Komisji Rządowej. W filmach z tego zdarzenia wyraźnie widać, jak komunistyczny przecież wicepremier Jagielski rozkoszuje się powrotem do języka kraju lat dziecińczych. Może właśnie dlatego potem szybko go zdjęli ze stanowiska.

Wojciech Tomczyk

NSZZ „Solidarność” społeczny fenomen solidarności

Pierwsza Solidarność z 1980 r. była namiastką niepodległego, normalnego, demokratycznego państwa. Nadawała sens życiu w czasach PRL, gdy prawie w każdej innej aktywności publicznej o poczucie sensu było trudno. Wyjście ze sfery prywatnej w publiczną oznaczało najczęściej wejście w świat kłamstwa i cynizmu. Wraz z Solidarnością pojawiła się nadzieja na zbudowanie normalnych relacji w życiu publicznym, społecznym i zawodowym. PRL był destrukcyjnym, totalitarnym, a po 1956 r. autorytarnym systemem politycznym, mocno osadzonym w strukturach państwa i w życiu społecznym. Dokonanie zmian było więc trudnym i skomplikowanym zadaniem. Nic dziwnego, że martwiły nas słabości III RP, jednak ich źródłem nie była nasza, solidarnościowa nieudolność, lecz sprawność i siła struktur władzy minionego systemu.

Nasza pamięć o Sierpniu i Solidarności najczęściej koncentruje się na solidarnościowych liderach i elitach, związanych z Komitetem Obrony Robotników, Wolnymi Związkami Zawodowymi Wybrzeża, Ruchem Młodej Polski. Zgadza się, że to Jan Paweł II zobaczył w nas cechy, których nie dostrzegaliśmy i obudził ducha rodaków. Jednak w naszej wspólnej pamięci mało miejsca zajmują ci, którzy stanowili źródło siły Solidarności, czyli setki i tysiące zwyczajnych, anonimowych dzisiaj ludzi, którzy genialnie zachowali się w 1980 r. Doskonale rozumieli, że w Porozumieniach Sierpniowych nie chodzi o wczasy i marchewkę, lecz o zbudowanie niezależnej od PZPR, silnej i sprawnej struktury związkowej. To ogólnopolska forma organizacji oraz solidarność przez małe „s” pozwoliły stworzyć namiastkę niepodległego państwa. Miliony ludzi znakomicie rozumiały, że do statutu NSZZ „Solidarność” nie można wpisać „kierowniczej roli PZPR”, nawet jeśli taki zapis istniał w obowiązującej w PRL Konstytucji. Więc wymusili pod groźbą strajku rejestrację Związku po przeniesieniu tego zapisu do załącznika. Siłą Solidarności była związkowa struktura i niepodległościowy duch. W pismach związkowych publikowano więcej tekstów o Katyniu czy Jałcie niż o marchewce i wczasach pracowniczych. Nic dziwnego, że natychmiast po rejestracji miliony sympatyków Solidarności domagały się pomnika Poległych Stoczniovców. A na I zjeździe Związku najważniejszym dokumentem okazało się proroctwo „Posłanie pierwszego Zjazdu Delegatów NSZZ »Solidarność« do ludzi pracy Europy Wschodniej”. Zdajemy się także nie pamiętać, że pierwsze po 1945 r. demokratyczne wybory odbyły się w roku 1981, kiedy to 9 milionów członków NSZZ „Solidarność” wybrało swoich przedstawicieli, począwszy od komisji zakładowych po delegatów na I Zjazd.

Solidarność była niezwykłą wspólnotą republikańskiej Polski, tworzoną przez zwykłych ludzi, którzy mimo stanu wojennego, mimo represji, wierzyli w jej powrót. Nawet jeśli, jak w latach 1985–1989, zdawali się bierni, nadal płacili nielegalne składki

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

związkowe, kupowali nielegalną bibułę, pomagali rodzinom represjonowanych działaczy i poważnie traktowali opinie i apele „podziemnej Solidarności i jej liderów”.

W wielu opracowaniach poświęconych wydarzeniom z lat 1980–1989 dominują analizy roli, jaką odegrali poszczególni liderzy Solidarności, przywódcy PZPR, a nawet Michał Gorbaczow. Dlatego przypominam, że kluczową rolę w odzyskaniu niepodległości odegrały miliony zwyczajnych i niezwykłych zarazem Polaków, którzy w sierpniu 1980 r. odkryli siłę narodowej wspólnoty i solidarności. Klasowe i zawodowe podziały straciły znaczenie; ludzie należący do „klasy robotniczej”, rolników indywidualnych i „pracującej inteligencji” okazali się przede wszystkim Polakami szukającymi swoich korzeni i swojej tożsamości pod biało-czerwoną flagą, w mszach św. odprawianych w zakładach pracy, w krzyżach i portretach św. Jana Pawła II wieszanych na ścianach związkowych pomieszczeń i płotach okalających tysiące zakładów pracy. Pamiętajmy o roli milionów zwyczajnych ludzi, bo to oni zdecydowali o sukcesie fenomenu, jakim był Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”.

Barbara Fedyszak-Radziejowska



Jan Olszewski (1930–2019)

Żołnierz Szarych Szeregów, powstaniec warszawski, po Sierpniu '80 pisał projekt statutu NSZZ „Solidarność”. Wasz syn będzie premierem – powiedział na kilka miesięcy przed II wojną światową jeden z kuzynów Olszewskich. Jaś miał wówczas dziewięć lat. Premierem został ponad pół wieku później. Krótko potem, po półrocznych rządach, został odwołany. – Zostałem odwołany z urzędu premiera nie z powodu ujawnienia teczek tajnych współpracowników, jak się powszechnie uważa, to był tak naprawdę pretekst, ale z powodu mojego sprzeciwu wobec ówczesnego sposobu prywatyzacji. Dokładniej, rozkradania Polski – mówił przed laty Jan Olszewski. Był jednym z romantyków, którym marzyła się wolna Polska nawet w czasie głębokiego stalinizmu.

Dostał się na studia prawnicze Uniwersytetu Warszawskiego mimo braku rekomendacji komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej, do którego nie chciał przystąpić. Na studia został przyjęty dzięki poręczeniu przedwojennego komunisty, którego Olszewski senior bronił w czasach II RP przed wyrzuceniem z pracy. Długie lata po studiach Jan Olszewski zastanawiał się jeszcze, czy dobrze zrobił, wybierając prawo. – W tym czasie nagminnie usuwano w cień wybitnych przedwojennych profesorów i lansowano „miernych, ale wiernych”, dla których najważniejsza była marksistowska propaganda. Uwłaczało to godności ludzkiej. Stwarzało klimat wewnętrznego upodlenia. Człowiek miał wstręt do siebie, że w czymś takim uczestniczy. A z drugiej strony nie bardzo było wiadomo, co robić. Porzucić studia? Dobrowolnie więc, by się uczyć, robiliśmy z siebie idiotów – mówił pół wieku później Jan Olszewski z widocznym bólem.

Mimo odwilży i zdania egzaminów adwokackich Jan Olszewski do 1989 r. nie został wpisany na listę adwokatów Warszawy, ale nieodległego miasteczka Pruszków, i to dopiero w latach 60. Wcześniej, w 1956 r., podjął pracę w „odnowionym” studenckim piśmie „Po Prostu”. Opublikował tam, wraz z dwoma innymi dziennikarzami, głośny artykuł w obronie ludzi podziemia niepodległościowego pt. „Na spotkanie ludziom z AK”. Jak na owe czasy niezwykle odważny, bowiem domagający się rehabilitacji niewinnie skazanych. Artykuł stał się zaczynem do dyskusji o represjach stalinowskich w Polsce, o totalitarnym sądownictwie PRL i adwokaturze.

Kilka lat później Jan Olszewski sam stanie się obrońcą ludzi sprzeciwiających się komunizmowi. Broni dysydentów z PZPR: Jacka Kuronia, Adama Michnika i Karola Modzelewskiego, później pisarzy: Janusza Szpotańskiego i Melchiora Wańkowicza, a w 1976 r. również protestujących robotników w Radomiu i Ursusie oraz wielu innych ludzi prześladowanych przez wymiar sprawiedliwości PRL. I tak aż po koniec lat 80.

Od połowy lat 60. znalazł się pod ścisłą inwigilacją SB. Po obronie marcowych dysydentów w 1968 r. zawieszono go w pracach adwokata. W 1970 r. bronił w głośnym procesie organizacji niepodległościowej Ruch. Pięć lat później sam „wdaje się w politykę”, protestując przeciwko haniebnym zmianom Konstytucji PRL. Zostaje też

współzałożycielem podziemnej tajnej organizacji Polskie Porozumienie Niepodległościowe, która w swym programie wpisała jako cel odzyskanie przez Polskę niepodległości. W latach 70. Jan Olszewski pisze głośną broszurę „Obywatel a Służba Bezpieczeństwa”. Swoisty bestseller opozycjonistów, poradnik dla aresztowanych przez komunistyczny reżim. Zostaje współzałożycielem i utajnionym działaczem Komitetu Obrony Robotników. W 1980 r., po podpisaniu Porozumienia Gdańskiego, razem z Wiesławem Chrzanowskim, z którym znali się już z działalności w opozycji antykomunistycznej, współtworzył projekt statutu NSZZ „Solidarność”.

Brał także udział w budowaniu mazowieckich struktur Solidarności. Już wówczas był przekonany, że Związek może stać się pierwszą po wojnie wielką formacją dążącą do niepodległości. Przez 16 miesięcy legalnej działalności NSZZ „Solidarność” był jego doradcą. W stanie wojennym kontynuuje tę działalność. Doradzał również Episkopatowi Polski i został oskarżycielem posiłkowym podczas procesu funkcjonariuszy SB, morderców ks. Jerzego Popiełuszki. W stanie wojennym był niezłomnym obrońcą wielu prześladowanych za działalność polityczną. Po pierwszych wolnych wyborach w 1991 r. Jan Olszewski został premierem pierwszego antykomunistycznego rządu III RP.

Mateusz Wyrwich

Oświata i Solidarność – na Lubelszczyźnie inna niż wszystkie

Rozdrobnienie czy centralizacja? Słabość czy siła? Nauczyciele z Solidarności na Lubelszczyźnie mieli swoje zdanie. Jakie?

Oświata w państwie komunistycznym była silnie scentralizowana, upaństwowiona i zsowietyzowana do granic wytrzymałości. Nauczyciele byli rutynowo poddawani indoktrynacji politycznej, a często wprost zastraszeni – zwłaszcza humaniści. Wszelkie publiczne wspomnienie o Katyniu, Józefie Piłsudskim, Mackiewiczu lub Orwellu napawało ich lękiem. Pamiętam to doskonale. Tylko w zaufanym gronie, wśród bliskich znajomych, w rodzinie, można było usłyszeć prawdę o historii Polski, o polskich bohaterach i komunistycznych zbrodniarzach. Nauczyciele w okresie przedsolidarnościowym – oczywiście zakładając pewnie uogólnienie – byli często źle kształceni, szkoleni na słabych, zindoktrynowanych uczelniach. Ich status materialny też nie był imponujący – w 1979 r. przeciętna płaca nauczyciela wynosiła 4400 zł, przy średniej krajowej 5100 zł. Dochodziły do tego typowe dla PRL trudności mieszkaniowe. Wszystko razem wytwarzało mechanizm tzw. selekcji negatywnej do tego zawodu. Prestiż nauczyciela sukcesywnie się obniżał, co sprawiało, że wciąż brakowało chętnych do pracy w szkole. Np. pod koniec lat 70. aż 18 tys. etatów nauczycieli nauczania początkowego nie było obsadzonych. Konsekwencją upaństwowienia oświaty była utrata wszelkiej podmiotowości struktur oświatowych poniżej szczebla centralnego. Nauczyciele nie mieli żadnego wpływu na wybór treści nauczania. Byli bezwolnymi trybikami w maszynie Wielkiego Brata.

To wszystko zaczęło się zmieniać w chwili, gdy powstał nowy związek. Budowanie struktur nauczycielskiej Solidarności na Lubelszczyźnie rozpoczęło się we wrześniu 1980 r. Międzyzakładowy Komitet Założycielski Regionu Środkowo-Wschodniego powstał 10 września. Jedną z jego organizatorek była Zenobia Kitówna, nauczycielka języka polskiego w Technikum Kolejowym w Lublinie. 16 września w Domu Kultury Kolejacza w Lublinie spotkali się przedstawiciele oświaty z całego regionu. W następnych dniach powstawały kolejne komitety. Zasadniczą kwestią było zerwanie ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego (ZNP) i budowanie nowego związku od podstaw.

Koncepcja wprowadzenia całego ZNP do Solidarności, a byli jej zwolennicy po obu stronach barykady, na szczęście spaliła na panewce. ZNP był tak głęboko zakorzeniony w komunistycznym systemie, tak uwikłany w interesy i ideologię władzy, że zwolennicy jego wejścia do Solidarności szybko otrzeźwieli i wystąpili z jego szeregów, zasilając nowo powstające struktury NSZZ „Solidarność”.

Region Środkowo-Wschodni obejmował ówczesne województwa: lubelskie, zamojskie i chełmskie oraz część białkopodlaskiego, siedleckiego i tarnobrzeskiego – 310 tys.

związkowców w 1136 organizacjach zakładowych. To była poważna siła. Wyjątkowa w skali kraju była też odmienność struktur tamtejszej oświatowej Solidarności. Prawie każda szkoła czy placówka oświatowo-wychowawcza stanowiła samodzielne ogniwo związkowe z własną komisją zakładową (poza Puławami). Ta struktura utrwaliła się nawet wbrew stanowisku regionalnych władz Solidarności.

Z perspektywy Zarządu Regionu takie rozdrobnienie na małe organizacje związkowe (15–30-osobowe) osłabiało ich siłę w walce z pracodawcą. Jednak nauczyciele widzieli zalety takiego sformatowania, bowiem oddalano w ten sposób groźbę centralizmu (mieli z tym od lat do czynienia w postaci komunistycznego Związku Nauczycielstwa Polskiego). Umacniano także wpływy i kontrolę nad pieniędzmi na najniższym szczeblu. Ponadto obecność statutowej władzy Związku w konkretnej placówce oświatowo-wychowawczej wymagała większej aktywności członków. Związek był bliżej zwykłego pracownika. Ludzie mieli dość warszawki i „mądrali z centrali”. Chcieli naprawdę sami decydować o swoim losie. Ciekawe jest to, że takie struktury lubelskiej oświatówki przetrwały do dzisiaj.

Paweł Janowski



Papież i Solidarność

Zanim przyszedł Sierpień '80, rok wcześniej przyjechał do Polski „nasz” papież Jan Paweł II. Amerykański historyk i biograf papieża George Weigel napisał: „dziewięć tryumfalnych dni Jana Pawła II w 1979 roku było początkiem końca jałtańskiego systemu imperialistycznego nie tylko w Polsce, lecz w całym imperium Stalina (...). Jan Paweł II rozpoczął proces, w wyniku którego system komunistyczny został w końcu zdemontowany od środka. Sprawily to jego trzydzieści dwa kazania, w których nawoływał nie do powstania, ale do ostatecznej rewolucji ducha, w której sumienie sprzeciwiło się lękowi i przyzwoleniu”. To dlatego na bramie stoczni zawisł portret Jana Pawła II i wizerunek Matki Bożej Częstochowskiej, czego nie mogli pojąć korespondenci zagraniczni – ale i krajowi dziennikarze. Trudno sobie wyobrazić, żeby w Watykanie nie wiedział o tym Jan Paweł III!

Już 20 sierpnia podczas audyencji generalnej papież modlił się za Polskę: „niech te modlitwy powiedzą same za siebie, jak bardzo my, tutaj obecni w Rzymie, jesteśmy zjednoczeni z naszymi Rodakami w Ojczyźnie (...)”. Tego dnia papież wysłał też na ręce prymasa Wyszyńskiego orędzie: „modłę się, by raz jeszcze Episkopat z Prymasem na czele mógł wspomóc naród w jego walce o chleb powszedni, sprawiedliwość społeczną i w obronie jego nienaruszalnych praw do własnej drogi życiowej i osiągnięć”. Wszyscy wiedzieli, że tam, na Watykanie, papież jest z nami. Po zmanipulowanym przez telewizję państwową (innej nie było!!!) 26 sierpnia przekazuje kazania prymasa z Jasnej Góry Jan Paweł II bronił strajkujących i przypominał, że „ich problemy są rzeczywiste i mogą zostać rozwiązane jedynie przez wprowadzenie pokoju i sprawiedliwości w naszej Ojczyźnie”.

Porozumienia Sierpniowe zostały podpisane, ale NSZZ „Solidarność” został zarejestrowany dopiero 10 listopada, po licznych próbach manipulacji w statucie. W nocy 7 grudnia Jan Paweł II został poinformowany przez Departament Stanu USA o groźbie sowieckiej interwencji w Polsce. 16 grudnia zaś wystosował bezprecedensowy list do Leonida Breżniewa, przywódcy Związku Radzieckiego. Pisał m.in.: „mając na uwadze różne motywy zaniepokojenia wywołanego napięciem wokół aktualnej sytuacji w Polsce, proszę, aby zrobił Pan, co tylko w Pańskiej mocy, by wszystko, co składa się na przyczyny owego zaniepokojenia, zgodnie z powszechną opinią, zostało wyeliminowane. Jest to niezbędne dla odprężenia w Europie i świecie”.

15 stycznia 1981 r. delegacja Solidarności poleciała do Rzymu na spotkanie z papieżem, który nie ukrywał radości i dumy – zarówno podczas audyencji prywatnej, jak i w kazaniu na mszy św. 18 stycznia: „powołanie Solidarności – mówił Jan Paweł II – wskazuje na gotowość wszystkich w Polsce ludzi pracy i to pracujących w różnych zawodach (...) do podejmowania solidarnej odpowiedzialności za godność i owocność pracy wykonywanej przy tylu różnych warsztatach na naszej ojczystej ziemi (...)”.

Zamach z 13 maja na długie miesiące uniemożliwił bezpośrednie spotkania Polaków z papieżem. Sprawy polskie – po śmierci prymasa kardynała Stefana Wyszyńskiego (28 maja) – były stale obecne w papieskim kalendarzu. Dopiero 14 sierpnia Jan Paweł II wrócił do Watykanu, a miesiąc później ogłosił wielką encyklikę „Laborem exercens”, poświęconą naturze pracy i godności pracownika. W Polsce uważaliśmy, że papież twórczo wykorzystał doświadczenie Solidarności. A z Polakami spotkał się na audiencji wigilijnej 23 grudnia, modląc się „żebyśmy sami sprostali, żeby siły dobra przewyciężały w nas samych nad siłami zła (...). Jest to modlitwa o to, żebyśmy sami mogli być sprawcami, twórcami swojego losu. Żeby nam w tym od zewnątrz nie przeszkadzano, żeby nam tego z zewnątrz nie narzucano”. Ze ściśniętym sercem i z nadzieją słuchaliśmy tego – mimo zagłuszania – w Radiu Watykańskim lub w Radiu Wolna Europa.

Barbara Sułek-Kowalska

Piosenka prawdziwa

Piosenka prawdziwa, tzn. taka, której tekst nie opiewał anatomii Maryni, żołnierza, który nie skłamię, albo budowy kolejnego kombinatu hutniczego, trwała przez cały okres komuny.

Już w latach 40. śpiewano w zaufanym gronie desperackie apele w rodzaju: „Truman, Truman spuść ta bania, bo jest nie do wytrzymania”... Z kolei Franciszek Kowalski, bohater wydanej w 1958 r. na emigracji powieści Marka Hłaski „Cmentarze”, spotyka w areszcie nieszczęśnika zatrzymanego za śpiewanie ballady erotycznej poświęconej Stalinowi: „Niech żyje nam marszałek Stalin, co usta słodsze ma od malin, on mym marzeniem i tęsknotą, mojego życia bajką złotą”. Za tę niewinną piosnkę pechowiec zapłacił dwoma latami więzienia.

W latach 60. swoje ballady śpiewał Stanisław Staszewski, architekt pracujący m.in. na budowie płockiej petrochemii. To wtedy powstały śpiewane do dziś piosenki: „Celi-na”, „Baranek” czy „Knajpa morderców”. Strajki studenckie w 1968 r. przyniosły kolejny wysyp prawdziwych talentów. Ktoś napisał nieśmiertelny tekst: „Hełmy stalowe, przy głowie głowa, idzie wycieczka z Gołędzinowa”. Gołędzinów był wówczas głównym stołecznym matecznikiem hord ZOMO. Ktoś inny dokonał śmiałej parafrazy harcerskiej piosenki: „Jak dobrze nam milicjantowi butlę z fosgenem pchać do ust, słuchać, jak prosi nas o litość, naoliwiony ściągnąć spust” (fosgen – gaz bojowy używany na frontach I wojny światowej pod Ypres, nad Sommą, pod Verdun).

Warto odnotować, że propozycje rozwiązań siłowych pojawiały się wyłącznie w pieśniach anonimowych. Nikt nie podpisywał tych poezji. Samo ich wykonywanie groziło poważnymi konsekwencjami. W tych czasach ludzie siedzieli w więzieniach za treści zawarte w listach do rodziny wysyłanych na Zachód.

Lata 70. – otwarte przez komunistów masakrą robotników na Wybrzeżu – to czasy rozkwitu prawdziwej piosenki. To wtedy powstała „Ballada o Janku Wiśniewskim”. Autorem wstrząsającego tekstu był Krzysztof Dowgiałło. Jana Krzysztofa Kelusa, jednego z najwybitniejszych bardów tej epoki, ukształtował wydział socjologii na uniwersytecie i więzienie za przemyt książek paryskiej Kultury. To Kelus uważany jest za twórcę fonografii niezależnej. Kelus apelował do ludzi kopiujących kasety z jego piosenkami o przekazywanie mu pieniędzy pocztą. Banków w dzisiejszym znaczeniu tego słowa w komunie nie było. I ludzie płacili. Magnetofon, a szczególnie magnetofon kasetowy, doskonale nadawał się do przekazywania treści niecenzuralnych. Radio i telewizja, w odróżnieniu np. od Służby Bezpieczeństwa, nie interesowały się twórcami niezależnymi. Wydanie płyty winylowej własnym sumptem przekraczało ludzkie możliwości. Wytwórnice płytowe były państwowe, teksty i melodie tłoczone na płytach, okładki płyt podlegały cenzurze. Kasetę, ludzki głos z towarzyszeniem gitary, mógł nagrać każdy. I każdy mógł ją skopiować, w późniejszych latach także powielić. W latach 70.

pojawił się także Przemysław Gintrowski i Jacek Kaczmarski, kabaret Salon Niezależnych. Ich piosenki szły w świat. To znaczy – piosenki te śpiewano przy ogniskach, w czasie imprez rodzinnych i w klubach studenckich. Natomiast zupełnie co innego działo się w radiu i telewizji.

Kiedy w sierpniu 1980 r. fala strajków ogarnęła Wybrzeże, 10 kilometrów od Stoczni Gdańskiej odbywał się międzynarodowy festiwal piosenki. Reprezentująca Polskę grupa Vox śpiewała z estrady, że „bananowy jest po prostu żywot mój”. Dwa miesiące wcześniej na festiwalu piosenki polskiej pierwsza dama polskiej piosenki śpiewała, że „tymczasem leży pod gruszą, na dowolnie wybranym boku i ma to, co jest w życiu najświętsze – święty spokój”. Doprawdy dzięki piosenkarzom Polacy mieli szansę poczuć to, co czuli pasażerowie „Titanica”, gdy słyszeli okrętową orkiestrę.

Wywodząca się z ruchu studenckiego grupa Wały Jagiellońskie postanowiła wejść w spór aksjologiczny z tą piosenką, wykonując piosenkę „Grusza a sprawa polska”. Mieli okazję wykonać ją na zupełnie wyjątkowym Przeglądzie Piosenki Prawdziwej – festiwalu zorganizowanym przez Macieja Zembatego jeden, jedyny raz w Gdańsku w 1981 r. Kasety z zapisem tego wydarzenia wydane w podziemiu zostały później zajebrane na śmierć w wielu polskich domach, w czasie stanu wojennego i kierowanej przez bezpiekę „normalizacji” lat 80.

Pora wyjaśnić, czym różniła się piosenka „prawdziwa” od piosenki „nieprawdziwej”, by nie powiedzieć „fałszywej”. Najprościej można to wytłumaczyć na przykładzie piosenki żołnierskiej. Od 1969 r. odbywał się w Kołobrzegu festiwal piosenek marszowych, skocznych i radosnych ballad. Gwiazdy estrady zapewniały lud pracujący, że „żołnierz dziewczynie nie skłamie” albo że „gdy piosenka szła do wojska, to śpiewała cała Polska”. Takich i podobnych numerów wykonano tam bez liku. I potem grano to w kółko i na okrągło. Przed tymi piosenkami nie było ucieczki. Tymczasem całą *par excellence* paradoksalną naturę służby wojskowej w Peerelu opisuje precyzyjnie tekst utworu Jana Krzysztofa Kelusa „Piosenka o Jacku Staszeliście”. Pozwolę sobie zacytować stosowny fragment:

*...w kraju gdzie trudno jest zdradzić
Bo trzeba by najpierw uwierzyć,
że dobro ojczyzny wymaga,
by fizyk przez rok był żołnierzem*

Z jednej strony mieliśmy permanentny atak mediów, prawdziwą nawałnicę i „Czterech pancernych”. Z drugiej strony lakoniczny czterowiersz i gitarę przy ognisku. Po raz kolejny okazało się, że aby powiedzieć prawdę, potrzeba mało słów i dźwięków. Aby skutecznie kłamać, trzeba robić to non stop, od rana do wieczora, z ogromnym zbiorowym wysiłkiem. A na koniec czołgi i tak muszą wyjechać na ulice.

Wojciech Tomczyk

Po raz pierwszy

Po sierpniu 1980 r. w tygodniku studenckim „ITD” z euforią rzuciliśmy się – dziś lepiej niż wtedy wiem, że nie wszyscy – w nową rzeczywistość. Choć oficjalnie byliśmy organem Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, to grupa dziennikarzy, która nie identyfikowała się z PZPR, była wystarczająco silna (patrz hasło: Taczki, czyli wyrzucamy naczelnego), by zacząć realizację marzeń. Wydawało się nam, że zdołamy teraz o wszystkim napisać prawdę, odkryć wszystkie zakryte i zakazane tematy, pokazać całą rzeczywistość. Szybko pojawiła się u nas Solidarność i gościnnie nowi zdolni autorzy. Wśród nich Krzysztof Czabański czy Bohdan Urbankowski ze wspinałym tekstem o Stanisławie Brzozowskim. Publikujemy zapisy dyskusji ze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich z udziałem na przykład Konrada Bielińskiego, Jana Strzeleckiego, Jana Lityńskiego. Publikujemy wstrząsający fotoreportaż – tygodnik jest czarno-biały! – z Białego Marszu, jaki przeszedł w Krakowie w czwartym dniu po zamachu na Jana Pawła II. W tym samym numerze idzie fotoreportaż z pogrzebu prymasa Wyszyńskiego z tekstem Zdzisława Pietrasika, który pisze „dla pokolenia, do którego należę – był z a w s z e. Jego obecność była jednym z nielicznych znaków ciągłości naszych najnowszych dziejów. Jego pogrzeb stał się wielką patriotyczną manifestacją, był żegnany przez cały naród: politycy, studenci, robotnicy, żołnierze, chłopci. Sztandary cechowe, wyniesione z pól bitewnych sztandary kombatanckie i zupełnie nowe sztandary »Solidarności«. To Polska właśnie...”. I to się nam w tygodniku „ITD” udało wydrukować! To nam umożliwił karnawał Solidarności i karnawał naszego życia!

Starsi koledzy, z niezapomnianym Maciejem Rybińskim na czele, szybko złapali wiatr w żagle i doprowadzili do jednorazowej zgody na prześmiewczy dodatek „Plebey. Samorządny i niezależny miesięcznik społeczno-pornograficzny”, która to zgoda została powtórzona jeszcze dwa razy. Nasz dodatek już wtedy szydził z niesławnej pamięci Jerzego Urbana. W jednym z zachowanych numerów nagrodę Złotego Urbana „otrzymuje Wojciech Roszewski za czujność, przenikliwość i inteligencję okazaną podczas wiecu” (popierającego politykę E. Gierka i P. Jaroszewicza w czerwcu 1976 r. na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie). Roszewski podzielił się swoimi uwagami z Czerwca '76 w styczniu 1981 r. na łamach „Argumentów”, powszechnie znieawidzonego i wyśmiewanego tygodnika szerzącego ateizm, walczącego z Kościołem i wiarą.

Sensacją był wywiad z ojcem prof. Mieczysławem Albertem Krąpcem OP, rektorem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego – pierwszy w dziejach prasy wydawanej przez partyjny koncern RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Na pomysł wpadły i zrealizowały go Ewa Polak (dziś Polak-Pańkiewicz) i Barbara Sułek (dziś Sułek-Kowalska), którym nawet do głowy nie przyszło, że ojciec rektor mógłby odmówić. Do dziś nie wiem, jakie były kulisy jego decyzji, ale wywiad się ukazał 8 marca 1981 r. i nawet cenzura zbyt nie ingerowała. Ojciec Krąpiec mówił o odwiecznej misji uniwersytetu, o miejscu

i roli ks. prof. Karola Wojtyły, o studentach KUL. I podkreślił: „Prawdy nie da się zastąpić niczym”. W prasie oficjalnej nikt wtedy tak nie mówił. Obie dziennikarki po 13 grudnia straciły pracę, jak zresztą kilkoro innych dziennikarzy.

Równie sensacyjny był dla nas wywiad z trójką młodych socjologów z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, z których jednym był... Andrzej Zybertowicz, bodaj najbardziej zaangażowany w badanie postawionej przez siebie tezy, że to, co się teraz dzieje, to „ostatnia szansa PZPR”. Tego już cenzura zdzierżyć nie mogła i choć stawaliśmy na głowie, wywiad ukazał się bez słowa „ostatnia”, co całkowicie zmieniało sens stawianej przez chłopaków tezy.

I jeszcze potem był dobrze przemyślany i przygotowany numer na rocznicę Grudnia '70. Tam też po raz pierwszy ukazały się teksty ważne i najważniejsze o naszej tragedii sprzed 11 lat – był to numer przedostatni, ostatni po 13 grudnia 1981 r. poszedł już na przemiał. Jaruzelski zabrał Polakom Solidarność i zgasił nasze nadzieje.

Barbara Sułek-Kowalska

Pomnik Powstańców Warszawskich w Słupsku

To była wtedy życiowa przygoda dziennikarska: odkryć i odsłonić tajemnice pomnika Powstańców Warszawskich w Słupsku, w którym się wychowałam. Wiedziałam, że jeśli można tę sprawę opisać, to właśnie teraz, latem 1981 r., kiedy – jak się wydawało – w atmosferze karnawału Solidarności, czyli wolności, wszystko może się udać.

Bo pomnik, choć wciąż stał w tym samym miejscu i wciąż orzeł pochylał się z laurem nad głową powstańca, był przecież od wielu już lat pozbawiony wstrząsającej płaskorzeźby z napisem „Jezu ratuj, bo giniemy”. Może w 1981 r. niektórzy już nawet nie pamiętali i nie wiedzieli, że kiedyś w miejscu herbu miasta na czerwonym „warszawskim” murze znajdowała się płaskorzeźba, na której Chrystus zdejmował z krzyża rękę i zasłaniał nią oczy, żeby nie patrzeć na płonące miasto? Co się z nią stało? Kto podjął decyzję, żeby ją zerwać i w jej miejsce umieścić pomorskiego Gryfa? Jaka jest naprawdę historia pomnika?

W zrewoltowanym w owym czasie tygodniku „ITD” mój temat został zaakceptowany bez żadnych dodatkowych wyjaśnień. Słupsk jest moim rodzinnym miastem, a pierwsi słupszczanie – także powstańcy warszawscy, jak Maria Zaborowska, kierowniczka miejscowego muzeum, czy Franciszek Szafranek, spółdzielca – byli przyjaciółmi moich rodziców. Atmosfera była świetna, ale wiedziałam, że muszę ją zepsuć moimi pytaniami do władz. Nie przewidziałam, że napotkam taki opór!

Zaczęłam od fantastycznej przygody w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Słupsku, gdzie wraz z dr. Zygmuntem Szultką odkryliśmy dokumentację z lat 1945–1947: miejskie afisze, protokoły z zebrań Komitetu Budowy, pisma do władz miasta. I przede wszystkim dowody na to, że już w 1945 r. słupscy warszawiacy – z ks. Janem Zieją, też powstańcem warszawskim i kapłanem Szarych Szeregów i Armii Krajowej – upamiętnili rocznicę Powstania Warszawskiego prowizoryczną, skromną, ale wymowną instalacją. A rok później postanowili wznieść trwałe upamiętnienie, do jego realizacji zaprosili warszawskiego rzeźbiarza Jana Małętę. Przywiózł ze sobą ową płaskorzeźbę, którą rysował i rzeźbił, patrząc z Boernerowa (osiedle Warszawy) na płonącą stolicę. Jej reprodukcję ofiarował Kościołowi na cegiełkę na rzecz odbudowy kościołów, o czym opowiedzieli mi jego syn Wojciech i wdowa, Alodia Małętowa.

W Warszawie odwiedziłam ks. Jana Zieję, był wtedy schorowanym starcem, owianym legendą niezwykłego kapłana i opozycjonisty, pólleżał wsparty na wysoko ułożonych poduszkach w powściągliwie urządzonym jasnym pokoju u sióstr urszulanek szarych. Miałam poczucie, że dostąpiłam nie lada zaszczytu, mogąc z nim rozmawiać. Nigdy nie zapomnę tej wizyty! Książd Jan Zieja z nieoczekiwaną mocą w głosie przypomniał, co powiedział wtedy, w chwili odsłonięcia pomnika, 15 września 1946 r.: że Powstanie

jako akcja polityczna czy wojskowa będzie różnie oceniane i te oceny będą się może zmieniały. Ale nie może ulec zmianie nasz stosunek do ludzi, którzy w tym Powstaniu uczestniczyli, nie może ulec zmianie nasza dla nich cześć. I to ks. Jan Zieja zaproponował, aby plac, na którym znajduje się pomnik, nazywał się placem Powstańców Warszawskich – a nie Powstania Warszawskiego.

Kiedy przygotowywałam tamten reportaż, w Słupsku rozpoczęło się już badanie sprawy ukradzionej przez „nieznanych sprawców” płaskorzeźby – w roku 1962 lub 1963 – ale przedstawiciele władzy w 1981 r. nie mieli zamiaru przypominać sobie, jak to z tą tablicą było. Czy to był wynik odgórnej partyjnej dyrektywy, czy nadgorliwości słupskich sekretarzy PZPR? I jak to się stało, że jakiś „robotnik” podrzucił ją zawiniętą w szmaty do muzeum? Nie wiadomo. Ale słupska Solidarność i – niezależnie – przewodnicy z PTTK już w kwietniu 1981 r. doprowadzili do powrotu powstańczej płaskorzeźby z Chrystusem, chociaż w koszmarным betonowym odlewie.

Barbara Sułek-Kowalska

Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej

To była prawdziwa sensacja: w czwartym dniu I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność”, 8 września 1981 r., w atmosferze ogromnego poparcia zostało przegłosowane absolutnie niezwykle – jak na owe czasy – „Posłanie pierwszego Zjazdu Delegatów NSZZ »Solidarność« do ludzi pracy Europy Wschodniej”. Z wnioskiem o takie posłanie wystąpili delegaci z Kalisza, autorami byli zaś Bronisław Śliwa i Jan Lityński. „Posłanie...” brzmiało:

Delegaci zebrani w Gdańsku na I Zjeździe Delegatów Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” przesyłają robotnikom Albanii, Bułgarii, Czechosłowacji, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Rumunii, Węgier i wszystkich narodów Związku Radzieckiego – pozdrowienia i wyrazy poparcia.

Jako pierwszy, niezależny związek zawodowy w naszej powojennej historii głęboko czujemy wspólnotę naszych losów. Zapewniamy, że wbrew kłamstwom szerzonym w waszych krajach jesteśmy autentyczną, 10-milionową organizacją pracowników, powołaną w wyniku robotniczych strajków. Naszym celem jest walka o poprawę bytu wszystkich ludzi pracy. Popieramy tych z was, którzy zdecydowali się wejść na trudną drogę walki o wolny ruch związkowy. Wierzymy, że już niedługo wasi i nasi przedstawiciele będą się mogli spotkać celem wymiany związkowych doświadczeń.

Byliśmy w euforii, choć na zjeździe znajdowałam się w grupie dziennikarzy – a nie delegatów. Był to wspaniały akt suwerenności delegatów i ich niezależnego myślenia o sprawach międzynarodowych – jakby wyrosły z kazania Jana Pawła II w Gnieźnie, 3 czerwca 1979 r., kiedy papież Polak mówił o narodach Europy Środkowo-Wschodniej. Zwracał się wtedy do „Czechów, Morawian, Litwinów, Słowaków, Łużyczan, do Chorwatów i Bułgarów”. Wyliczał po imieniu ludy i narody, które przyjęły chrzest ponad tysiąc lat wcześniej, i pokazywał światu, że tu – w tej części Europy – od wieków żyją chrześcijanie, a nie jakiś nieokreślony „proletariat”. W peerelowskim – podporządkowanym całkowicie komunie – modelu spraw zagranicznych tamtych lat nie było zwyczaju, aby cokolwiek w sprawach międzynarodowych działo się poza nurtem oficjalnym. Byłam młodą dziennikarką i nie zdawałam sobie sprawy, że nie wszyscy podzielali moją euforię z powodu tego „Posłania...”. Więcej – że niektórym koleżankom i kolegom dziennikarzom jest ono solą w oku. Bo przecież od spraw międzynarodowych miała być partia, czyli PZPR. Niektórzy bali się więc może reakcji swoich partyjnych komórek w macierzystych redakcjach.

„Poślanie...” wywołało wstrząs w Moskwie i w podległych jej stolicach. Już 10 września 1981 r. agencja TASS nazwała zjazd Solidarności antysocjalistycznym zbiegowiskiem i antysowiecką orgią, a Leonid Breżniew powiedział, że „Poślanie...” to „niebezpieczny i prowokacyjny dokument. Słów w nim niewiele, ale wszystkie godzą w jeden punkt. Jego autorzy chcieli wywołać zamieszki w krajach socjalistycznych, zaktywizować grupki różnego rodzaju odszczepieńców. Uważam, że nie można ograniczyć się do prasowej krytyki tego bezczelnego wybryku”.

W takim razie, skoro moskiewska centrala każe, 16 września 1981 r. Biuro Polityczne PZPR opublikowało oświadczenie „Przeciwko awanturnictwu politycznemu i próbom niszczenia socjalistycznego państwa”, w którym „Poślanie...” nazwano „obłądną prowokacją wobec sojuszników Polski”, a Solidarność oskarżono o dążenie do przejęcia władzy i zmiany ustroju: „Socjalizmu będziemy bronić tak, jak się broni niepodległości Polski. Państwo dla tej obrony użyje takich środków, jakich wymagać będzie sytuacja”. Dwa dni później w polskiej prasie opublikowano list sowieckiego KC KPZR i rządu ZSRR do KC PZPR i rządu PRL. Zażądano w nim podjęcia przez polskie władze „zdecydowanych i radykalnych kroków w celu przecięcia złośliwej antysowieckiej propagandy i wrogich wobec ZSRR akcji”. Dzisiaj wiemy, że to był pierwszy krok Solidarności ku niepodległości.

Barbara Sułek-Kowalska

Półkownik

Półkownik to nie jest stopień wojskowy napisany z błędem ortograficznym, jest to film, który leżał na półce w magazynie i czekał na swoją premierę. Kino, jak wiadomo, jest najdroższą ze sztuk. Całkiem przeciętny film kosztuje fortunę, równowartość kilkudziesięciu samochodów, kilku domów czy pełnomorskiego jachtu. Komuniści wyrzucali miliony na fabryki dział samobieżnych, rakiet oraz czołgów, a także na huty produkujące stal na te sympatyczne urządzenia. Ale nawet dla nich budżety filmów to były dosyć poważne kwoty. Film kosztuje więcej niż symfonia, teatr czy opera, o powieściach, wierszach czy obrazach olejnych nie wspominając. Kiedy film trafiał na półkę, szukano więc winnych nie tylko wśród jego twórców. Można było stracić pracę, zostać strąconym w niebyt, między szaraków. Żaden urzędnik nie chce tracić swej, choćby iluzorycznej, władzy.

Dlatego film przez cały okres istnienia Peerelu podlegał szczególnej kontroli. Urzędnicy od filmu gorliwie wyszukiwali wszelkich przejawów nieprawomyślności, czy raczej „nielewomyślności” twórców. Ci ostatni byli w bardzo trudnym położeniu. Już na etapie szukania pomysłu okazywało się, że istnieje cała grupa tematów tabu. Z historii Polski nie można było opowiadać o jakichkolwiek napięciach w stosunkach ze wschodnim sąsiadem. Ten zakaz obejmował całe tysiąclecie historii Polski, nie tylko Bitwę Warszawską czy Powstanie Styczniowe. To dlatego w czasach komuny Trylogia Sienkiewicza liczyła w kinie dwie części. Scenariusz był cenzurowany już w Zespole Filmowym (instytucja odpowiedzialna za produkcję filmową). Następnie tekst cenzurowano w Komitecie Kinematografii, Ministerstwie Kultury i Sztuki oraz – oczywiście – w cenzurze. Gotowy film cenzurowano z jeszcze większą gorliwością. Na przykład w 1981 r. wycięto z filmu „Człowiek z żelaza” scenę wyławiania z Motławy zwłok działacza opozycji Antoniaka (Jerzy Trela). Film nakręcił Andrzej Wajda, artysta o najsilniejszej wówczas pozycji. Film, jak pamiętamy, ukazywał genezę Solidarności. Wchodził na ekrany w szczytowym momencie potęgi Związku. Mimo to został po chamsku ocenzurowany!

Czołowymi półkownikami okresu przed Solidarnością były m.in. filmy: „Ręce do góry!” (1967) Jerzego Skolimowskiego, „Meta” (1971) Antoniego Krauzego, „Indeks” (1977) Janusza Kijowskiego, „Długa noc” (1967) Janusza Nasfetera, „Diabeł” (1972) Andrzeja Żuławskiego czy wreszcie „Spokój” (1977) Krzysztofa Kieślowskiego. Niektórzy uznają za półkownika film „Zagubione uczucia” (1957) Jerzego Zarzyckiego. Film ukazujący w stylu neorealistycznym życie robotników w Nowej Hucie został w latach 50. zdjęty z ekranów po kilku dniach, by wrócić na nie w 1981 r. Pobyt na półce nobilitował filmy, przyciągał do nich szeroką publiczność. Nobilitował też ich twórców. Dla dwóch polskich reżyserów – Jerzego Skolimowskiego i Andrzeja Żuławskiego zatrzymanie przez cenzurę ich filmów stanowiło wstęp do emigracji i światowej kariery. Te pozorne korzyści nie zmieniają faktu, że cenzura polityczna demolowała kulturę narodową,

demoralizowała twórców i, co najważniejsze, pozwalała zakłamywać historię, a także rzeczywistość Peerelu.

Jak się okazuje, było to działanie dalekowzroczne. Wyidealizowany, wygładzony obraz Peerelu zawarty w filmach jest jednym z fundamentów tęsknoty za socjalistyczną ojczyzną. Rzeczywiście Peerel ukazany w zdecydowanej większości ówczesnych filmów jawi się wręcz jako rodzaj raj utraconego. W tych filmach ludzie robią to, co chcą, na wszystko mają czas, dobrze mieszkają. Nikt nie ma kłopotów finansowych. Jedynym problemem bywa brak problemów.

Najwięcej półkowników powstało w latach 1981–1982. Twórcy chcieli wykorzystać czas wielkiej Solidarności i ówczesne zelżenie cenzury, aby wyprodukować filmy, które nie mogły powstać wcześniej. Wiele tych filmów po wprowadzeniu stanu wojennego trafiło na półkę. Najsławniejszym z nich jest film „Przesłuchanie” Ryszarda Bugajskiego. Po wprowadzeniu stanu wojennego reżyser przekopiował film na taśmę wideo systemu U-matic, potem VHS. Nielegalne kasety z „Przesłuchaniem” były dystrybuowane w podziemiu. Tak został złamany monopol totalitarnego państwa w dziedzinie dystrybucji filmów.

Wojciech Tomczyk

Prasa solidarnościowa

To ona odegrała decydującą rolę w wolnościowej rewolucji Solidarności. Złamała monopol prasy komunistycznej na informację. Stworzyła przestrzeń wymiany myśli i swobodnej debaty obywatelskiej. Prasa związkowa budowała silne więzi między członkami Solidarności oraz kształtowała ich sposoby myślenia o Polsce. Jej początki sięgają 1976 r., a funkcjonowała i rozwijała się aż do 1989 r. (niektóre tytuły ukazują się do dziś). W sumie można dziś policzyć ok. 5,5 tys. niezależnych czasopism, gazet i druków o różnej częstotliwości ukazywania się, które były obecne po sierpniu 1980 r. w życiu społeczno-politycznym aż do zniesienia cenzury.

Najważniejszym pismem związkowym na Lubelszczyźnie był ukazujący się od 16 października 1980 r. „Biuletyn Informacyjny Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ »Solidarność« Region Środkowo-Wschodni” (tytuł ten później ulegał zmianom). Do 30 listopada 1981 r. ukazało się 58 numerów, pismo wydawano w nakładzie 20–30 tys. egz. Od 9 czerwca 1981 r. rolę oficjalnego organu regionalnych władz Solidarności pełnił „Informator” wydawany przez Biuro Informacyjne Zarządu Regionu Środkowo-Wschodniego. Do 12 grudnia 1981 r. ukazało się 147 numerów. Niektóre numery miały kilka wydań dziennych (np. A, B, C, D). Nakład pisma wynosił 5–20 tys. egz.

Ważną rolę odgrywały także lokalne biuletyny. Jednym z czołowych pism w regionie był „Biuletyn Informacyjny Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ »Solidarność« Ziemi Puławskiej”, a od lutego 1981 r. – „Biuletyn Informacyjny NSZZ »Solidarność« Ziemi Puławskiej”. Pierwszy numer pisma ukazał się 4 listopada 1980 r. Do stanu wojennego wydano 74 numery pisma, drukowano je w nakładzie 4–5 tys. egz. 16 marca 1981 r. pojawiło się pismo „Solidarność Ziemi Lubartowskiej”, wydawane przez Międzyzakładowy Komitet Koordynacyjny Rejonu Miasta Lubartowa. 19 października 1981 r. pismo otrzymało tytuł: „Przełom. Biuletyn Informacyjny. Pismo NSZZ »Solidarność« Ziemi Lubartowskiej. Region Środkowo-Wschodni”, a wydawane było przez Zarząd Oddziału NSZZ „S” w Lubartowie. Pismo ukazywało się w nakładzie 0,6–2 tys. egz.

Kilka inicjatyw prasowych Solidarności związanych było z Zamościem. Najważniejszą był „Zamojski Biuletyn Informacyjny” wydawany przez Międzyzakładowy Komitet Założycielski Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych „Solidarność”. Pierwszy numer ukazał się 27 listopada 1980 r. Pismo drukowano w nakładzie 0,5–1,3 egz. Wydano 14 numerów. Dwa numery liczyło pismo „Solidarność. Biuletyn Ziemi Zamojskiej”, zainicjowane 9 sierpnia 1981 r. przy Zarządzie Oddziału NSZZ „Solidarność” w Zamościu.

Także komisje zakładowe NSZZ „Solidarność” działające w większych zakładach wydawały własnym sumptem swoje niezależne pisma. Informowano w nich zazwyczaj o codziennych problemach konkretnych zakładów i podejmowanych inicjatywach pracowniczych, płacowych i społecznych. Jednym z nich było ukazujące się od 5 listopada

1980 r. w Świdniku „Pismo Związkowe”, wydawcą był Zakładowy Komitet Założycielski NSZZ „Solidarność” WSK-PZL „Świdnik”. Pierwszy numer wydrukowano w nakładzie ok. 100 egz. Pismo wydawano nieregularnie. Nakład stopniowo się zwiększał, osiągając 4 tys. egz. w marcu 1981 r. Do stanu wojennego ukazało się 45 numerów. Od stycznia 1981 r. wydawano „Biuletyn Informacyjny Założycielskiego Komitetu Robotniczego NSZZ »Solidarność« Fabryki Samochodów Ciężarowych Lublin”. Ukazały się 22 numery. Pismo drukowano w nakładzie 1,2–3 tys. egz. Jako jedno z pierwszych pism w regionie zaczął ukazywać się „Biuletyn Komisji Zakładowej NSZZ »Solidarność« Fabryki Łożysk Tocznych im. M. Buczka w Kraśniku”. Pierwszy numer nosił datę: 24 października 1980 r. Pismo wychodziło w nakładzie 1,3–3,5 tys. egz. 12 grudnia 1980 r. pojawił się pierwszy numer pisma „Solidarność” w Zakładach Azotowych „Puławy” (ukazało się 47 numerów w nakładzie 1–4 tys. egz.).

Naturalnym obszarem aktywnych działań wydawniczych były lubelskie uczelnie, wśród tych pism czołową pozycję zdobyła „Solidarność Uniwersytecka. Biuletyn informacyjny NSZZ »Solidarność« Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie”. Pierwszy numer pojawił się 11 listopada 1980 r. Wydano 47 numerów, w nakładzie 0,2–2 tys. egz. Ukazało się również 15 numerów „Biuletynu Informacyjnego NSZZ »Solidarność« Akademii Rolniczej w Lublinie. Tytuł wydawany był w nakładzie 0,5–1,5 tys. egz. Ciekawą inicjatywą były „Marginalia. Pismo Koła Bibliotekarzy NSZZ »Solidarność« KUL”. Od stycznia do lipca 1981 r. ukazały się 3 numery pisma, w nakładzie 350 egz. 15 lutego 1981 r. ukazał się pierwszy numer pisma „Solidarność. Biuletyn informacyjny NSZZ »Solidarność« Politechniki Lubelskiej”. Wydano 21 numerów w nakładzie 250–700 egz. „Solidarność AM. Biuletyn informacyjny NSZZ »Solidarność« Akademii Medycznej w Lublinie” to pismo, które pojawiło się 10 lutego 1981 r. i doczekało się 8 numerów. Nakład był zróżnicowany: 0,3–1 tys. egz.

Inicjatywy wydawnicze rodziły się jak grzyby po deszczu, ale też często zanikały po krótkim czasie – ukazywało się tylko kilka lub kilkanaście numerów. Rzeczywistość weryfikowała możliwości redaktorskie, poligraficzne i finansowe. Mimo to te dziesiątki, o ile nie setki tytułów były wyrazem rodzącej się aktywności społecznej i realizowały potrzebę wyrażenia swoich poglądów, ocen i planów. Wśród tych pism można wskazać: „Solidarność. Pismo Komisji Międzyzakładowej NSZZ »Solidarność« przy Muzeum Okręgowym i Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Zamościu” (wydano 5 numerów w nakładzie 300 egz.), „Biuletyn Informacyjny” NSZZ „Solidarność” Fabryki Maszyn Rolniczych „Agromet” – 2 numery), „Biuletyn Informacyjny” wydany przez NSZZ „Solidarność” w Zespole Opieki Zdrowotnej w Lubartowie (50–600 egz.), „Biuletyn Informacyjny” NSZZ „Solidarność” Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego „Puławy” (kilkadziesiąt numerów), „Biuletyn Informacyjny” Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” Przedsiębiorstwa Państwowego „Polmozbyt” w Lublinie (nakład 150–250 egz.), „Solidarność Kolejowa. Biuletyn informacyjny Wschodniego Okręgu Kolei Państwowych Lublin” (od 20 listopada 1980 r., 18 numerów w nakładzie 1,5–3 tys. egz.), „Solidarność Nauczycieli Chełmskich. Biuletyn informacyjny” (od 30 grudnia 1980 r. w nakładzie

A
B 300 egz.), czy też „Ścieżki”, które od listopada 1980 r. stały się samodzielnym „Pismem Środowiskowego Komitetu Koordynacyjnego NSZZ »Solidarność« w Świdniku” (nakład 1 tys. egz.).

C
D Dla środowiska wiejskiego przeznaczony był „Biuletyn Informacyjny Wojewódzkiego Komitetu Założycielskiego NSZZ Rolników „Solidarność Wiejska” (pierwszy numer 29 grudnia 1980 r., pismo zmieniało tytuł, ukazało się 19 numerów), swym zasięgiem obejmował ośrodki: Lublin, Biała Podlaska, Zamość i Chełm (nakład 0,6–15 tys. egz.).

E
F Studenci zorganizowani w strukturach Niezależnego Zrzeszenia Studentów także drukowali swoje czasopisma. W październiku 1980 r. ukazał się pierwszy numer „Biuletynu TKZ NZS UMCS” (od marca 1981 r. jako „Biuletyn Niezależnego Zrzeszenia Studentów UMCS”), ukazywał się w nakładzie 0,5–1 tys. egz. Od stycznia do marca 1981 r. wydawano „Całym Zdaniem. Pismo studentów Akademii Rolniczej” (nakład 550 egz.). Tylko dwóch numerów doczekał się „Monolog. Pismo Niezależnego Zrzeszenia Studentów Politechniki Lubelskiej” (wrzesień i październik 1981, nakład 500 egz.).

G
H
I
J Od 19 listopada 1981 r. ukazywał się „Informator Akademicki”, wydawany przez Biuro Informacji Studenckiej NZS Politechniki Lubelskiej (20 numerów pisma w nakładzie 500–700 egz.). W środowisku KUL wydawano „KUL-ier. Zeszyt Niezależnego Zrzeszenia Studentów”, przygotowywany przez Komisję Wydawniczą NZS KUL (nakład 1–2 tys. egz.). Także na KUL przygotowywano „Kronikę Wydarzeń” (od 6 kwietnia 1981 r.). Ostatni 13 numer z listopada 1981 r. ukazał się pod tytułem: „Podtekst. Pismo Niezależnego Zrzeszenia Studentów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego”. Z kolei z Akademią Medyczną związane było „Tętno. Pismo Tymczasowego Komitetu Założycielskiego Niezależnego Zrzeszenia Studentów Akademii Medycznej w Lublinie” (od 20 listopada 1980 r., wydano tylko 3 numery).

K
L
Ł
M
N Cały ten wydawniczy kosmos widzimy tu na przykładzie jednego tylko regionu Solidarności. To była prawdziwa „papierowa rewolucja” wolnego słowa i niezależnej myśli.

O
P *Paweł Janowski*

Przestraszeni komuniści

W swoich tajnych meldunkach, pisanych w połowie lipca 1980 r., władze przyznają, że sytuacja zaczyna się im wymykać spod kontroli. Uruchomiony został zastępczy transport do przewożenia mleka z punktów skupu i artykułów mleczarskich do sklepów. Nasilił się wykup chleba, soli, kasz i innych artykułów spożywczych. 17 lipca, omijając Lublin, przybył do Chełma I sekretarz KC PZPR Edward Gierek. Odwiedził tam Studencką Akcję „Chełm – 80”. Strajkowa „zaraza” dotarła jednak i tam – tego dnia zastrajkował Transbud Oddział IV Chełm.

18 lipca o godz. 7.30 zebrał się specjalny sztab działający przy Komitecie Wojewódzkim PZPR w Lublinie, aby dokonać oceny sytuacji. Podjęto decyzję w sprawie wystosowania apelu do społeczeństwa o powrót do pracy. Postanowiono wydać w tym celu dodatkowy numer „Sztandaru Ludu” – organu KW PZPR, a także opublikować ten apel w gazecie popołudniowej „Kurier Lubelski”, rozplakatować dokument w mieście oraz wyemitować jego treść na falach lokalnej rozgłośni Polskiego Radia.

Władze gubiły się w rachubach co do zasięgu strajków i objętych nimi zakładów. O godz. 12.30 odbyły się narady w Komitecie Miejskim oraz w Komitecie Wojewódzkim PZPR w Lublinie z udziałem ok. 600 osób, reprezentujących aktyw polityczny i gospodarzy różnych branż gospodarki. Wśród załóg kolejnych zakładów pracy nasiliła się dyskusja na temat strajków oraz sytuacji rynkowej. Tymczasem pogłębiały się trudności w utrzymaniu ciągłości sprzedaży chleba, mleka i innych podstawowych artykułów spożywczych. Pojawiły się pogłoski o mającym się odbyć następnego dnia strajku powszechnym w Lublinie. Władysław Kruk, I sekretarz KW PZPR, zwrócił się za pośrednictwem rozgłośni Polskiego Radia do mieszkańców Lublina z apelem o zachowanie rozwagi i spokoju oraz „podjęcie wszystkich możliwych działań na rzecz przywrócenia normalnej pracy”. Apel opublikowano w „Kurierze Lubelskim”, był także rozklejany na ulicach Lublina. Stosowny komunikat przekazała lokalna rozgłośnia radiowa.

Wydarzeniami w Lublinie zajęło się 18 lipca nawet Biuro Polityczne Komitetu Centralnego PZPR w Warszawie. Powołana została Komisja Rządowa do rozpatrzenia zgłoszonych w zakładach pracy postulatów. Na jej czele stanął Mieczysław Jagielski, członek Biura Politycznego KC PZPR, wicepremier i poseł z woj. lubelskiego. Późnym wieczorem, ok. godz. 21, na falach lokalnej rozgłośni UKF przerwano audycję i odczytano komunikat z partyjnego posiedzenia „w sprawie sytuacji w Lublinie”, wyrażono zaniepokojenie „przestojami” i „sytuacją ogólną w mieście”.

18 lipca Służba Bezpieczeństwa aresztowała na 48 godzin kilkanaście osób z lubelskiej opozycji, zaangażowanych w zbieranie informacji o strajkujących zakładach pracy. Wszyscy zostali zatrzymani w „kotle”, jaki tego dnia urządzono o godz. 17.30 w mieszkaniu wynajmowanym m.in. przez kierującego grupą Wojciecha Onyszkiewicza. W rewizji uczestniczył m.in. major SB Zdybicki. Zatrzymani (m.in. Anna Samolińska,

A
B
C
D
E
F
G
H
I
J
K
L
Ł
M
N
O
P
R
S
T
U
W
Y
Z
Ź

Małgorzata Żórawska, Krzysztof Żurawski, Janusz Bazydło, Norbert Pietrzak, Anna Bazel, Andrzej Pluta, Stanisław Derdej, Bogdan Giermek, Piotr Tomczak) spędzili w siedzibie SB 48 godzin. Aresztowania uniknęli m.in. Wojciech Onyszkiewicz, Agnieszka Onyszkiewicz, Paweł Nowacki i Waldemar Jakson. Z materiałów władz i bezpieki wynika, że akcja rozbicia tej grupy była związana z przeciwdziałaniem ewentualnym próbom zorganizowania wiecu mającego się odbyć w Lublinie w dniu następnym.

Według Ministerstwa Spraw Wewnętrznych 19 lipca, mimo soboty, strajki w Lublinie i woj. lubelskim obejmowały nadal 42 zakłady pracy i ok. 20 tys. strajkujących. Rankiem z kiosków Ruchu błyskawicznie znikło nadzwyczajne wydanie „Sztandaru Ludu”, wydane w 80 tys. egz. tylko na teren Lublina. Numer przynosił komunikat o wczorajszym posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR, o plenarnym posiedzeniu KW PZPR w Lublinie oraz apel do mieszkańców Lublina. Na łamach wyrażono zadowolenie, że problemami lubelskich załóg i mieszkańców Lublina zajęły się władze centralne. Specjalnie przygotowany, ponad 800-osobowy aktyw wojewódzki został wysłany do „urabiania” załóg, grup pracowniczych, a także poszczególnych osób, nawet poprzez nachodzenie ich w mieszkaniach. Władze sąsiednich województw: zamojskiego i siedleckiego udzieliły pomocy w postaci transportu, zaopatrzenia w mleko i chleb. Mimo to nadal w całym województwie, a głównie w Lublinie, utrzymał się wzmożony wykup artykułów spożywczych. Obserwowano też częste wypłacanie pieniędzy z kont dewizowych. Służba Bezpieczeństwa uniemożliwiła rozpowszechnienie 550 egz. ulotki wzywającej do solidarności załóg robotniczych w „walce o swoje prawa”, wydanej przez Lubelskie Rejonowe Kierownictwo Akcji Bieżącej Konfederacji Polski Niepodległej. Wieczorem do pracy powrócił Lubelski Węzeł PKP.

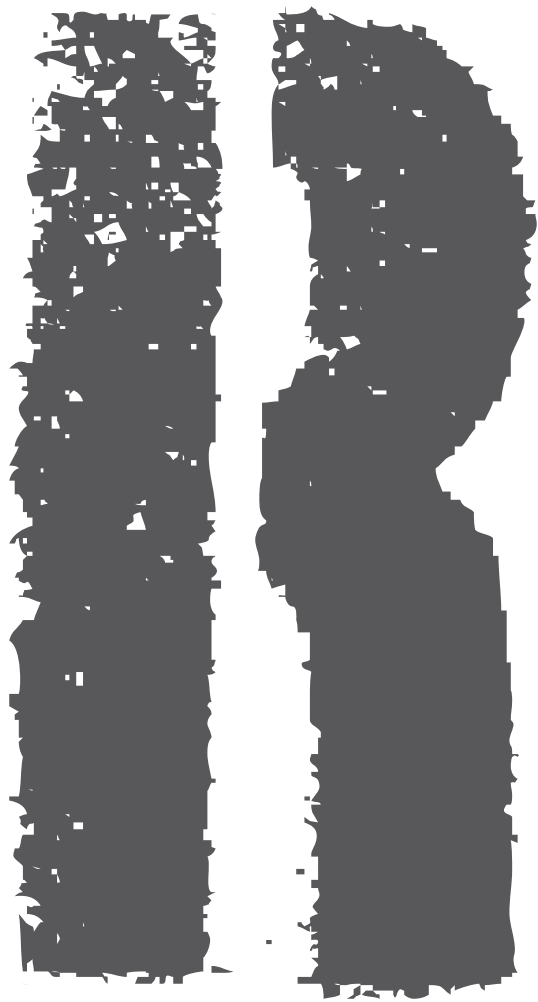
W przeddzień ważnego dla komunistów święta, rocznicy powstania PKWN (zwane-go też błuźnierczo Świętem Odrodzenia Polski), władze partyjne Lubelszczyzny mogły odetchnąć z ulgą. Fala strajków wyraźnie wygasła. Władze starały się, by miasta (Lublin, Puławy, Świdnik, Kraśnik) oraz znajdujące się w nich zakłady pracy, szkoły, instytucje, mogły przybrać odświętny wygląd. O godz. 14 odbyła się w Lublinie uroczysta sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej oraz Wojewódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu. W okolicznościowym wystąpieniu I sekretarz KW PZPR w Lublinie, mówiąc o ostatnich strajkach, potwierdził, że nie będzie rozliczeń. Radni WRN przyjęli uchwałę nakładającą na wojewodę lubelskiego obowiązki w sprawie trybu i sposobu załatwienia „słusznych” wniosków i postulatów załóg oraz mieszkańców. Często powtarzano opinię: „za dużo nagromadziło się zła”. 22 lipca 1980 r., w rocznicę ogłoszenia Manifestu PKWN, w Chełmie, we wczesnych godzinach rannych, został obłany farbą pomnik Braterstwa Broni. Fakt symboliczny, choć sprawcy i ich intencje pozostały nieznane.

24 lipca strajkuje jeszcze Spółdzielnia Pracy „Radzynianka” w Radzynie Podlaskim (ok. 50 osób), ale władze donoszą z triumfem o zakończeniu strajków. Natychmiast nasilono naciski ideologiczne na załogi przedsiębiorstw. We wszystkich większych zakładach pracowały zespoły ds. realizacji zgłaszanych wniosków i postulatów. Ustąpienie

fali strajkowej wcale nie oznaczało uspokojenia nastrojów w zakładach pracy. Utrzymał się w nich stan napięcia w związku z precyzowaniem pracowniczych postulatów i wniosków oraz trwającymi dyskusjami na temat sposobu i terminu ich załatwienia. Już za kilka tygodni te doświadczenia zaowocują, gdy cała Lubelszczyzna rozpocznie organizowanie największego w historii Polski Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”.

Paweł Janowski

A
B
C
D
E
F
G
H
I
J
K
L
Ł
M
N
O
P
R
S
T
U
W
Y
Z
Ż



Regiony, czyli regionalne siedziby władz Solidarności

W ogarniętej solidarnościową rewolucją Polsce lat 1980–1981 regiony Solidarności można uznać – by użyć marksistowskiego języka – za sztaby rewolucji. Zbliżając się do tych miejsc, już z daleka można było zobaczyć ogromny wianuszek zwykłych mieszkańców, którzy przyjeżdżali tu po odbiór ulotek lub byli zainteresowani zdobyciem najświeższej i prawdziwej informacji (w mediach PRL prowadzona była ciągła propaganda antyzwiązkowa). Tuż po wygranym strajku w stoczni przyznano Solidarności najpierw małe mieszkanie w starej kamienicy na ul. Waryńskiego. Szybko się jednak okazało, że gwałtownie rozwijający się Związek musi uzyskać jakiś większy gmach i władze oddały Solidarności spory Hotel Morski, którego atutem było położenie w samym centrum Gdańska-Wrzeszcza. Dawne pokoje Hotelu Morskiego zostały rozdzielone na biura nowego Związku.

Liczba ciekawskich, którzy pod jakimkolwiek pretekstem chcieli wejść do środka, była tak duża, że w końcu zarządzono powstanie specjalnej straży z biało-czerwonymi opaskami. Strażnicy musieli cierpliwie wysłuchiwać setek interesantów, którzy w najróżniejszy sposób udowadniali, że muszą być przyjęci. Tak jak często się zdarza, było też wielu mieszkańców Gdańska i okolic skarżących się na promieniowanie, które ich zdaniem emitowali z sąsiadującego mieszkania bliżej nieokreśleni wysłannicy władz. Często także zgłaszali się posiadacze genialnych pomysłów, jak rozegrać konflikt z władzą. Niewielka kawiarenka, która znajdowała się w Hotelu Morskim na ostatnim piętrze, była tak zatłoczona, że aby znaleźć miejsce, trzeba było odstać niekiedy godzinę albo półtorej. To tutaj rezydowały gwiazdy solidarnościowe, takie jak Jacek Kuroń, ćmiący papierosa za papierosem i tubalnym głosem wyjaśniający tajniki aktualnej sytuacji, otoczony wianuszkami swoich zwolenników. W tym wszystkim były jeszcze konferencje prasowe Wałęsy oraz burzliwe obrady Regionu Gdańskiego. Były też w tym gmachu plotki, o których mówiono tylko przyciszonym głosem. Dotyczyły one np. odejścia z sekretariatu Wałęsy jego pierwszej sekretarki wskutek jego niestosownych awansów. Regiony w razie narastania kryzysów strajkowych zazwyczaj przenosiły swoje kadry do największych zakładów przemysłowych, bastionów Solidarności. Był to wynik przekonania, że tylko tam liderzy regionów mogli się czuć bezpiecznie.

I jeszcze jeden rys tamtych lat – wisząca nie tylko w pokojach, ale też na korytarzach dosłownie dająca się niemal kroić nożem zawiesina dymu z nie najlepszych papierosów. Zabawne było obserwować członków zachodnich ekip telewizyjnych, którzy byli bardzo zdeterminowani, aby odwiedzić związkowych liderów. Widać było, że w papierosowej kurzawie dziennikarze duszą się i tracą rezon, ale za wszelką cenę pragnęli

uzyskać wywiad z Wałęsą, choćby krótki – to wtedy był punkt honoru większości zachodnich stacji. Dlatego musieli dzielnie znosić niepowtarzalny smród popularnych, radomskich, giewontów lub ekstra mocnych, z filtrem lub bez filtra.

Piotr Semka

A
B
C
D
E
F
G
H
I
J
K
L
Ł
M
N
O
P
R
S
T
U
W
Y
Z
Ż

Religijność strajkujących

W nurt wolnościowych przemian natychmiast włączyli się duchowni katolicy, którzy już wcześniej byli związani z opozycyjnymi środowiskami politycznymi. Wiara katolicka i ufność w opiekę Matki Bożej Królowej Polski była głęboko zakorzeniona w duchowości Polaków z Lubelszczyzny. Pamięć o Cudzie Łez Matki Bożej Płaczącej w lubelskiej katedrze w dniu 3 lipca 1949 r. trwała niezachwianie w narodzie i budziła nadzieję na odzyskanie niepodległości. Prawdopodobnie 28 września 1980 r. w kościele oo. Jezuitów w Lublinie przy ul. Królewskiej ojciec Bronisław Sroka podczas kazania stwierdził otwarcie, że „była w Polsce grupa ludzi u władzy, która żyła kosztem innych, nie dbając o interesy narodu i społeczeństwa” i że „należy podziękować robotnikom Wybrzeża za to, że w swych postulatach nie myśleli tylko o chlebie i kiełbasie, ale również o takich sprawach jak więźniowie polityczni i nabożeństwo w środkach masowego przekazu”. Zakonnik wskazywał na „mądrość narodu w ostatnim okresie i moralną odwagę ludzi, którzy przypomnieli rządzącym, że powinni dbać o potrzeby całego narodu, a nie o swój własny interes”.

W połowie października 1980 r. po raz pierwszy zawieszono krzyż obok godła państwowego w świetlicy Narzędziowni Fabryki Samochodów Ciężarowych w Lublinie. Inicjatywa powstała najprawdopodobniej w środowisku NSZZ „Solidarność”. Władze natychmiast podjęły działania zmierzające do zdjęcia symbolu wiary. 17 października, podczas związkowego spotkania w Zakładach Azotowych „Puławy” z udziałem przedstawicieli największych zakładów woj. lubelskiego, a także reprezentantów MKZ z Gdańska i Lublina, domagano się m.in. zdecydowanej walki o przywrócenie nauki religii w szkołach. W trakcie dyskusji żądano też budowy nowego kościoła w Puławach. Lubelski ordynariusz bp Bolesław Pylak wystąpił oficjalnie z postulatem budowy trzech kościołów: dwóch w Lublinie (w dzielnicach Rury i Kalinowszczyzna) i jednego w Puławach. Komuniści zgodzili się tylko na budowę świątyni w Puławach.

26 października w lubelskiej katedrze odprawiono uroczyste nabożeństwo w intencji NSZZ „Solidarność”, w którym wzięło udział ok. 2 tys. wiernych. Na terenie woj. zamojskiego w drugiej połowie listopada 1980 r. zawieszono krzyże m.in. w ZPDz „Mewa” w Biłgoraju oraz w ZPO „Delia” w Zamościu. Środowiskiem, które szczególnie gorliwie przywracało symbolikę religijną, byli górnicy. Na początku listopada 1980 r. na terenie kopalni Bogdanka rozprowadzano pochodzące z Jastrzębia ulotki, nawołujące do zawieszania w miejscach pracy wizerunków religijnych, zwłaszcza obrazów patronki górników – świętej Barbary, oraz przywrócenia do powszechnego użycia tradycyjnego górniczego powitania: „Szczęść Boże”. 4 grudnia, z okazji święta patronki górników – świętej Barbary, biskup lubelski odprawił uroczyste nabożeństwo w kościele w Łęcznej z udziałem ok. 800 osób, poświęcił tam górniczy sztandar i otrzymał tego dnia tytuł

Honorowego Górnika. A już 10 dni później odbyła się uroczystość poświęcenia obrazu i figurki św. Barbary w cechowni kopalni w Bogdance. Wzięło w niej udział ok. 4 tys. osób, 3 biskupów, członkowie Senatu KUL, ok. 70 księży i ponad 100-osobowa delegacja górników ze Śląska ze sztandarami. Symbole religijne zaczęto powszechnie umieszczać w szkołach i zakładach pracy, często były one fundowane przez robotników. Tym aktom wierności Bogu i Kościołowi katolickiemu towarzyszyły procesje, np. w kościele w Trawnikach odprawiono mszę św. zamówioną przez NSZZ „Solidarność” ZPDz „Trawena”, w czasie której poświęcono krzyż zakupiony z zebranych przez załogę pieniędzy. Krzyż został procesjonalnie przeniesiony do zakładu i zawieszony w jednej z hal produkcyjnych (w procesji uczestniczyło ok. 500 osób). Krzyż i obraz Matki Boskiej zawieszono też w pomieszczeniu Solidarności w Przedsiębiorstwie Przemysłu Chłodniczego w Lublinie. W Fabryce Łożysk Toczących w Kraśniku zawieszono krzyże w trzech świetlicach – 16 grudnia, w rocznicę tragicznych wydarzeń z 1970 r. na Wybrzeżu. Tak działo się na całej Lubelszczyźnie. Odprawiano msze święte za władze Solidarności, za robotników, poświęcano krzyże, które potem umieszczano w halach fabrycznych, biurach, szkołach i świetlicach. Modlitwa stała się nierozzerwalnym składnikiem spotkań, zebrań i ważnych wydarzeń.

Dla Lubelszczyzny kluczowym duchownym był ks. dr hab. Mieczysław Brzozowski, który 30 grudnia 1980 r. został mianowany przez bp. Bolesława Pylaka przedstawicielem biskupa lubelskiego do współpracy z NSZZ „Solidarność” Regionu Środkowo-Wschodniego. Ks. Brzozowski, zrzeszony w NSZZ „Solidarność” KUL, był pod koniec lat 70. związany z lubelską opozycją. W kościele powiżytkowskim, gdzie był rektorem, w czasie Mszy św. za Ojczyznę wygłaszał odważne patriotyczne kazania.

14 lutego 1981 r., w pierwszą rocznicę pielgrzymki z Lublina na Jasną Górę, zorganizowano rocznicową pielgrzymkę z intencją modlitw za Ojczyznę. Wzięli w niej udział przedstawiciele regionalnego MKZ oraz delegacje zakładów pracy. Podczas nocnego czuwania w kaplicy Matki Boskiej na Jasnej Górze delegacja NSZZ „Solidarność” Regionu Środkowo-Wschodniego złożyła u stóp ołtarza Akt Oddania powierzający opiece Niepokalanej Królowej Polski NSZZ „Solidarność” Regionu Środkowo-Wschodniego.

W niedzielę 24 maja 1981 r. w bazylice oo. Dominikanów w Lublinie rolnicy zrzeszeni w NSZZ RI „Solidarność” złożyli uroczysty Akt Oddania Matce Najświętszej. Po mszy św. odprawionej w intencji Związku o. Ludwik Wiśniewski poświęcił siedzibę rolniczej Solidarności w budynku przy ul. Królewskiej.

Symboliczną wymowę miało zaproszenie przez Kurię Biskupią Zarządu Regionu Środkowo-Wschodniego Solidarności do oficjalnego udziału w uroczystościach i w procesji Bożego Ciała, a także do powołania specjalnej służby porządkowej. Ze strony lubelskiego Kościoła był to powrót do przedwojennych tradycji obchodów uroczystości Bożego Ciała z udziałem organizacji społecznych i patriotycznych. NSZZ „Solidarność” przed siedzibą Zarządu Regionu wystawił ołtarz w formie dużego drewnianego krzyża przepasanego biało-czerwoną szarfą. Przy tym ołtarzu bp Bolesław Pylak wygłosił

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

kazanie, w którym stwierdził: „Ten dom, który był dotąd martwy, dzięki Solidarności przemówił”. Solidarność przemówiła swą duchowością, pomocą robotnikom i ich rodzinom, wyprowadziła pobożność na światło dzienne, do sfery zawodowej, społecznej i publicznej.

Paweł Janowski

Reportaż Samitowskiego

Tadeusz Samitowski był dziennikarzem „Dziennika Telewizyjnego”, w styczniu 1981 r. zwrócił on na siebie uwagę agresywnym reportażem z Olsztyna – reportaż ten stał się symbolem zmiany tonu w propagandzie PRL. 15 stycznia 1981 r. w Regionie Warmińsko-Mazurskim Solidarności odbył się strajk ostrzegawczy, żądano odwołania z funkcji i postawienia przed sądem I sekretarza KW PZPR Edmunda Wojnowskiego, któremu zarzucano liczne nadużycia. MKZ w Olsztynie wystąpił do prokuratury o wszczęcie śledztwa. W lokalnej prasie, zdominowanej przez PZPR, żądania Solidarności przedstawiano w sposób karykaturalny i zażarcie broniono Wojnowskiego. W tej sytuacji w Olsztynie pojawił się przybyły z Warszawy Tadeusz Samitowski. W nakręconym reportażu, który wyemitowano w TVP 1, całkowicie zakłamano istotę sporu i ostro zaatakowano szefa regionu Mirosława Krupińskiego i innego lidera tutejszej Solidarności Edmunda Łukomskiego. Reportaż Samitowskiego przeszedł do historii relacji władza – Związek w latach 1980–1981, gdyż był początkiem nowej fali propagandowej. O ile wcześniej nie broniono zbyt mocno skompromitowanych aparatczyków z epoki Gierka, o tyle reportaż Samitowskiego był sygnałem dla aparatczyków, że władza będzie ich od tej chwili zdecydowanie bronić. Samitowski wyjechał później na placówkę korespondenczką w Budapeszcie, a obecnie jest współpracownikiem tygodnika „Przegląd”.

Piotr Semka

Rolnicza Solidarność NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność”

Batalia rolników o własną reprezentację związkową trwała prawie rok dłużej niż walka o Solidarność pracowniczą. Porozumienia Sierpniowe podpisano 31 sierpnia 1980 r., NSZZ „Solidarność” zarejestrowano 10 listopada 1980 r., natomiast rejestracja NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność” nastąpiła dopiero 12 maja 1981 r. Jakkolwiek w Porozumieniach Sierpniowych władze PRL zgodziły się na „trwałe perspektywy dla gospodarstw rodzinnych” i na „odrodzenie samorządu wiejskiego”, to możliwość rejestracji związku zawodowego rolników pominęły. Nic dziwnego, że od października 1980 r. do lutego 1981 r. kilkakrotnie (29 X, 6 XII, 30 XII, 30 I, 5 II, 10 II) zarówno Sąd Wojewódzki, Sąd Najwyższy, jak i przedstawiciele rządu i Biura Politycznego PZPR odmawiali rejestracji związku zrzeszającego rolników. Ze względu na „brak podstaw prawnych” oddalono wnioski NSZZ Rolników, Solidarności Wiejskiej, bydgoskiej Solidarności Chłopskiej, Chłopskiego Związku Zawodowego Ziemi Dobrzyńskiej i Kujaw oraz wałbrzyskiego Chłopskiego Niezależnego Związku Zawodowego.

Dlatego 29 grudnia 1980 r. rolnicy podjęli swoją walkę o prawo do własnego związku zawodowego, rozpoczynając okupacyjny strajk w niewielkich Ustrzykach Dolnych, w sali konferencyjnej Urzędu Miasta i Gminy. Po kilku dniach kolejny strajk okupacyjny (2 stycznia 1981 r.) rozpoczął się w budynku Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych w Rzeszowie.

Kluczowe cele strajkujących brzmiały: prawo do niezależnej reprezentacji związkowej rolników oraz konstytucyjne gwarancje dla prywatnych, rodzinnych gospodarstw rolnych, czyli dla prywatnej własności ziemi. Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność” udzieliła (7–8 stycznia) poparcia strajkującym rolnikom, wzywając (20 stycznia) swoich członków do popierania, także strajkami, ich rolniczych protestów. Także Rada Główna Episkopatu Polski uznała (10 lutego) za „naturalne” prawo rolników do swobodnego zrzeszania się. Rozmowy prowadzone 16–18 lutego w Rzeszowie oraz 20 lutego 1981 r. w Ustrzykach ostatecznie zakończyły się porozumieniem. Po 40 dniach i początkowym, wyraźnym lekceważeniu rolniczych strajków władze podpisały tzw. Porozumienia Rzeszowsko-Ustrzyckie. W preambule zapisano, że stroną porozumienia jest Związek Zawodowy Rolników Indywidualnych (co dawało nadzieję na rejestrację) oraz przyznano, iż istnieje „celowość wzmocnienia nienaruszalności własności chłopskiej”. Ale batalia o rolniczą Solidarność nie zakończyła się w lutym 1981 r. W tym samym miesiącu prezes Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego (ZSL) Stanisław Gucwa zakwestionował sens tworzenia Solidarności rolników, a Bolesław Strużek (ZSL) namawiał do powołania samorządu rolniczego. W odpowiedzi środowiska Solidarności

Chłopskiej, Wiejskiej i Rolniczej zawarły w Poznaniu (8–9 marca 1981 r.) porozumienie i przyjęły statut oraz nazwę nowej organizacji: NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność”. Gdy władze zaproponowały rolnikom Kółka i Organizacje Rolnicze jako ich reprezentację związkową, w marcu 1981 r. rolnicy rozpoczęli w siedzibie Wojewódzkiego Komitetu ZSL w Bydgoszczy kolejny strajk okupacyjny. Trzy dni później, 19 marca, doszło do tzw. prowokacji bydgoskiej podczas sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej. Protest połączył działacze Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” oraz przywódców rolniczej Solidarności. Siły porządkowe pobiły wtedy „solidarnie” liderów obu środowisk: Mariusza Łabentowicza, Jana Rulewskiego i Michała Bartoszcze.

W NSZZ „Solidarność” zapadła decyzja (24 marca) o 4-godzinnym, ogólnopolskim strajku ostrzegawczym. Strajk (27 marca) okazał się sukcesem, a władze PRL stanęły wobec groźby kolejnego, ogólnopolskiego strajku pracowniczej Solidarności, planowanego na 31 marca. Ostatecznie podpisano kolejne porozumienie (17 kwietnia), które usunęło bariery prawne, i 12 maja 1981 r. NSZZ RI „Solidarność” została zarejestrowana.

Dlaczego od rozpoczęcia strajku okupacyjnego w Ustrzykach do rejestracji związku minęło aż pięć miesięcy? Dlaczego od Porozumień Sierpniowych minął prawie rok? Najwyraźniej w pamięci władz PRL wciąż żywe było wspomnienie siły ruchu ludowego w latach 1946–1947, a także klęski kolektywizacji w latach 50. Dzisiaj już wiemy, że lęk władz PRL przed kolejną rejestracją kolejnej reprezentacji związkowej Polaków był w pełni uzasadniony. Tak bowiem zaczął się proces utraty monopolu władzy PZPR, a w rezultacie początek końca PRL.

Barbara Fedyszak-Radziejowska



Sojusz robotników i inteligencji

Wyjątkowym aspektem rewolucji 1980–1981, tego swoistego „zaczarowanego czasu”, było odkrycie przez inteligencję naturalnego patriotyzmu i zdrowego rozsądku robotników. Przez długi okres PRL między inteligencją a robotnikami istniała mentalna niewidzialna bariera. Robotnicy zazdrościli elitom łatwych wyjazdów za granicę, a elity patrzyły nieufnie na klasę robotniczą jako bierną podporę systemu. Pamiętano także „aktyw robotniczy”, który wyposażony w pałki z ciętego kabla pałował demonstrujących przeciw władzy studentów na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego w marcu 1968 r. W gierkowskiej telewizji wciąż pokazywano uśmiechniętych hutników w czasie spustu surówki, zadowolonych stoczniowców w czasie wodowania statków i górników świętujących kolejny milion wydobytego węgla. Wytwarzało to w latach 70. u części opozycyjnie nastawionej inteligencji awersję wobec „chamów w kaskach”. Kabareciarz Jacek Kleyff z Salonu Niezależnych kpił wtedy: „Stal się leje, moc truchleje”.

Gdy wybuchła Solidarność, inteligenci zobaczyli nagle robotników aspirujących do jakichś wyższych wartości i żądających wolności. Mówiących dość nieporadnie, ale szczerze o Polsce, demokracji i nawet w przekorny, ale sympatyczny sposób powołujących się na dogmat o państwie robotników i chłopów. Gdy w czasie strajku w Stoczni Gdańskiej strajkujący stoczniowcy odkryli, że zakładowa powielarnia jest zamknięta na kłódkę, stanęli zafrasowani i nie wiedzieli, co robić. Jednak jeden z robotników miał przeżyć olśnienie: „Przecież w Konstytucji napisane jest, że wszelkie środki produkcji są własnością mas pracujących! No to my jesteśmy masy pracujące i mamy prawo rozbić kłódkę i wydawać na powielaczu nasz biuletyn”. Dogmaty marksizmu wykorzystano w twórczy sposób przeciw komunistom.

Po sierpniu 1980 r. powstała modna wówczas idea pojednania elit i mas. W jej myśl w Marcu '68 wyzwanie władzom rzuciły uczelnie, ale zakłady pracy były bierne. Potem w Grudniu '70 robotnicy wyszli na ulicę, ale inteligenci tylko przyglądali się temu z boku. I wreszcie w czasie fali strajków w 1980 r. doszło do syntezy – inteligenci wsparli robotników i te dwie grupy już nigdy nie dadzą się skłócić. Przykładem spotkania tych dwóch światów była wówczas wizyta aktorów teatru Wybrzeże w stoczni i ich spotkanie z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym. Później rolę miejsca spotykania się dwóch światów pełnił poruszający musical „Kolęda-Nocka”, ze słynnym wtedy songiem Krystyny Prońko „Psalm stojących w kolejce”. W 1980 i 1981 r. komplety biletów na ten spektakl wykupywały zakładowe komisje „S” w zakładach pracy Trójmiasta, Pomorza i z całego kraju.

Idea solidarności skłaniała do idealizmu i bezinteresowności. Jedna z legend tamtego czasu opowiada o kierowcach jednej z baz autobusowych, którym po Sierpniu '80

przyznano spore podwyżki kosztem uposażeń sprzątaczek. Gdy kierowcy się o tym dowiedzieli, na nowo podjęli strajk i dyrekcja, zgrzytając zębami, musiała przyznać podwyżki także paniom od mioteł i ścierek.

Piotr Semka

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

Solidarni z rodziną

Ten wymiar aktywności społecznej w środowiskach lubelskiej Solidarności po kilku miesiącach działania Związku znalazł swoje ważne miejsce. 17 maja 1981 r. delegaci I Walnego Zebrania Delegatów Regionu Środkowo-Wschodniego przyjęli w Świdniku uchwałę (nr 27) „O najpilniejszej pomocy dla rodzin”. Stwierdzono w niej, że zagrożenie prawie 1/5 społeczeństwa „niebezpieczeństwem głodu i ubóstwa” wymaga natychmiastowego działania. W związku z tym zobowiązano Zarząd Regionu i komisje zakładowe do „zorganizowania pomocy dla najbardziej poszkodowanych grup pracowników i ich rodzin”.

W szczególności wymieniano rodziny wielodzietne i niepełne, samotne matki, rodziny żyjące w ubóstwie, dotknięte alkoholizmem, emerytów i rencistów. Podkreślano, że pomoc powinna objąć zarówno potrzeby materialne, jak i społeczne. Według danych lubelskiego Ośrodka Badań Społecznych członkowie Solidarności wyrażali w tamtym okresie oczekiwania, że w pierwszej kolejności Związek zajmie się sprawami warunków bytowych ludzi pracy.

29 maja 1981 r. Zarząd Regionu przyjął uchwałę „w sprawie polityki rodzinnej”, w której postanowiono zlecić Ośrodkowi Badań Społecznych opracowanie banku informacji w postaci kartoteki obejmującej kolejno Lublin, inne miasta oraz cały region, w celu objęcia pomocą wszystkich potrzebujących. To była akcja bez precedensu. Aby zabezpieczyć należyte funkcjonowanie pomocy dla tzw. rodzin specjalnej troski, Zarząd Regionu miał zapewnić etatowych pracowników ze swego biura, którzy mieli przyjmować zgłoszenia od komisji zakładowych o istniejących potrzebach, uzupełniać bank informacji i kierować dystrybucją środków.

Postanowiono też powołać zespół społecznych kuratorów tzw. rodzin specjalnej troski oraz społeczny Zespół Konsultacyjny ds. Rodziny. W tym ostatnim gotowość pracy wyrazili: doc. Jerzy Bartmiński (UMCS), doc. Maria Gałkowska (KUL), red. Czesław Dąbrowski (PAX), doc. Ewa Jabłońska-Deptuła, ks. Marcin Jankiewicz, prof. Zofia Sękowska (UMCS), inż. Janusz Karpiński (ZR), red. Barbara Jurkowska, dr Elżbieta Teske (UMCS) i Bronisława Strojnowska.

W następnych dniach działająca przy Zarządzie Regionu Rada ds. Rodziny zainicjowała powstanie ruchu o nazwie: Solidarność Rodzin, inspirowanego katolicką nauką społeczną. Zamysł tej inicjatywy przewidywał m.in. odbudowanie zdolności do samoorganizowania się i wzajemnej solidarności w ramach grup rodzinnych i sąsiedzkich. Jednym z istotnych motywów powstania ruchu było „poszerzanie obszaru wolności”: „Nie wystarczyło poczuć się razem w zakładzie pracy, ale i najbliższym otoczeniu – w miejscu zamieszkania. Szczególnie ważne było to w wielkich, anonimowych osiedlach miejskich, gdzie ludzie, żyjąc obok siebie, byli dla siebie zupełnie obcy” – mówiła Ewa Jabłońska-Deptuła. Dlatego to nie był przypadek, że ruch Solidarność Rodzin

został zapoczątkowany w nowych dzielnicach mieszkaniowych lub w parafiach obejmujących takie dzielnice.

21 czerwca 1981 r. na lubelskim osiedlu Kalinowszczyzna – podczas spotkania przedstawicieli Zespołu ds. Rodziny (Bronisława Strojnowska i Jerzy Bartmiński) z mieszkańcami osiedla, które odbyło się w salce katechetycznej kościoła Salezjanów – powstał pierwszy zespół Solidarności Rodzin (określany też jako „osiedlowa solidarność rodzin”). W następnych miesiącach zorganizowano kilka dalszych zespołów działających na terenie poszczególnych parafii i osiedli.

Wobec pogłębiającego się ubożenia polskich rodzin Zarząd Regionu utworzył 30 lipca 1981 r. Fundusz Zapomogowy Solidarności. Do dysponowania nim powołano przy Zarządzie Regionu Zespół Najpilniejszej Pomocy, ściśle współpracujący z zespołami Solidarności Rodzin oraz Niezależnym Ruchem Harcerskim. Zespół do spraw Rodziny przy Zarządzie Regionu, we współpracy z Kurią Biskupią i Urzędem Wojewódzkim, podjął inicjatywę budowy i uruchomienia Pomnika Dziecka Urodzonego – Domu Samotnej Matki. Prezydium Zarządu Regionu udzieliło na ten cel finansowej pomocy w formie pożyczki (inicjatywę zrealizowano w 1984 r. pod patronatem Kościoła).

Wypracowaną w Lublinie ideę Solidarności Rodzin z inicjatywy delegatów lubelskich wpisano do uchwały programowej I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność”, zaś w przyjętym na zjeździe statucie Związku (par. 7, pkt 5) zapisano zasadę, że inicjowanie samopomocy jest statutowym obowiązkiem członków NSZZ „Solidarność”.

W listopadzie 1981 r. w ramach ruchu postanowiono wydrukować broszurę pt. „Ruch Solidarności Rodzin”, z podstawowymi tekstami programowymi na temat celów i zadań ruchu, jego powiązań z ideą Samorządnej Rzeczypospolitej i budowaniem wolnego, podmiotowego społeczeństwa. Znalazła się tam m.in. myśl powiązania działań zespołów Solidarności Rodzin z przygotowaniem społeczeństwa do wyborów samorządu terytorialnego. Broszura była przygotowywana na ogólnopolskie spotkanie ruchu w Lublinie. Niemal gotowy nakład broszury (2 tys. egz.) został zniszczony przez Służbę Bezpieczeństwa na początku stanu wojennego.

Paweł Janowski

Strach w sierpniu

Na początku protestu w Stoczni Gdańskiej zapalnikiem wybuchu była solidarność z Anną Walentynowicz, wieloletnią pracownicą stoczni, oraz wsparcie dla postulatów płacowych. Jednak po pierwszej chwili euforii strajku rozpoczętego w czwartek 14 sierpnia zaczęły się pojawiać obawy o możliwość powtórki rozwiązania siłowego na wzór Grudnia '70. W sobotę 16 sierpnia grupa działaczek Wolnych Związków Zawodowych zdołała zatrzymać stoczniowców, którzy podporządkowali się decyzji Lecha Wałęsy o zakończeniu strajku. Podniesiony wówczas przez Annę Walentynowicz, Alinę Pienkowską, Ewę Ossowską i Henrykę Krzywonos apel o solidarność z zakładami, które podjęły strajk solidarnościowy ze stocznią, przyczynił się do kontynuowania strajku.

Kiedy 16 sierpnia wieczorem samoloty An-2 zaczęły nad stocznią rozrzucać ulotki wzywające stoczniowców do zakończenia strajku, część z protestujących skojarzyło to z taktyką władz w Grudniu '70 i uznało to za preludium do rychłego ataku w najbliższą noc w wykonaniu sił milicji czy nawet wojska. Tę atmosferę lęku rozładowały dwie inicjatywy. Pierwszą były wspólne modlitwy przed bramą nr 2, prowadzone przez Lecha Wałęsę wraz z Bożeną Rybicką i Magdaleną Modzelewską. Wspólnotowy charakter modlitwy i nastrój zdeterminowanej powagi, jaki wprowadzały modły, okazał się najlepszą odtrutką na obawy części załogi o swoje bezpieczeństwo. Modlitwy były prowadzone do samego końca strajku codziennie wieczorem. Drugim elementem przesilenia w nastrojach była msza św. odprawiona w niedzielę 16 sierpnia za bramą nr 2 przez księdza Henryka Jankowskiego z parafii św. Brygidy. Co ciekawe, władze zgodziły się na mszę, gdyż liczyły na uspokojenie nastrojów. Tymczasem msza okazała się początkiem przesilenia, choć już wcześniej w nocy z 16 na 17 sierpnia powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Od tej chwili strajk w szybkim tempie rósł w siłę, a determinacja protestujących narastała.

Piotr Semka

Strajk czynny kroczący

Ta forma strajku została zastosowana podczas protestów związkowców oświaty i wychowania na Lubelszczyźnie jesienią 1981 r. Był to strajk stopniowo rozszerzający się w miarę podejmowania decyzji o przystąpieniu do niego przez poszczególne placówki oświatowo-wychowawcze.

Wyznaczono odpowiednie procedury tego strajku: 1) odbywały się normalne, planowe lekcje z głównych przedmiotów nauczania; 2) zamiast przedmiotów: przysposobienie obronne, przysposobienie do życia w rodzinie socjalistycznej, zajęcia praktyczno-techniczne, wychowanie fizyczne – odbywały się zajęcia specjalne, ustalone przez szkołę, w celu wypełnienia „białych plam” w programach nauczania; 3) za cały proces dydaktyczno-wychowawczy szkoły w czasie strajku odpowiadał komitet strajkowy szkoły (KSS); 4) strajk w określonej placówce mógł być ogłoszony decyzją komisji zakładowej w porozumieniu z Zarządem Regionu; 5) po ogłoszeniu gotowości strajkowej komisja zakładowa wybierała komitet strajkowy, jego przewodniczącego i pełnomocnika do spraw dydaktyczno-wychowawczych; 6) KSS wyznaczał służby strajkowe: porządkową, sanitarną, łączności oraz strajkową; 7) strajk winien być ogłoszony w czasie zajęć lekcyjnych i w uroczystej oprawie – by poinformować wszystkich uczniów i nauczycieli; 8) z chwilą rozpoczęcia strajku KSS podejmował decyzje w sprawach dydaktyczno-wychowawczych (odpowiedzialność za bazę materialną ponosiła administracja szkoły); 9) młodzież mogła przebywać w szkole w czasie zwykle przeznaczonym na zajęcia, ale nie dłużej niż do godz. 18; 10) strajku nie organizowały przedszkola, szkoły specjalne i placówki z nieliczną kadrą – wówczas akcja protestacyjna ograniczała się do wywieszania flag, transparentów, oplakatowania; 11) strajk mógł być odwołany tylko przez Zarząd Regionu Środkowo-Wschodniego.

Do kontaktów z mediami upoważniono rzecznika prasowego Zarządu Regionu. W ten sposób związkowcy oświatowej Solidarności realizowali niezbywalne prawo do protestu i walki o prawa pracownicze bez naruszania praw dzieci i młodzieży szkolnej do nauki.

Paweł Janowski

Strajk studencki

Ten prawdziwy, wielki, zwany radomskim, w drugiej połowie listopada 1981 r. objął większość uczelni w kraju. Patronował mu NZS, trwał prawie miesiąc i był strajkiem w sprawie ustawy o szkolnictwie wyższym, a także solidarnościowym z WSI Radom, gdzie protestowano przeciw wyborowi na rektora prof. Michała Hebdy. Potem dotyczył także Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej, której bunt został spacyfikowany przez ZOMO 2 grudnia 1981 r. Atak milicji z helikoptera na gmach przy ul. Słowackiego był spektakularną zapowiedzią rozprawy siłowej ze społecznymi protestami.

Nasz strajk zakończył się porażką i został zakończony z powodu znużenia i braku perspektyw, ale przecież sam w sobie był świętem. Był wielkim świętem. Bo zamknięcie się na uczelniach studentów na prawie miesiąc i wspólne życie w akademickich murach, nocowanie w salach wykładowych, ciągłe dyskusje i organizowanie sobie wolnego czasu, wypracowywanie reguł wspólnego życia było czymś niesamowitym. Niczym wyjazd integracyjny, który nie ma końca, no i... z trochę mniejszą ilością środków odurzających.

Niepocięte papierosy w formie długich bibułkowych węży, dostarczane w ramach pomocy strajkującym, wspólne śniadania i obiady, wykłady, lektury i rozmowy o nich, koncerty, występy i gromadne śpiewanie. Nasz wydział, polonistyka UW. Odwiedziny twórców: Zbigniewa Herberta czy Kazimierza Brandysa, możliwość bezpośredniej, nieskrępowanej konwenansami rozmowy z nimi, nocne pogaduchy z Adamem Michnikiem, a przede wszystkim ciągle bycie razem.

Rację miał przemawiający na zakończenie strajku rektor UW prof. Henryk Samsonowicz, że tego rodzaju rzecz należałoby wprowadzić na stałe do programu nauczania. Nawiązane przyjaźnie, rozkwitające miłości, ale też wzajemne poznanie się owocowały potem przez długie lata. Nabyte doświadczenia okazały się niezwykle istotne, szczególnie po 13 grudnia: wiadomo było, na kogo można liczyć, na kim można polegać, kto da się wciągnąć w knucie. Młodzi pracownicy naukowci, strajkujący razem z nami, mieli możliwość dogłębnego poznania swoich studentów, co zaowocowało potem niezwykłą wspólnotową więzią łączącą akademicką społeczność. Niewątpliwie doświadczenie strajku naznaczyło na zawsze roczniki, którym dane było przeżyć razem karnawał Solidarności. I było wyborym przygotowaniem na czas stanu wojennego.

Andrzej Horubała

Strajk w PLL LOT i sowiecki desant

Z końcem kwietnia 1981 r. odwołano dyrektora PLL LOT. Samorząd załogi zaproponował rozpisanie konkursu na to stanowisko, zwycięzca miał zostać dyrektorem. Choć Ministerstwo Komunikacji, któremu PLL LOT podlegały, nie zgodziło się na taki wybór dyrektora, samorząd zgodnie z prawem dokonał wyboru. Zwyciężył wybitny specjalista Bronisław Klimaszewski, który po wyborze powiedział: – Wygrałem nie tyle ja, ile mój program. A program ten, jak orzekli samorządowcy, uwzględniał zarówno interes kraju, jak i przedsiębiorstwa. Wybór załogi minister kompletnie zignorował, proponując swojego kandydata, na co załoga się nie zgodziła. Samorząd zwrócił się do Komisji Zakładowej Solidarności o podjęcie negocjacji z ministrem. Po trzech miesiącach prób negocjacji z ministrem załoga podjęła decyzję o strajku. W tym 4-godzinny strajku ostrzegawczym 9 lipca 1981 r. wzięły udział wszystkie związki działające w LOT. Tego samego dnia minister obsadził stanowisko dyrektora, arbitralnie powołując generała lotnictwa Józefa Kowalskiego. Nominata załoga nie zaakceptowała. Uzgodniono strajk generalny na 24 lipca.

Na czas strajku ostrzegawczego 9 lipca powołano Międzyzwiązkowy Komitet Strajkowy. Od godz. 8 rano wszystkie załogi zaprzestały pracy. Podczas zwołanej konferencji prasowej dla krajowych i zagranicznych dziennikarzy zadawano pytania, czy polski przewoźnik zamierza zrezygnować z sowieckich maszyn (co uważano za prowokację wobec ZSRS). Przed południem, ok. godz. 11, na płycie cywilnego lotniska pojawiły się dwa niezapowiedziane samoloty z komandosami. Wysiadło z nich kilkudziesięciu i ostentacyjnie maszerowali przez płytę lotniska. Chwilę później pojawił się trzeci samolot, bez widocznych oznaczeń. Jak się niebawem okazało, miał na pokładzie sowieckich komandosów. Nikt jednak z maszyny nie wyszedł. Stała od godz. 10 do 12, czyli do zakończenia strajku ostrzegawczego. Po tej godzinie samolot kołował dalej na płytę lotniska wojskowego.

W następnych dniach zostało zwołane posiedzenie prezydium NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze poświęcone rozwiązaniu konfliktu w PLL LOT. Dopiero wówczas udało się wynegocjować kompromisowe rozwiązanie. Bronisław Klimaszewski został zastępcą dyrektora PLL LOT, a załoga odwołała strajk generalny, zapowiadany na 24 lipca.

Mateusz Wyrwich

Strajk w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej

Choć Wyższa Oficerska Szkoła Pożarnicza (WOSP) była uczelnią cywilną, to jednak podporządkowaną Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Władze dążyły do tego, by WOSP przekształcić w szkołę wojskową, wcieloną w struktury MSW. W związku z tym, jak zaznaczał ówczesny minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczał, „w resorcie żadnych związków ani strajków nie będzie”. Chodziło o Niezależne Zrzeszenie Studentów, związki zawodowe pracowników cywilnych oraz Komisję Zakładową Solidarności w WOSP.

Od początku września Kiszczał i Biuro Polityczne KC PZPR rozpoczęli akcję systematycznego prowokowania strajków, aby później pokazać społeczeństwu, jak bardzo konieczne było wprowadzenie stanu wojennego. Takimi prowokacjami były m.in. strajk w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Radomiu i strajk pracowników PGR w Lubogórze, który był nieformalnie organizowany przez KW PZPR w Zielonej Górze. Do tych strajków należał też ten w WOSP. Wcześniej rozpuszczano plotki o tym, że uczelnia ma zostać przekształcona w wojskową, a jej studenci wykorzystywani do tłumienia strajków. Choć ze studentami prowadzono negocjacje, dziś wszystko wskazuje na to, że były one pozorowane. Komuniści od początku zdecydowali się na konfrontacyjne rozwiązanie studentckiego buntu.

Studenci podchorążowie WOSP zwołali wiec 24 listopada, by podjąć dyskusję nad ustawą o szkolnictwie wyższym. Wzięli w nim udział zarówno studenci będący w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów, jak i w Socjalistycznym Związku Studentów Polskich. Kilku udających się na spotkanie podchorążych zostało zatrzymanych okrzykiem: „Stój, bo strzelam”. To spowodowało, że obecni w szkole podchorążowie podjęli strajk okupacyjny i zgromadzili się w auli. Do trwającego tydzień strajku dołączyli robotnicy z Solidarności Huty „Warszawa” i FSO. Pojawił się też ks. Jerzy Popiełuszko, który odprawił mszę św. Przed szkołą zgromadzono kilka tysięcy funkcjonariuszy różnych służb podległych MSW. Wśród nich byli żołnierze Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych i Wojskowej Służby Wewnętrznej. Wokół szkoły zgromadziły się tysiące osób cywilnych, które przynosiły strajkującym jedzenie i utrzymywały kontakt podchorążych z rodzinami.

2 grudnia 1981 r. na rozkaz komunistów WOSP została zaatakowana przez policyjny desant (dowódcą był Jerzy Dziewulski, który w III RP uchodził za eksperta od „służb specjalnych”, ulubiony celebryta telewizyjnych stacji komercyjnych). Podchorążowie nie stawiali oporu. Studentów po wejściu desantu wyprowadzono do stojących przed uczelnią autobusów. Kilka osób zostało poturbowanych, zwłaszcza cywile wspierający strajkujących na terenie gmachu. Część podchorążych zawieziono na dworzec

kolejowy, by mogli pojechać do domów. Ponad 200 podchorążych pojechało na Politechnikę Warszawską, by zdać relację ze strajku podczas konferencji prasowej.

Po wprowadzeniu stanu wojennego szkołę uruchomiono w lutym 1982 r. Część podchorążych, po podpisaniu „świadczenia lojalności”, powróciła na uczelnię. Innych powołano do wojska. Dzięki staraniom rektorów Politechniki Warszawskiej i Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego kilkudziesięciu studentów WOSP zostało przyjętych do tych uczelni.

Mateusz Wyrwich

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

Strajkowe msze święte

Msza i krzyż w Hucie „Warszawa”

Skąd się wziął w kręgach Solidarności ks. Jerzy Popiełuszko i jego sławne Msze Święte za Ojczyznę? Kiedy 28 sierpnia 1980 r. na znak poparcia dla robotników Wybrzeża stanęła Huta „Warszawa”, strajkujący trzeciego dnia udali się do prymasa Polski z prośbą o niedzielną mszę św., bo w hucie strajkowało kilka tysięcy ludzi. Wielokrotnie opowiadał o tym – nie tylko mnie, i nie tylko w kościele Najświętszego Zbawiciela w Warszawie – ks. prałat Bronisław Piasecki (1940–2020), ostatni kapelan Prymasa Tysiąclecia kard. Stefana Wyszyńskiego.

– Przedstawiłem ich prośbę Prymasowi i odpowiedź była natychmiastowa. Wróciłem do pracowników huty i powiedziałem: „Prymas wyraził zgodę, poszukamy księdza” – wspominał ks. Piasecki. – Udałem się do kościoła św. Stanisława Kostki na Żoliborzu. Przedstawiłem ks. prałatowi Teofilowi Boguckiemu prośbę prymasa. Z grafiku zajęć okazało się, że w tym czasie wolny jest ks. Jerzy Popiełuszko... Pojechalśmy jeszcze do kościoła św. Magdaleny na Wawrzyszewie, położonego najbliżej huty. Tam poprosiliśmy wikariusza ks. Stanisława Ciapałę, chętnie dołączył. Obaj z ks. Jerzym udali się do huty. Żegnając się z nimi, powiedziałem, że jestem pod telefonem. O godz. 14 z minutami ks. Jerzy zadzwonił: „Właśnie przyszła zmiana popołudniowa. Oni też chcą mszy świętej”. Ksiądz Jerzy powiedział: „Serdecznie was zapraszam do mnie, do św. Stanisława”. Następnego dnia przed południem przyszedł do prymasa z relacją. Prymas powiedział: „Zajmij się nimi i zdawaj mi sprawę”. „Już to uczyniłem” – padła odpowiedź. I tak się zaczęła modlitwa za Ojczyznę u św. Stanisława Kostki – mówił o tym zawsze ze wzruszeniem ks. Piasecki.

Tymczasem hutnicy zbudowali przy bramie prowizoryczny ołtarz. Nad ołtarzem wznosił się sosnowy krzyż z przewieszoną stulą, wykonany przez pracowników stolarni. Z krzesel urządzono konfesjonały. Przed tym samym krzyżem przy bramie huty ks. Jerzy odprawił mszę św. w maju 1981 r., po zamachu na Jana Pawła II, i 31 sierpnia 1981 r. w rocznicę strajku. Po mszy św. z inicjatywy ks. Jerzego krzyż został wniesiony na teren huty i tam wkopany. Stowarzyszenie Historyczne „Solidarność” Huty „Warszawa” opublikowało historię tego krzyża:

W październiku 1991 r. Komisja Zakładowa NSZZ „S” podjęła decyzję o wykonaniu trwałej obudowy krzyża, a stalową konstrukcję wykonali hutnicy. Po 17 latach odnowiono obudowę i 31 sierpnia 2008 r. nowy dębowy krzyż złożony został na grobie ks. Jerzego, po czym został przewieziony do Huty i zastąpił na cokole krzyż z 1980 r. Decyzją hutników oryginalny krzyż z czasu Mszy odprawionej przez błogosławionego dziś

ks. Jerzego został w dzień jego imienin 23 kwietnia 2010 r. przekazany parafii św. Stanisława Kostki – i przeniesiony w procesji z Huty do kościoła.

Trzeba pamiętać, że towarzyszące strajkom msze św. zostały zainicjowane w Gdańsku i w Gdyni. Kiedy pisałam o tym reportaż, wspólnie z red. Markiem Krukowskim, jeszcze w 2013 r. ludzie doskonale pamiętali, jak to było. Według relacji świadków na pomysł odprawienia mszy św. w protestujących zakładach wpadł Bogdan Borusewicz, ówczesny działacz Wolnych Związków Zawodowych (WZZ) i pomysłodawca strajku w Stoczni Gdańskiej. Załatwienia sprawy podjęli się w sobotę 16 sierpnia śp. Anna Walentynowicz i Tadeusz Szczudłowski, budowniczy krzyża ku upamiętnieniu nadchodzącej rocznicy Grudnia '70. – W nocy z 16 na 17 sierpnia przyjechała do mnie delegacja ze stoczni – opowiadał nam Tadeusz Fiszbach, ówczesny pierwszy sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR, który w tamtych dniach zyskał opinię współtwórcy sierpniowego porozumienia.

W niedzielę 17 sierpnia o godz. 9 rozpoczęła się msza przed bramą nr 2. To była szczęśliwa lokalizacja. „Dzięki temu – wspominał w naszym reportażu Krzysztof Wyszowski – ta przestrzeń została »uwpólnotowiona«. Ludzie z obu stron bramy stali się jednością, nastąpiło symboliczne zjednoczenie strajkujących ze społeczeństwem. Z tego narodziła się Solidarność”.

Barbara Sułek-Kowalska

Szczudłowski i Mażul – dwa stoczniowe dęby

Tadeusz Szczudłowski i Henryk Mażul, dwie wyraziste postacie strajku w Stoczni Lenina w Sierpniu '80, powinny zasadniczo trafić do hasła „Akowcy”. Ale z racji swojej szczególnej roli w tamtym strajku należy im się hasło osobne.

Tadeusz Szczudłowski urodził się w 1933 r. we Lwowie. Jak opowiadał, w wieku 11 lat pełnił rolę łącznika między oddziałami Armii Krajowej w okolicach Lwowa w czasie operacji zajęcia tej stolicy wschodniej Małopolski w 1944 r., w ramach akcji „Burza”. Po wojnie trafił na Wybrzeże, gdzie w 1956 r. był inicjatorem buntu podchorążych w Wyższej Szkole Marynarki Wojennej w Gdyni. Jego niechęć do systemu powodowała, że w 1968 r. Marynarka Wojenna przeniosła go do rezerwy. W 1977 r. założył gdańskie biuro Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, a później związał się z Ruchem Młodej Polski. 3 maja 1980 r. w czasie nielegalnej demonstracji z okazji rocznicy Konstytucji 3 maja przemawiał pod pomnikiem Jana III Sobieskiego. Wraz z innym działaczem RMP Dariuszem Kobzdejem został zatrzymany po manifestacji i skazany na trzy miesiące aresztu. To w intencji zwolnienia Szczudłowskiego i Kobzdeja modlili się działacze opozycji i robotnicy w kościele Mariackim na stałych codziennych modlitwach. W sierpniu 1980 r. zwolniony z więzienia Szczudłowski natychmiast rozpoczął działanie na rzecz pomocy robotnikom. To on był jednym z inicjatorów mszy na terenie zakładu i to on przygotował razem ze stoczniowcami duży drewniany krzyż, który wbito w miejscu masakry stoczniowców w grudniu 1970 r.

Drugim człowiekiem, który uczestniczył w kresowej operacji „Burza”, był Henryk Mażul (ur. w 1923 r. w Kraszewie k. Wilna; zm. w maju 1995 r. w Gdańsku). W latach 1943–1944 był członkiem I Brygady „Juranda” w wileńskiej AK. Po otoczeniu jego oddziału przez NKWD w 1944 r. został wywieziony do obozu w Kałudze, w ZSRS. W 1946 r. wrócił do Polski, a od 1951 r. pracował w Stoczni Gdańskiej. Rosły, barczysty, był początkowo w ekipie ochrony stoczni, a potem został pierwszym ochroniarzem Lecha Wałęsy od momentu wybrania go na przewodniczącego MKS. Spychanie go na drugi plan przez Mieczysława Wachowskiego jawi się dziś z perspektywy czasu jako jeden z symptomów oddalania się lidera Solidarności od ludzi, dzięki którym Sierpień miał tak silny rys autentyczności.

Piotr Semka



Taczki, czyli wyrzucamy naczelnego

Pod hasłem „taczki” kryły się akcje pracowników, którzy zgodnie ze strajkowym programem „brali sprawy w swoje ręce” i żądali odwołania swoich szefów – partyjnych i niekompetentnych funkcjonariuszy usadowionych na ciepłych posadach przez PZPR. Biernych, miernych, ale wiernych w realizacji tak zwanej kierowniczej roli partii. Odwołanie, rzecz jasna, nie mogło być proste, stąd taczki do wywożenia dyrektorów za bramę!

W tygodniku studenckim „ITD” też panował zdrowy ferment, chęć odnowy i duch wolności. Była także Solidarność, choć istniała także komórka PZPR. Siedziała jednak na tyle cicho, że udało się niewielkiej grupie solidarnościowo-wyzwoleńczej (redakcja wielka nie była) doprowadzić do buntu wobec redaktora naczelnego – wyznaczonego oczywiście przez Wydział Prasy KC PZPR. Może litościwie będzie zamilczeć jego nazwisko, dość powiedzieć, że wypłynął potem w wolnej Polsce jako profesor dziennikarstwa (!!!) w uczelni na południu kraju.

Wybraliśmy naczelnego spośród siebie! Ba... ale jeszcze musiał być uznany przez – także partyjne – władze wydawnictwa MAW. Był piękny skwarny lipiec 1981 r., do obrad szykował się nadzwyczajny zjazd PZPR, w zrewoltowanym Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich panowało permanentne wrzenie, a my szukaliśmy sojuszników. Przyjrzał się nam Stefan Bratkowski, prezes SDP, i bodaj pół godziny poświęciła nam odpowiednia komisja partyjnego zjazdu.

A potem, we wrześniu, nasz wybrany nowy naczelnny – a był nim Zdzisław Pietrasik, przez lata krytyk filmowy tygodnika „Polityka” – wpadł do redakcji i powiedział: „Wiecie, chłopaki, jak to jest, oni tam k...a powiedzieli, że jak nie ustąpię zaraz z tej funkcji redaktora naczelnego, to nas rozwiążą! No to się zgodziłem ustąpić”. I tak to było z naszymi taczkami w „ITD”. A w Komitecie Centralnym PZPR już zapewne wiedzieli, że kiedy nastąpi „przywrócenie porządku” (jak nazwał zdławienie oporu czeski dysydent Milan Šimečka) i powyrzuca się nas z pracy, to „ich” prawomocnym naczelnym zostanie nie kto inny jak... Aleksander Kwaśniewski. Komunista, późniejszy lider postkomunistów i prezydent III RP.

Barbara Sułek-Kowalska

Teatr

To nie jest tak, że polski teatr musiał gonić za rewolucją Solidarności. Bo on w dużej mierze tę rewolucję przygotował i potem całkiem nieźle, choć czasami koślawo, jej towarzyszył. Nie chodzi tylko o elektryzujące spektakle Teatru Ósmego Dnia, które od połowy lat 70. pokazywały oblicze radykalnej młodej polskiej inteligencji i otwarcie wzywały do buntu, łącząc nowoczesny język z rebelianckim przekazem. Ale przecież także teatr repertuarowy przynosił widowiska przywołujące zakazaną, zapomnianą czy spychaną w nieświadomość tradycję: oglądane przeze mnie w czasie Warszawskich Spotkań wielogodzinne maratony Teatru Starego w reżyserii Andrzeja Wajdy („Z biegiem lat, z biegiem dni”, 1978) czy Jerzego Jarockiego („Sen o Bezgrzesznej”, 1979) na równi z fenomenalną wystawą plastyczną w krakowskim Muzeum Narodowym „Pola-ków portret własny” (kurator: Marek Rostworowski) były wyraźnym znakiem odradzania się narodowego ducha i kreowaniem wspólnotowego stylu odbioru. Rozpoczęta mszą w warszawskiej katedrze potężna demonstracja uliczna w 60 rocznicę odzyskania niepodległości łączyła mi się z oficjalnie wystawianymi spektaklami.

Występ teatru Wybrzeże 28 sierpnia 1980 r. na terenie strajkującej Stoczni Gdańskiej symbolicznie wskazywał więź między inteligencją twórczą a robotnikami. W czasie karnawału Solidarności krytycy narzekali, że teatr nie nadąża. Ale przecież próbował. Aktorzy wraz z innymi artystami włączali się w masowe widowiska i zdarzenia uliczne związane czy to z protestami, blokadami, czy z uroczystościami ku czci poległych w walce o wolność. Wołali o prawdę i sprawiedliwość także ze sceny.

„Oskarżony: Poznań 56” Izabelli Cywińskiej przynosił wstrząsające świadectwo o nieosądzonej komunistycznej zbrodni. A wielkie – i mimowolnie groteskowe – wystawienie dwóch polskich arcydramatów: „Dziadów” i „Kordiana” w katowickim Spodku, oglądane przez wiele tysięcy widzów, pokazywało głód masowej narodowej sztuki.

Niespecjalnie przekonująco wypadła prezentacja poezji drugiego obiegu w Teatrze Powszechnym, w widowisku zatytułowanym „Wszystkie spektakle zarezerwowane”. Nawiązując swym tytułem do zakazanego owocu, jakim byli „Robotnicy ’80” (zob. hasło: Wszystkie seanse zarezerwowane), stało w rozkroku między undergroundem a sztuką oficjalną: utwory wyjęte z buntowniczego kontekstu brzmiały trochę jak na wieczornicy pieśni partyzanckich, a program spektaklu stylizowany na bibułę dopełniał jeszcze pomieszania estetyk.

Ale przecież były spektakle zwiastujące coś nowego, jak choćby „Moskwa-Pietuszki” w adaptacji i reżyserii Jacka Zembrzuskiego, wystawiona przez Teatr NZS PWST ze Sławomirem Orzechowskim w roli Wieniczki. Studenci pokazali, że można oddolnie, samodzielnie. Wystawienie, zwieńczone „Epitafium dla Włodzimierza Wysockiego” w wykonaniu Jacka Kaczmarskiego, było świetną wskazówką dla rodzącego się już za kilka miesięcy niezależnego Teatru Domowego.

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

Dla mnie spektaklem z tamtego sezonu, który najbardziej wbił mi się w pamięć, był jednak wystawiony w Teatrze na Woli „Amadeusz”, w reżyserii Romana Polańskiego, z nim samym w roli tytułowej, zaś z Tadeuszem Łomnickim w roli Salieriego (premiera 23 czerwca 1981 r.). Rzecz zapewne z premedytacją niewymieniona w szczegółowym kalendarium Marty Fik „Kultura polska po Jałcie” była dla mnie widowiskiem niesamowitym, znaczącym na wielu poziomach: spotkaniem dwóch genialnych artystów o tak odmiennych biografjach, obsadzonych w wyrazistych rolach, w które wcielali się i nie wcielali zarazem, zagrywali się i mizdrzyli, wybuchając jakże różnym śmiechem nad swym losem, nad losem artysty, nad losem człowieka.

„Amadeusz” zaważył na moim wyborze życiowej drogi: na spektakl wróciłem prosto z Lublina, gdzie sondowałem możliwość przeniesienia na studia na KUL. No... ale w mojej rodzinnej Warszawie zobaczyłem coś, czego tam jednak nigdy bym nie obejrzał. Więc zostałem.

Andrzej Horubała

Tydzień Kultury Chrześcijańskiej

Cóż to była za opatrnościowa decyzja prymasa Wyszyńskiego, który zaakceptował pomysł ks. Tadeusza Uszyńskiego z warszawskiego kościoła św. Anny organizowania Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej, i to już od 1975 r. Pomysł organizowania niezależnych od komunistycznego państwa imprez kulturalnych szybko rozszedł się na całą Polskę, bo wpisywał się w odwieczną tradycję, że to w Kościele narodowa kultura może się w trudnych czasach nie tylko przechować, ale i rozwijać. Toteż kiedy wybuchła Solidarność, grunt pod wielką promocję niezależnej kultury był już przygotowany. Pełną parą działało też, nie tylko w Warszawie, Duszpasterstwo Środowisk Twórczych, które było niejako cichą przystanią i zarazem inkubatorem dla artystów i ich pomysłów.

Z Tygodni Kultury Chrześcijańskiej wyrosły spektakle teatralne i specjalne projekcje filmów, odczyty historyczne (miały one zawsze wielkie wzięcie, bo naród był spragniony prawdziwej, niezafałszowanej historii), koncerty piosenek nie tylko religijnych, wystawy sztuki. Dziś opisuje się głównie niezależną kulturę lat stanu wojennego, a przecież było jej, gdyby nie dokonania karnawału Solidarności. Sławne Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej we Wrocławiu gromadziły takie tłumy, że – jak można dziś przeczytać w dokumentach IPN – esbecy nie nadążali z ich raportowaniem!

Pisarze, poeci, historycy jeździli po całym kraju, bo Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej trafiały pod strzechy – do Nowej Huty czy Stalowej Woli na przykład. Kiedy piszę te słowa, media informują o śmierci Piotra Szczepanika, nie tylko wykonawcy szlagierów, ale też organizatora, wspólnie z Solidarnością, Festiwalu Piosenki Prawdziwej w 1981 r. W wielu komisjach zakładowych działały też podkomisje ds. kultury. Organizowały seanse filmowe, odczyty i rozprowadzały książki i czasopisma niezależne. To dzięki nim naród dowiadywał się o Katyniu i wojnie polsko-bolszewickiej oraz napaści sowieckiej na Polskę w 1939 r. Choć dziś małe niewyraźne literki z powielacza są już niemal nieczytelne, wciąż z pietyzmem przechowują wydane wtedy „Na probostwie w Wyszkowie” Stefana Żeromskiego i wiersze Czesława Miłosza z... autografem.

Barbara Sułek-Kowalska

„Tygodnik Solidarność”

Mieszkałem wtedy przy ul. Bruna, więc redakcja „Tygodnika Solidarność”, mieszcząca się w baraku przy ul. Batorego, była naprawdę po sąsiedzku. Ale zupełnie mnie nie ciągnęło do pobliskiej kawiarni Zielona Gęś, gdzie w kłębach papierosowego dymu redaktorzy tygodnika snuli niekończące się dyskusje. Nie dlatego, że nie paliłem, bo paliliśmy wtedy wszyscy. Po prostu nie byłem ciekaw. Czułem, że życie, spór, inspiracja są gdzie indziej.

„Tygodnik Solidarność”, startujący pod wodzą Tadeusza Mazowieckiego w kwietniu 1981 r., tuż po kryzysie bydgoskim i odwołaniu strajku generalnego, to była rzecz wymęczona w trakcie długich negocjacji z władzą. Ludzie traktowali to pismo – wielkie płachty grubego papieru z czerwonym napisem „Solidarność” uczynionym wiadomym liternictwem – jak relikwię i odkładali sobie kolejne numery, nie wyrzucając ich po przeczytaniu, a czasami nawet bez czytania. Pewnie do teraz w piwnicach lub pawlaczach w wielu domach można odnaleźć pozostałości egzemplarzy tygodnika. Wiadomo: wszyscy mieli poczucie nietrwałości, tymczasowości tego cudu.

Oczywiście samo zaistnienie pisma miało wielkie znaczenie: wdzieranie się z Solidarnością w oficjalny obieg było sankcjonowaniem naszego istnienia. No i niezwykle ważne były spory z cenzurą: od wywiadu Barbary Łopieńskiej z anonimowym cenzorem po sądowe spory o poszczególne teksty – to już po uchwaleniu stosownej ustawy. Przepyszne jest dla dzisiejszego czytelnika na przykład uzasadnienie wstrzymania publikacji obszernego artykułu Krzysztofa Czabańskiego pt. „Przywileje” na podstawie art. 2, pkt 2 i 6 ustawy o kontroli publikacji i widowisk: „ponieważ publikacja jest formą psychologicznego oddziaływania na czytelników w celu wywołania w ich umysłach postanowienia popełnienia czynów zmierzających do obalenia konstytucyjnego ustroju PRL”.

Tak do końca nie wiadomo, czym miał być „Tygodnik Solidarność”. Ni to oficjalny organ związku, który starał się prezentować stanowisko do negocjacji z władzami; ni to pismo opozycyjnej inteligencji, która próbowała wytyczać kierunki zmian i sygnalizować stan poszczególnych dziedzin społecznego życia (edukacja, służba zdrowia, mniejszości narodowe, więziennictwo); ni to pismo nadrabiające braki społecznej edukacji (działy historyczne, autoprezentacja przedsiernpniowej opozycji demokratycznej). Nie ujawniano ostrych podziałów w Związku, wyciszano antykomunistyczne oblicze całego wielkiego ruchu, odmieniając wciąż słowo „odnowa” i „porozumienie”, trzymano stronę Lecha, a w gruncie rzeczy ekspertów stojących przy Mazowieckim.

Owszem, rejestrował tygodnik wielkie wydarzenia i wstrząsy roku 1981, skrupulatnie relacjonował pierwszy zjazd Solidarności, będący wielkim świętem demokratycznej, rozdiskutowanej Polski, ale jednak czynił to w sposób mało dynamiczny i trudno powiedzieć, że istniał tu i rodził się nowy język.

Do dzisiaj, co prawda, radują w tygodniku bezczelne rysunki Andrzeja Krauzego i intrygują teksty Krzysztofa Kłopotowskiego, prowokującego krytycznymi opiniami o „Człowieku z żelaza” Wajdy, ale przecież nowy styl komunikacji i nowy język rozkwitał raczej w gazetkach zakładowych i pisemkach regionalnych. W siedzibie Regionu Mazowsze przy Mokotowskiej na przykład Agnieszka, moja przyszła żona, siedziała przy stoliczku z „Wiadomościami Dnia”, a ktoś obok kolportował konkurencyjną „Niezależność”. Popołudniami zachodziłem po Agnieszkę i szliśmy razem na plac Zbawiciela na ersatz hot doga: wydrążoną bułkę, do której wciskano pieczarkowy farsz z cebulą.

Andrzej Horubała

„Tysol”, czyli „Tygodnik Solidarność”

Wielka płachta z koloru miała tylko czerwień w nadrukowanym solidarycznym tytule pisma. Poza tym tygodnik był czarno-biały, jak zresztą wszystkie wtedy pisma wydawane na gazetowym papierze. Pierwszy numer ukazał się z datą 3 kwietnia 1981 r. i kosztował 7 zł. Niewielkie zapowiedzi na pierwszej stronie obiecywały głośne wtedy nazwiska: Tadeusz Mazowiecki, Kazimierz Dziewanowski, Bohdan Cywiński, Waldemar Kuczyński. Ale najważniejsze na pierwszej stronie były – choć czarno-białe, a nawet szarawe z przyczyn technicznych – trzy gdańskie krzyże, pomnik Poległych Stoczniovców 1970 zbudowany niemal natychmiast po Porozumieniach Sierpniowych, bo odsłonięty już 16 grudnia 1980 r. W tym samym czasie w Komitecie Centralnym partyjni decydenci i urzędnicy dyskutowali, czy dać wreszcie Solidarności zgodę na własny organ prasowy. Ale po co partyjna zgoda? Czy nie można było wydawać bez tego? Można, były już wydawane nielegalnie, w konspiracji, pisma drugiego obiegu, czyli bez zgody cenzury, ale wtedy „Tygodnik Solidarność” nie mógłby być pismem rozprowadzonym w kioskach w całym kraju i prenumerowanym z dostawą do domu. Wręcz przeciwnie, byłby pismem zakazanym! I nie mógłby korzystać z przydziałowych dostaw papieru (tak, tak – drukowanie czegokolwiek bez odpowiedniej zgody nie było takie proste, podejrzany był klient kupujący kilka ryz papieru naraz, o ile to w ogóle było możliwe).

Po długich naciskach, targach, podstępach i rozmowach zgoda została wydana 23 grudnia 1980 r. Gazeta na 16 stron, nakład w wysokości 500 tys. egz. plus wszystkie inne warunki obowiązujące w prasie, czyli przede wszystkim cenzura. I to ona, czyli Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, oficjalnie tę zgodę 10 lutego 1981 r. firmowała. Ale potrzebny był jeszcze lokal – na samym początku redakcja pracowała w pokojach Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” Politechniki Warszawskiej – i drukarnia.

Pierwszym naczelnym został Tadeusz Mazowiecki, lat 54, uczestnik środowisk opozycyjnych, ekspert i doradca strajkujących w stoczni, były poseł z reglamentowanej przez władze listy katolików, redaktor naczelny miesięcznika „Więź”. I to on poprowadził tygodnik przez pierwsze miesiące, aż do 13 grudnia 1981 r. Jego pierwszym zastępcą został Bohdan Cywiński, redaktor naczelny miesięcznika „Znak”, uczestnik debat z krakowskim biskupem Karolem Wojtyłą, wykładowca opozycyjnego Uniwersytetu Łatającego, ekspert Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Gdańsku. Dziesięć lat wcześniej – jako młody, wtedy 29-letni autor – opublikował książkę „Rodowody niepokornych”, obowiązkową lekturę wszystkich, którzy chcieli stawać się świadomymi uczestnikami niezależnego życia politycznego w latach 70.

Mazowiecki dobierał ludzi powoli i precyzyjnie, nie zgodził się na przykład na grupowe przejście do tygodnika dziennikarzy z „Biuletynu Informacyjnego KSS »KOR«”. Pojawili się za to m.in. Krzysztof Wyszkowski, Mateusz Wyrwich i Maciej Zięba, który nagle

potem „zniknął”, by wstąpić do zakonu dominikanów. Niekwestionowaną gwiazdą publicystyki i gejerem pomysłów była Teresa Kuczyńska, wcześniej w latach 1960–1973 współtwórczyni wyjątkowego jak na PRL miesięcznika „Ty i Ja”, elitarnego w najlepszym znaczeniu tego słowa – dziś powiedzielibyśmy, że kultowego – z wybitną grafiką, przekładami światowej literatury, modą. Chwilami trudnego do strawienia dla władzy.

Zapewne także dzięki jej obecności środowisko dziennikarskie mogło sobie wyobrazić, że „Tygodnik Solidarność” będzie ucieleśnieniem marzeń o wolnej i niezależnej prasie. A to przecież nie było możliwe. Cenzura w tygodniku działała tak jak dawniej, tylko może na chwilę założyła aksamitne rękawiczki. To wystarczyło, aby cały nakład był rozchwytywany przez czytelników dosłownie w jednej chwili.

PS Ciekawe, czy da się jeszcze ustalić, kiedy wymarzony i wywalczony tygodnik zaczęto nazywać „Tysolem”? Ten skrót przyjął się jednak nadzwyczajnie szybko i wyparł elegancko brzmiący „Tygodnik Solidarność”.

Barbara Sułek-Kowalska

W

Anna Walentynowicz

Jeśli ktoś ocenia intencje i motywacje ludzi w polityce, nie powinien wyłącznie brać pod lupę okresu bezpośredniego udziału w ważnych wydarzeniach. Bardzo często potwierdzeniem przypisywanych komuś cech z okresu politycznej sławy jest zachowanie się już na politycznej emeryturze. W tym sensie nawet najwięksi przeciwnicy Anny Walentynowicz musieli przyznać, że do końca swoich dni kierowała się potrzebą pomocy ludziom ubogim i słabym. Przez jej skromne mieszkanie w Gdańsku-Wrzeszczu przeżywały się osoby, które zwracały się do niej jak do ostatniej instancji z prośbą o pomoc, bo nie radzili sobie w życiu. Anna Walentynowicz lubiła opowiadać, jak w końcu lat 60., po wyleczeniu nowotworu, powiedziała sobie, że Bóg podarował jej nowe życie. I tego życia nie chciała zmarnować na coś błahego. Wcześniej, już w latach 60., działała w Lidze Kobiet, doskonale znała tę ciężką i niebezpieczną pracę, w której stocznia nie oszczędzała kobiet. Wtedy, w latach 60., pogarda dla robotnika przejawiała się w wielu drobnych sprawach. Pani Anna opowiadała mi kiedyś, jak robotnicy z jej brygady nie byli w stanie zdążyć do oddalonej od ich miejsca pracy stołówki. Mieli do wyboru: albo obejść się bez ciepłego obiadu, albo udać się do odległej stołówki za cenę spóźnienia, za które majster walił po kieszeni. Trzeba było wielkiej awantury, w której Annę Walentynowicz straszono kłopotami, żeby doprowadzić do prostego w sumie rozwiązania – przyjazdu stocznioowego wózka akumulatorowego z garem ciepłej zupy do odległego zakątka stoczni, gdzie pracowały jej koleżanki. Równie znacząca i typowa dla tamtych czasów była afera, za którą po raz pierwszy próbowano wyrzucić ją z pracy. Po prostu zaprotestowała przeciw defraudacji pieniędzy z funduszu zapomogowego, nad którym trzymali kuratelę cwaniacy z partyjną legitymacją w kieszeni. W grudniu 1970 r. nie pchała się na czoło, po prostu smarowała strajkującym pajdy chleba ze smalcem. Wybrana na delegatkę na spotkanie z I sekretarzem PZPR Edwardem Gierkiem nie wysuwała się na czoło. Ale osiem lat później była już osobą niezwykle świadomą politycznie. Pomimo ryzyka represji wstąpiła do nielegalnych Wolnych Związków Zawodowych. Wiedziała, że związki zawodowe to absolutne minimum tego, czego należy żądać w razie kolejnego strajku w stoczni. W jej obronie gdańscy stocznioowcy inicjowali strajki w sierpniu 1980 r. i z jej udziałem toczyły się rozmowy z władzą. Jej podpis widnieje pod Porozumieniami Sierpniowymi.

Była przeciwstawieniem tego wszystkiego, co w Wałęsie było duszą politycznego gracza, który gra ludźmi i lawiruje między politycznymi możliwościami. To na tle Wałęsy jej bezkompromisowość zyskiwała tak wielu zwolenników. Ostatnimi laty pojawiła się kwestia, w jakim stopniu na jej świadomości ważyły ukraińskie korzenie. Część jej zwolenników nie chciała zauważyć, że miała pięcioro rodzeństwa, z których jeden związany był z UPA. Rodziło to na Ukrainie tendencje do postrzegania jej jako ukraińsko-polskiej bohaterki. Bardzo trudno w takich sprawach wydawać oceny, ale trzeba

pamiętać, że opuściła ona Wołyń w wieku 12 lat. Pod koniec życia nawiązała kontakt ze swoim rodzeństwem, ale trudno uznawać ją za kogoś, kto wrócił do ukraińskiej świadomości narodowej. Niedawno przed polską ambasadą w Kijowie odsłonięto jej piersie. Jej grób na gdańskim cmentarzu Srebrzysko można łatwo rozpoznać przez cały rok z powodu wielkiej liczby zniczy od ludzi, którzy uważają ją za wcielenie czystości ideału Solidarności. Jej śmierć w katastrofie smoleńskiej wielu wydaje się naturalnym zwieńczeniem życia tak bardzo nastawionego na innych, a w tak małym stopniu skupionego na własnych potrzebach. I jeszcze jedno. Gdy po 2000 r. pojawiły się kontrowersje wokół Lecha Wałęsy, jego zwolennicy neurotycznie reagowali na każdą wystawę o Solidarności, podejrzewając, że słynnego Lecha ktoś chce z historii Solidarności wygumkować. W latach 1992–2006 Anna Walentynowicz i małżeństwo Gwiazdów byli wygumkowani bardzo skutecznie. Gdy 3 maja 2006 r. „Anna Solidarność” została odznaczona Orderem Orła Białego przez prezydenta Kaczyńskiego, wiele osób miało poczucie, że została naprawiona jakaś wielka niesprawiedliwość.

Piotr Semka

Lech Wałęsa

Pisanie dzisiaj o liderze Solidarności w kontekście karnawału lat 1980–1981 jest niezwykle trudne. Inny obraz Wałęsy ma pokolenie 60-latków, które zachwycało się ludowym trybunem 40 lat temu, inne spojrzenie na najślynniejszego elektryka ma generacja, która mogła przyglądać się jego nieudanej prezydenturze z lat 1990–1995. Jeszcze inny pogląd może mieć młode pokolenie, które mogło zapamiętać Wałęsę z telewizyjnych migawek jako dość ekscentrycznego, siwego jak gołąb politycznego emeryta, który co chwila zaskakuje nieoczekiwanymi wypowiedziami. Gdy jakiś czas temu pisałem biografię Lecha Wałęsy, uznałem, że narrację trzeba zacząć od Sierpnia '80 i strajku w Stoczni Gdańskiej. Użyję ryzykownego porównania, ale Wałęsa objawił się wówczas gdańszczanom jako ktoś, kto niemal spadł z nieba. Zobaczyli lidera, który doskonale potrafił znaleźć odpowiedni język dla robotników, a jednocześnie poruszać sprawy ważne dla milionów Polaków. Kogoś, kto potrafił zaskakiwać władzę zdolnością do przejmowania inicjatywy w czasie rozmów. Nigdy nie zapomnę opowieści Bronisława Wildsteina, działacza opozycyjnego z Krakowa, który przedostał się do stoczni i razem z kolegami z Ruchu Młodej Polski bezszmerowo, niemal na paluszkach, wszedł do sali, gdzie toczyły się negocjacje z przedstawicielami dyrekcji. Inteligencja opozycjoniści obawiali się wówczas, że ich pomoc dla strajkujących może zostać propagandowo wykorzystana przez władze PRL do zakwestionowania robotniczego charakteru protestu. Ale z chwilą, gdy pojawiają się w drzwiach, Wałęsa odwraca się do nich i tubalnym głosem obwieszcza na całą salę: „Właśnie weszli ludzie, którzy za swoją działalność zapłacili więzieniem. Proszę wstać, musimy ich przywitać”. Nie mija sekunda, a zaskoczeni czerwoni dygnitarze posłusznie wstają, podczas gdy wszyscy robotnicy na sali klaszczą. To dobry przykład tego, jak Wałęsa potrafił w kilka sekund odwrócić hierarchię ważności. To opozycjoniści są godni najwyższego szacunku, a partyjni – chcąc nie chcąc – klaszczą ludziom, których kilka lat wcześniej nazwaliby ideologicznymi sabotażystami. W innym momencie negocjacji, gdy przedstawiciel strony rządowej przypomniał Wałęsie, że poprzedniego dnia porzucił jedno z żądań – Wałęsa błyskawicznie ripostuje: „Co z tego, że wczoraj z tego postulatu zeszedłem? Wczoraj byłem najedzony – dziś jestem głodny”. Wałęsa znów celnym zdaniem potrafił przypomnieć władzy, że z każdym dniem to strajkujący zyskiwali siłę, a władza słabła. Wałęsa był więc człowiekiem, o którym można górnolotnie powiedzieć, że być może zesłała go Polakom Opatrzność. Ale nie jest to podkreślenie jakichś wyjątkowych cech moralnych Wałęsy, tylko stwierdzenie faktu, że były stoczniowiec był na tamte czasy i na tamtą sytuację idealnym liderem rewolucji solidarnościowej. W oczach Polaków pełnił tę rolę aż do 1990 r., kiedy został prezydentem. Pytanie, które musi się nasuwać każdemu historykowi analizującemu okres 1980–1981, brzmi: Jak władza mogła wykorzystać fakt współpracy Wałęsy z SB w latach 1970–1976? I tu musimy próbować snuć rozmaite

hipotezy. Najbardziej prawdopodobna to równoległe egzystowanie trzech wcieleń Wałęsy. Pierwsze to trybun ludowy, który autentycznie chce jakiegoś *modus vivendi* między dążeniami wolnościowymi narodu i robotników w celu poszerzenia obszaru wolności, ale i wyprowadzenia Polski z kryzysu gospodarczego. Drugie wcielenie Wałęsy to polityczny gracz o ogromnym potencjale ambicji. Wałęsa w tym wcieleniu stara się, by Solidarność zwyciężyła, ale dlatego, że to on stoi na jej czele. Szybko orientuje się, że rola wybrańca narodu podbija jego osobiste znaczenie oraz także jego status poziomu życia. Wszyscy pamiętają, że Wałęsa kilka dni po zwycięstwie strajku w stoczni otrzymał duże mieszkanie na Zaspie dla swojej wielodzietnej rodziny. Ale w tym wcieleniu Wałęsa musi też walczyć o przetrwanie na mostku kapitańskim, atakowany przez rywali, takich jak Marian Jurczyk, Jan Rulewski czy Andrzej Gwiazda. Z drugiej strony obawia się on, że część opozycjonistów, szczególnie z lewicy KOR-owskiej, chciałaby z niego uczynić narzędzie swojej wizji lewicowej rewolucji. Trzecie wcielenie Wałęsy to uosobienie sprytu i zdrowego rozsądku, któremu odpowiada posiadanie osobnego kanału komunikacji z władzą – jak się zdaje – poprzez Mieczysława Wachowskiego. Tym kanałem Wałęsa wysyła do władzy sygnały, że jest najmniejszym złem i że wokół niego aż roi się od zapaleńców i wariatów, którzy pod wpływem swojego radykalizmu mogą wywalić solidarnościowy wehikuł do rowu. Wszystkie te wcielenia mieszały się z sobą w rozmaitych proporcjach. Raz Wałęsa doprowadzał władze do szału, a innym razem jawił się jako element rozładowania kryzysów. W końcu decyzja o stanie wojennym spowodowała, że przestał liczyć się w kalkulacjach władzy. Po siłowym rozwiązaniu 13 grudnia planowano z niego zrobić już marionetkę, która firmowałaby nowe związki na gruzach Solidarności. Wałęsa to przejrzał i znając swoją wartość, po prostu przeczekał ten w sumie lekceważący dla niego plan władzy. Ale znowu podejmując tę decyzję, wpisywał się zarówno w nastroje społeczne jako ktoś, kto nie pękł, nie poszedł na współpracę z władzą, jak i dbał o swoją pozycję, wiedząc, że pół świata uważa go za legendę polskiej rewolucji.

Piotr Semka

Wniosek formalny

Mówiąc najprościej, w karnawale Solidarności wniosek formalny był tym, czym w I Rzeczypospolitej było *liberum veto*, tylko zupełnie na odwrót. Musimy pamiętać, że w czasach komuny Polacy nie mówili publicznie. Było to po prostu niewskazane. Niezabieranie głosu publicznie było elementem peerelowskiej kindersztuby. Ludzie inteligentni ukrywali swoją inteligencję, ludzie z inicjatywą zachowywali spokój w domowym zaciszu. W cenzurowanych, państwowych mediach występowali wyłącznie ludzie wywodzący się z peerelowskiej elity – wyselekcjonowani artyści, sportowcy i uczeni. Wszystkie media należały do państwa, nie wolno było się gromadzić, terminy ewentualnych zebrań wyznaczała władza. Na przymusowych masówkach i nasiadówkach wyznaczeni z góry mówcy mówili, bywało, że godzinami. Nie trzeba dodawać, że mówili kompletnie bez sensu. Lali wodę, owijali w bawełnę, ściemniali i zanudzali. Używali potwornej, partyjnej nowomowy. Nikt z nich nie mówił słowa prawdy. Zwykli Polacy milczeli, wolne słowo nie istniało.

Po Sierpniu '80 i powstaniu NSZZ „Solidarność”, wraz z pakietem składającym się z Niezależnego Zrzeszenia Studentów, Solidarności Rolniczej i Solidarności Rzemiosła – tamy, jak mówi poeta, puścili. Ludzie zaczęli mówić, zbierać się, gromadzić. Zaczęły się rozmowy z nieznanymi na ulicach, na przystankach, w tramwajach, a przede wszystkim we wszechobecnych kolejkach po wszystko. Przede wszystkim zaczęto mówić na zebraniach związkowych, samorządowych i wszystkich innych. Po kilkudziesięciu latach rządów „menedżerów” i „fachowców” z PZPR kraj wymagał pilnej naprawy, wręcz reanimacji.

Sposoby tej kuracji wymagały omówienia. I ludzie mówili. W całej Polsce trwała gigantyczna narada. Mówili dla odmiany wszyscy. Przeważały rzeczy sensowne, ale niestety – pojawiało się też zwykłe bicie piany. Wielu z nas przeżyło wówczas niespodziany przypływ zdolności krasomówczych, wręcz oratorskich. Inni odkrywali w sobie talenty gawędziarskie. Ulubionymi tematami gawędziarzy były cierpienia własne i rodziny oraz głupota władzy. Oba tematy niewyczerpane niczym ocean. Ogólnie było miło, lubiliśmy się nawzajem, ale bicie piany groziło zagadaniem naszego powstania narodowego. W czasie takiego zebrania, kiedy kolejny Katon grzmiał z mównicy, a w notesie prowadzącego zapisane były nazwiska kolejnych kilkunastu potencjalnych Cyceronów i rzeczywistych mantyków, jedynym ratunkiem było zgłoszenie wniosku formalnego.

Prowadzący zebranie mieli zazwyczaj na sali kilka osób gotowych w odpowiedniej chwili podnieść rękę do góry i zgłosić wniosek formalny. Dobrzy zgłaszacze wniosków byli wówczas w cenie. Myk z wnioskiem formalnym polegał na tym, że można go było zgłosić poza wszelką kolejnością. Zgłaszacz podnosił rękę i prowadzący udzielał mu głosu. Znużone oczy wszystkich obecnych kierowały się na zgłaszacza z nadzieją. Po kilku godzinach zapal zebranych do słuchania opowieści o tym, co boli, był już

wystarczająco osłabiony. Można było spokojnie proponować na przykład ograniczenie czasu wypowiedzi. Nawet do czterech minut i to bez możliwości ponownego dorwania się do mikrofonu. Po przyjęciu takiego wniosku dyskusja stawała się żywa, konkludująca, zebrani przypominali sobie, po co jemy tę żabę oraz że czas to pieniądz. Dlatego rola wniosku formalnego w najnowszej historii Polski jest nie do przecenienia.

Wojciech Tomczyk

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

Wszystkie seanse zarezerwowane

Po raz pierwszy tytuł ten pojawił się w 1977 r., po premierze „Człowieka z marmuru”. W repertuarze kin, publikowanym wówczas w warszawskich dziennikach „Ekspresie Wieczornym” i „Życiu Warszawy”, tak oznaczano kina, w których grano film Wajdy. Film dopuszczono na ekrany, najpierw w kinie Wars, a potem w kolejnych dwóch kinach. Ale jego tytuł nie mógł pojawić się w prasie.

W listopadzie 1980 r., już po zwycięskim sierpniowym strajku, wszedł na ekrany film dokumentalny Andrzeja Chodakowskiego i Andrzeja Zajączkowskiego pod tytułem „Robotnicy '80”. Dokumentalny zapis strajków sierpniowych oficjalnie nie został dopuszczony przez cenzurę na ekrany kin. Został dopuszczony wyłącznie do użytku wewnętrznego NSZZ „Solidarność”. Jakby był jakimś wewnętrznym biuletynem. Film miał być pokazywany członkom Solidarności na zamkniętych pokazach. Kina były wynajmowane przez Związek. Ponieważ do Solidarności należało 10 milionów ludzi, film został im wszystkim pokazany. Przy okazji film obejrzała także większość pozostałych Polaków.

Niejako dla podtrzymania stworzonej przez cenzurę prawdziwej „nowej tradycji” Teatr Powszechny w Warszawie zatytułował swoją nową premierę – „Wszystkie spektakle zarezerwowane”. Oczywiście spektakl szedł kompletami aż do wprowadzenia przez Jaruzelskiego stanu wojennego.

Nie, to nie pomyłka – czarno-biały film dokumentalny obejrzały w kinach miliony ludzi. W teatrze ludzie na stojąco słuchali poezji współczesnej. Tak, to był inny świat, dziś nie do wyobrażenia.

Wojciech Tomczyk

Wydarzenia bydgoskie

Nie istnieją żadne przesłanki, abyśmy mogli przypuszczać, że komuniści już w latach 1980–1981 brali pod uwagę na przykład wariant uwłaszczenia się na majątku narodowym oraz podzielenia się z kimkolwiek władzą. Podzielenia się, co oczywiste, z zachowaniem przez czerwonych kontroli nad strategicznymi i istotnymi sektorami państwa. Te sektory to, przypomnę dla porządku, bankowość, bezpieczeństwo, wojsko, milicja, media, sądownictwo. Do takiej przemiany komuniści jeszcze wówczas nie dojrzeliby. Dodatkowo istnienie 10-milionowej Solidarności uniemożliwiałoby wprowadzanie podobnych pomysłów w życie. Wydaje się, że w latach 1980–1981 jedynym rozważanym przez polskich ludzi Moskwy rozwiązaniem problemu Sowietów z Polakami było rozwiązanie siłowe. Pacyfikacja dążeń wolnościowych milionów Polek i Polaków.

Polscy komuniści nie otrzymywali z Moskwy poleceń typu: „Wiedziecie, rozumiecie, dogadajcie się z hołotą” czy „Zdemokratyzujcie kraj”. Polecenia były jasne – zdławić, zniszczyć, żeby było tak, jak było. Oczywiście pomysł, że kierownictwo PZPR prowadziło jakąkolwiek samodzielną politykę w jakiegokolwiek sprawie, jest hipotezą całkowicie nieuprawnioną. Podobnie nieuprawnione jest insynuowanie tym ludziom przekonania o wolnościowych czy przywiązaniu do demokracji, a nawet szacunku dla praw człowieka. Imputowanie podobnych przekonań komukolwiek z ówczesnego obozu władzy jest dla niego właściwie obraźliwe. W swoim pojęciu ONI mieli rację – historyczną, moralną i każdą inną. Tworzyli Nowy Wspaniały Świat. Najmniej inteligentni z nich wyznawali publicznie, że budują Raj na Ziemi. Nie od rzeczy będzie też przypomnieć, że ludzie ci wszystko zawdzięczali władzy ludowej. Kochali PRL, a ona odpłacała im niedostępnymi dla innych dobrami materialnymi, pozycją społeczną, życiem na poziomie, o jakim inni mogli tylko marzyć, oraz władzą.

Jedynym pomysłem, jaki miała Polska Zjednoczona Partia Robotnicza na Solidarność, było zniszczenie tej drugiej. W komunie nie było miejsca dla żadnych niezależnych organizacji. Między innymi dlatego już 16 sierpnia 1980 r. MSW powołało Sztab Operacji „Lato”, który miał przygotować pacyfikację strajkującej od dwóch dni Stoczni Gdańskiej i innych zakładów. 29 sierpnia, kilkadziesiąt godzin przed podpisaniem Porozumień Sierpniowych, Biuro Polityczne KC PZPR rozważało możliwość wprowadzenia stanu wyjątkowego. W październiku 1980 r. zaczęto spisywać listy osób przeznaczonych do izolacji. W listopadzie 1980 r. akty prawne stanu wojennego były gotowe. Poinformował o tym Biuro Polityczne gen. Jaruzelski.

11 lutego 1981 r. Jaruzelski został prezesem Rady Ministrów PRL. Wygłosił wówczas przemówienie, w którym zawarł słowa: „Zwracam się w tym momencie o trzy pracowite miesiące – 90 spokojnych dni”. Jaruzelski zapomniał dodać, że on i kierowane przez niego państwo zrobią wszystko, co w ich mocy, aby zmusić Solidarność do gwałtownej reakcji i spektakularnego zakłócenia owych 90 spokojnych dni, które nowemu

A
B
C
D
E
F
G
H
I
J
K
L
Ł
M
N
O
P
R
S
T
U
W
Y
Z
Ź

premierowi należą się przecież jak psu kość. Cztery dni później przeprowadzono grę sztabową, sprawdzającą gotowość organów administracji do wprowadzenia stanu wojennego. Dwa tygodnie później zatwierdzono listę więźni, w których zostaną osadzeni działacze Solidarności, opozycji demokratycznej i niepodległościowej. Przygotowano 13,6 tys. miejsc.

Wreszcie 19 marca 1981 r. w budynku Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszcy ok. 200 milicjantów pobiło grupę ok. 30 kobiet i mężczyzn, działacze Solidarności i Solidarności Rolników Indywidualnych. Trzech działaczy – Jana Rulewskiego, Michała Bartoszcze i Mariusza Łabentowicza przewieziono do szpitala. Solidarność w odpowiedzi na bandycką akcję władz przeprowadziła 27 marca ogólnopolski 4-godzinny strajk ostrzegawczy. Kolejnym krokiem miał być ogólnopolski, bezterminowy strajk generalny. Początek strajku wyznaczono na 31 marca. Następnie, w wyniku rozmów przewodniczącego Lecha Wałęsy z wicepremierem Rakowskim, 30 marca podpisano porozumienie, strajk generalny został zawieszony. Wałęsa podjął decyzję o zawieszeniu strajku samodzielnie, stanowisko kierownictwa Solidarności było inne. Kilkadziesiąt minut po wydarzeniach bydgoskich pojawiło się określenie, że była to „prowokacja”. Kilkanaście dni później Komisja Krajowa Związku po zawarciu porozumienia wydała oświadczenie, w którym zawarte jest zdanie: „Akcja, jaka miała miejsce 19 marca 81 r. w Bydgoszcy, jest oczywistą prowokacją wymierzoną w rząd generała Jaruzelskiego”.

Do tej pory, przez 40 lat, nie znaleziono żadnych dowodów na poparcie tezy o prowokacji. Dlatego zapewne w oświadczeniu znalazło się określenie „oczywista prowokacja”. Rzeczy oczywiste nie wymagają dowodów. Wiele wskazuje na to, że nie mogło być mowy o żadnej prowokacji, zwłaszcza wymierzonej w Jaruzelskiego. Przeciwnie, decyzja o pobiciu, tym razem nie przez tzw. nieznanych sprawców, ale przez mundurowych milicjantów, przewodniczącego regionu Solidarności i innych działaczy musiała być podjęta na najwyższym szczeblu. I według ustaleń historyków najprawdopodobniej była. Oświadczenie Komisji Krajowej można w tej sytuacji uznać za niebezpieczny precedens – oto Solidarność wpisuje się w komunistyczny system kłamstwa i propagandy. Buduje pozytywną legendę swego przyszłego zabójcy.

Można też spojrzeć na to inaczej – jako na próbę rozbicia jedności komunistycznego aparatu. Tworząc legendę „betonu partyjnego”, „twardogłowych” knujących przeciw „dobremu” Jaruzelskiemu, ludzie Solidarności chcieli wywołać procesy tektoniczne w aparacie władzy, sprowokować konflikty. To się nie udało. Grupa trzymająca władzę utrzymała ją przez dekadę. Nie zniknęli nawet po upadku komunizmu. Szef tej grupy został pierwszym prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej.

Winnych wydarzeń bydgoskich nigdy nie wykryto, prawie nikt też nie został za te wydarzenia ukarany. Prawie, bo Roman Bąk, ówczesny wojewoda bydgoski, został odwołany i wysłany na placówkę do Sofii. Historia kolejnych miesięcy pokazała, że nie mieliśmy do czynienia z prowokacją, a raczej z „rozpoznaniem bojem”. Mam na myśli próbny atak na przeciwnika w celu poznania jego mocnych i słabych stron. To się Jaruzelskiemu udało. W gratisie otrzymał zaczątek własnej „białej legendy”. Kolejną

zdobyczą władzy było pokazanie w telewizji filmowego zapisu masakry w gmachu Wojewódzkiej Rady Narodowej. Obrazy bicia, krzyki kobiet i mężczyzn zrobiły wrażenie, jakie miały zrobić. Po wprowadzeniu stanu wojennego wiedzieliśmy już, czego mamy się spodziewać, z jaką bezwzględnością będziemy mieć do czynienia.

Wojciech Tomczyk

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

Krzysztof Wyszkowski

Na jednym ze zdjęć z podpisania Porozumienia Gdańskiego w słynnej Sali BHP 31 sierpnia 1980 r. za długim stołem, przy którym siedzą przedstawiciele strajkujących i rządu, w tle widać postać wysokiego, szczupłego mężczyzny w białej koszulce z napisem: Solidarność. To Krzysztof Wyszkowski, jeden z założycieli Wolnych Związków Zawodowych w 1978 r. Jest w tym zdjęciu coś symbolicznego. Wyszkowski jest na nim jakby sumieniem nowego ruchu, który uważnie przypatruje się tym, którzy w przyszłości Solidarność powiodą do sukcesów, i tym, którzy bardzo szybko zaczną przygotowywać plan jej siłowego zmiążdżenia. Krzysztof Wyszkowski należał do pokolenia dzieci żołnierzy AK, którzy po wojnie musieli ukrywać swoją przeszłość. Te niedomówienia, jakiś klimat tajemnic przed dziećmi skłaniał go jakby na przekór do stawiania pytań o naturę powojennego systemu komunistycznego. W latach 60. pracował jako robotnik, operator spychacza, agent stacji benzynowej. Jednocześnie był człowiekiem, który niesłychanie dużo czytał i poszerzał swoją wiedzę. Gdy w 1977 r. zaczął współpracować z Komitetem Samoobrony Społecznej „KOR”, wielu przybyszów z Warszawy nie chciało wierzyć, że ma do czynienia z autentycznym robotnikiem. Do historii wszedł, będąc współzałożycielem Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Jak sam przypomina, już wtedy fascynowała go nazwa Solidarność. W końcu lat 70. nazwa nie przeszła, bo zbyt kojarzyła się z natrętnie lansowaną wówczas akcją: Solidarność Polski Ludowej z postępowymi ruchami antyimperialistycznymi w Trzecim Świecie. W sierpniowym strajku objawił się talent Wyszkowskiego jako twórcy strajkowego biuletynu, któremu nadał tytuł „Solidarność”. Na pewno wtedy ta nazwa zaczęła swoją karierę, której uwieńczeniem było przyjęcie jej jako nazwy Związku we wrześniu 1980 r. Rok 1981 spędził jako sekretarz w redakcji „Tygodnika Solidarność”. Zatrzymany w noc grudniową w Grand Hotelu w Sopocie zablęsnął efektowną ucieczką w sierpniu 1982 r. z miejsca internowania w Strzebielinku. Po latach stanie się jednym z najpoważniejszych postulatorów lustracji w obozie Solidarności. Bez skutku będzie przestrzegał swoich kolegów z dawnego ruchu oporu, że bez realnej lustracji autorytet generacji ludzi karnawału lat 1980–1981 ulegnie destrukcji. Przez wiele kolejnych lat będzie prowadził spór z Lechem Wałęsą o jego współpracę z SB. Wzywając dawnego lidera Solidarności do stanięcia w prawdzie, będzie obiektem wyzwisk i insynuacji ze strony Wałęsy i jego akolitów. Kilka razy zasądzone kary za rzekome zniesławienie Wałęsy postawią go wobec realnej groźby katastrofy finansowej. A jednak Wyszkowski nigdy nie uległ i nadal odważnie wzywał do pisania prawdy na temat przeszłości Lecha Wałęsy.

Piotr Semka

Stefan kardynał Wyszyński

Prymas Tysiąclecia. Ksiązę Kościoła. Swoją przygodę z karnawalem Solidarności prymas zaczął bardzo niefortunnie: od homilii na Jasnej Górze w czasie uroczystości Matki Boskiej Częstochowskiej, 26 sierpnia 1980 r. Gdy w całej Polsce szalały strajki, on głosił pochwałę rzetelnej pracy i wywodził, że jak wszyscy będą dobrze pracować, to się wszystko wyprostuje. Mówił o prymacie obowiązków nad prawami i występował przeciw radykalizmowi strajkujących. Można uzasadniać to realizmem politycznym, ale faktem jest, że prymas nie zrozumiał w pierwszym momencie cudu Solidarności, którego przecież wespół z Janem Pawłem II był sprawcą. Był niechętny gdańskim strajkom pewnie także dlatego, że bardzo nieufnie podchodził nie tylko do działań KOR, ale i aktywności środowisk „Znaku”, „Więzi” i Klubów Inteligencji Katolickiej, które reprezentowali eksperci – Tadeusz Mazowiecki czy Bohdan Cywiński.

Trudno się dziwić prymasowi. Doświadczył dojmującego osamotnienia w czasie trzyletniego internowania w latach 50. Później przeżywał gorycz i irytację, gdy jego program duszpasterski i oparcie się na Kościele ludowym kontestowane były przez zapatrzonych we Francję i Vaticanum II katolickich intelektualistów z Warszawy i Krakowa. Na szczęście pod koniec sierpnia 1980 r. nastroje były tak rozhuśtane, że zrewoltowana Polska uznała, że częstochowska wypowiedź prymasa to kolejna komunistyczna fałszywka. Telewizja, która kłamała dzień i noc, nie była w stanie wytłumaczyć ludziom, że tym razem przekazuje prawdę i tekst homilii nie został jakoś nadzwyczajnie zmanipulowany.

Po podpisaniu Porozumień Sierpniowych Kościół dość szybko odnalazł się w nowej sytuacji i tak jak za czasów Gierka stanowił zastępstwo reprezentacji społeczeństwa, tak i za Solidarności był mocnym elementem politycznej gry. Wyszyński przyjął hołd od delegacji z Lechem Wałęsą na czele i starał się, by doradcy przez niego namaszczeni byli przeciwwagą dla korowskich wpływów w ruchu związkowym. Że często walczył o swoje partykularne interesy, że włączany był jako gwarant niewygodnych kompromisów – owszem, ale w czasie karnawału prymas często zdawał się jedynym mężem stanu w rozwibrowanym towarzystwie.

Poza tym w swym nauczaniu prymas pozostawał wierny projektowi zawartemu w Jasnogórskich Ślubach Narodu i w programie Wielkiej Nowenny: nigdy nie głosił bezkrytycznej apoteozy naszej zbiorowości, wskazując na konieczność ciągłej pracy nad sobą i trzeźwo wykazując wady narodowe, z którymi należy walczyć. Kreował się nie tylko na lidera wspólnoty, wyraziciela jej aspiracji, ale i na wymagającego wychowawcę narodu.

W 1981 r. prymas umierał. Widział, jak wieńczy się dzieło jego Nowenny, jak naród powstaje i o sobie sam stanowi. Widział, że nowy czas przynosi nowe wyzwania. Na swego następcę namaścił sekretarzującego mu kiedyś Józefa Glempa, niespecjalnie charyzmatycznego kapłana. Czy było to fortunate? To już zupełnie inna historia.

Andrzej Horubała

7

Zamach 13 maja

Na wiadomość o strzałach oddanych przez Turka Ali Ağcę Polska dosłownie i w przenośni zamarła w przerażeniu. Kościoły Warszawy, Krakowa i setek tysięcy miejscowości w Polsce zapełniły się modlącymi, którzy dzień i noc ślali błagania do Boga o ocalenie najwspanialszego z Polaków. Była w tym lęku jakaś niedopowiedziana obawa, że Kreml mógł chcieć rozprawić się z papieżem Janem Pawłem II przed inwazją na Polskę. Już obraz Jana Pawła II na stoczniowej bramie pokazał, jak bardzo pontifex z Krakowa uznawany jest za tarczę przed atakiem milicji na protestujących. Obawa o chęć zgładzenia Jana Pawła II przez Moskwę prześladowała w 1981 r. prymasa Stefana Wyszyńskiego. „Strzały do Ojca Świętego na placu św. Piotra. Zawsze się tego bałem” – taka była reakcja polskiego interrexa na wieść o ataku. Ojciec Jan Góra, pisząc o swych uczuciach z tamtych dni, wskazywał: „było coś szatańskiego w tym zamachu”.

Zamach skłonił ludzi w całej Polsce do zbiorowych modłów o zdrowie papieża. Największą demonstracją sprzeciwu wobec zamachu był tzw. Biały Marsz w Krakowie. 17 maja 1981 r. wzięło w nim udział około 500 tys. uczestników. Hanna Marczak, działaczka NZZ z Akademii Rolniczej, tak tłumaczyła wtedy w telewizyjnej „Kronice Krakowskiej” idee demonstracji: „Wyruszy Biały Marsz. Dlaczego biały? – ta biel jest naszym krzykiem, naszym protestem przeciwko zalewającej świat ciemności (...), a białe stroje, białe flagi i kwiaty to symbole, których wymowie nie trzeba już oprawy. Nie szafujemy słowami na proporcach i transparentach, nie bierzmy ze sobą napisów ani hasel. Naszym protestem niech będzie milczenie, spokój i rozwaga”. Ten ascetyzm Białego Marszu wywoła najbardziej piorunujące wrażenie podczas krakowskiej demonstracji. Był on cichym protestem 500 tys. ludzi przeciw zamachowi na Ojca Świętego, ale także antycypacją obaw o siłowe zmiążdżenie zrywu Solidarności w przyszłości.

Piotr Semka

Zamach na papieża i pogrzeb prymasa

To były wydarzenia, które już na zawsze będą w polskiej historii związane i umieszczone obok siebie. Nasz trwający już od kilku miesięcy radosny i chwilami beztroski festiwal wolności i solidarności, dziś mówimy o nim „karnawał”, został 13 maja 1981 r. brutalnie przerwany przez zamach, jakiego na naszego papieża Jana Pawła II dokonał na placu Świętego Piotra nikomu wcześniej nieznanymi Ali Ağca, turecki terrorysta i bandyta.

– Zawsze się tego bałem – powiedział na tę wiadomość ciężko już chory prymas Stefan Wyszyński, u którego dwa dni wcześniej gościł osobisty sekretarz papieża ks. Stanisław Dziwisz. W kościołach całej Polski trwała modlitwa o zdrowie prymasa – teraz doszła do niej modlitwa o życie papieża. Prymas ogłosił przejmujący apel, aby wszystkie modlitwy, które wznoszono w jego intencji, skierować „ku Matce Chrystusowej, błagając o zdrowie i siły dla Ojca Świętego”. Apel został odtworzony z taśmy magnetofonowej 14 maja w warszawskiej archikatedrze św. Jana, a po południu na placu Zamkowym podczas mszy św. w intencji Jana Pawła II.

Istota tego wydarzenia nie mieściła się w głowie nikomu, a przynajmniej tak się wtedy wydawało – co jednak bezwzględnie zweryfikowały wydarzenia następnych lat, na czele z mordem na ks. Jerzym Popiełuszcze. We wszystkich kościołach biły dzwony, a w całej Polsce odprawiano msze św. Nikt nie wiedział, co mówić i co pisać, wiadomo było, że trzeba się modlić. W ogólnym porażeniu tą wiadomością nie było nawet jakichś szczególnych spekulacji poza tą jedną, chyba w naszych warunkach oczywistą, że musiały w tym maczać palce moskiewskie służby. Nikt raczej nie dawał wiary w oficjalne doniesienia o Szarych Wilkach, nieznanym wcześniej organizacji terrorystycznej, z której miałyby się wywodzić samodzielny zamachowiec.

Największego wstrząsu doznał Kraków, gdzie Jan Paweł II to był nie tylko „nasz papież”, ale także do niedawna „nasz biskup”, który ich chrzczył, bierzmował, udzielał ślubów i odprowadzał w ostatnią drogę. Już 17 maja w Krakowie przeszedł kilkusetosobny tłum młodych ludzi, którzy zainicjowali Biały Marsz. Nawet osławiony wówczas „Dziennik Telewizyjny” – nazywany powszechnie CPK (Codzienna Porcja Kłamstw) – pokazał Biały Marsz i dostarczał codziennie wiadomości z rzymskiej kliniki Gemelli, gdzie po licznych operacjach dochodził do siebie słabiutki jeszcze papież.

Tymczasem z Pałacu Biskupów Warszawskich dochodziły coraz bardziej dramatyczne wieści o stanie prymasa Wyszyńskiego, którego życie powoli dobiegało końca. Ostatni kapelan prymasa ks. Bronisław Piasecki prowadził dziennik tamtych dni: „Ks. Dziwisz zadzwonił 24 maja z kliniki Gemelli, aby połączyć Papieża z umierającym Prymasem – niestety, kabel telefoniczny nie sięgał do łóżka chorego. Dokonano więc niezbędnych instalacji i następnego dnia, 25 maja, ci dwaj wielcy Polacy, przyjaciele

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

i ojcowie narodu, obaj w ciężkim stanie, mogli rozmawiać – ze świadomością, że to już ostatni raz. I wzajemnie się błogosławić”.

Kardynał Stefan Wyszyński zmarł 28 maja nad ranem, w uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego. Pogrzeb odbył się w niedzielę 31 maja. Jan Paweł II transmisji z pogrzebu słuchał na szpitalnym łóżku. Napisał jednak homilię pogrzebową, którą odczytał kard. Franciszek Macharski. Na trumnie prymasa ktoś położył wiązkę przewiazaną szarfą „niekoronowanemu królowi Polski”. Wielu z nas odczuwało niepokój, bo Solidarność straciła duchowego opiekuna, nauczyciela, protektora i obrońcę.

Pogrzeb także był królewski: na placu Zwycięstwa, przy tym samym krzyżu, przy którym dwa lata wcześniej, 2 czerwca 1979 r., Jan Paweł II odprawił historyczną, niezapomnianą mszę św. Prymas zapisał wtedy w swoich notatkach: „wielkie dni Polski zaczynają się dziś”. Pamiętamy, że ledwie minął rok od tamtych chwil i Polacy budowali już Solidarność. Uroczystości pogrzebowe transmitowały – na żywo, czyli wyjątkowo bez cenzury – radio i telewizja. To była nowa jakość życia społecznego. To była Polska Solidarności.

Barbara Sułek-Kowalska

Zatrzymane miasto Lublin

Komunikacja jest swoistym krwioobiegami miasta i regionu. Bez niego społeczeństwa nie mogą normalnie żyć. Miasto dostaje wtedy zadyszki, która może skończyć się zawałem. Tak też było latem 1980 r. Komuniści zdawali sobie sprawę ze znaczenia zakładów komunikacyjnych. Kiedy nagle stali się świadkami kumulacji strajków w połowie lipca – zimny pot oblał towarzyszy z PZPR. 16 lipca o godz. 7.15 rozpoczął się strajk Lokomotywowni Pozaklasowej PKP w Lublinie. Pracownicy warsztatów, zatrudnieni przy naprawach, zgromadzili się w hali napraw lokomotyw spalinowych. Wybrano reprezentację strajkujących (ok. 800 osób). Obok postulatów płacowych (podwyżka pensji o 1,2–1,3 tys. zł dla wszystkich pracowników), ogólnej poprawy zaopatrzenia, obniżenia wieku emerytalnego do 55 lat dla maszynistów i pomocników (z powodu bardzo ciężkich warunków pracy), domagano się zrównania zasiłków rodzinnych z zasiłkami dla milicji i wojska. Pojawiły się także żądania zastąpienia dotychczasowej Rady Zakładowej Związku Zawodowego Kolejarzy reprezentacją wybraną oddolnie. Kolejarze żądali ponadto zakazu wstępu funkcjonariuszy MO i SB na teren PKP w czasie strajku oraz pisemnych gwarancji bezpieczeństwa dla strajkujących. W ciągu dnia stopniowo do strajku dołączały drużyny trakcyjne.

Początkowo pociągi z innych węzłów PKP dojeżdżały do Lublina, lokomotywy były przetaczane, doczepiane z drugiej strony, po czym pociągi udawały się w drogę powrotną. Strajkujący zauważyli, że w ten sposób strajk nie odnosi skutku. Ruch pociągów mogły bowiem, z niewielkimi opóźnieniami, zapewnić drużyny przybyłe z zewnątrz. Już następnego dnia strajk w Lokomotywowni rozszerzył się na cały Lubelski Węzeł Kolejowy. Pracę przerwali wszyscy – służba drogowa, wagonownia, ruch, służba sieci zasilania. Strajkowało już ok. 2 tys. osób. To był pierwszy w dziejach PRL strajk kolejarzy na taką skalę. Komuniści byli w szoku.

Ruch pociągów został wstrzymany. Po południu stacja Lublin została zablokowana przez 70 lokomotyw i składów wagonowych, ustawionych na kilkudziesięciu zwrotnicach. Wyłączono zasilanie elektryczne, pozamykano na klucz kabiny maszynistów, z elektrowozów powyjmowano klucze nastawnika. Unieruchomione lokomotywy stały się powodem szeroko rozpowszechnionej legendy, że kolejarze przyspawali lokomotywy do szyn – tego nie zrobili, ale trzeba przyznać, że skutecznie zablokowali węzeł kolejowy. W obawie przed ewentualnymi prowokacjami strajkujący powołali kilkunastoosobowe patrole do obrony zakładu, uzbrojone w ciężkie narzędzia. Szczególnie obawiano się o stojące na stacji towarowej cysterny z benzyną.

Tymczasem rozmowy z władzami Wschodniej DOKP nie dawały rezultatów. Władze przysłały drużyny lokomotywowe z innych węzłów, które na szczęście po rozmowach z Komitetem Strajkowym wracały do domów. W rejonie ul. Nowy Świat – w pobliżu Dworca Głównego PKP w Lublinie – zgromadzono siły milicyjne. Uczestnicy strajku byli

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

nagabywani w domach przez esbeków. 18 lipca strajkowała już niemal cała załoga węzła – 2390 osób (na 2410 zatrudnionych). Ruch pociągów pasażerskich od strony Dębli-
na był utrzymany tylko do stacji Motycz. Dalej transport odbywał się autobusami PKS. Obsługę kolejową trasy wiodącej do Lublina przejęli dęblińscy kolejarze.

19 lipca strajk zakończył się kompromisem. Zamiast 1200 zł podwyżki dla wszystkich, kolejarze otrzymali po 600 zł dla członków drużyn trakcyjnych i po 400 zł dla pracowników innych służb. Organizatorom strajku zagwarantowano bezpieczeństwo. Strajkujący ostrzegli, że wznowią strajk w razie represji wobec jego uczestników. O godz. 20 Węzeł PKP Lublin powrócił do pracy.

Trzeba jednak wspomnieć, że dzień wcześniej – 18 lipca, nastąpiła kulminacja protestów Lubelskiego Lipca 1980. W strajkach, obejmujących w tym dniu już 48 zakładów pracy, uczestniczyło ok. 20 tys. osób. Lublin został objęty strajkiem „powszechnym”. Oprócz blokady węzła PKP miasto od rana paraliżował strajk komunikacji miejskiej – to był cios w serce komunikacyjne miasta. Wskutek jej unieruchomienia załogi większości zakładów pracy zostały zdekompletowane. Zaopatrzenie miasta odbywało się transportem zastępczym. Rozmowy strajkujących kierowców z dyrekcją nie rozwiązały konfliktu. W godzinach popołudniowych pracę podjęło zaledwie 18 kierowców, a 30 innych nie dopuszczono do wyjazdu na trasę, blokując bramę wyjazdową, spuszczać wodę z chłodnic, powietrze z kół itp. Miasto stanęło. Władza znów była na kolanach. Strajki obejmowały kolejne zakłady pracy.

A zbliżał się 22 lipca, wielkie święto komunistów. Zbliżała się piękna katastrofa komunizmu. Miasto i region stanęły dosłownie i w przenośni.

Paweł Janowski

Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald”

To ugrupowanie zostało proklamowane 8 marca 1981 r. w reakcji na rocznicową sesję, której patronował NSZZ „Solidarność”, na temat zajęć studenckich w 1968 r. i późniejszej akcji wypychania naukowców żydowskiego pochodzenia na emigrację. Grupa inicjatorów ZP „Grunwald” spotkała się na ul. Koszykowej przed byłą siedzibą Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego z okresu stalinizmu. Uczestniczący w wiecu reżyser Bohdan Poręba, były działacz Stronnictwa Pracy Kazimierz Studentowicz oraz były szef obszaru górnośląskiego AK Zygmunt Walter-Janke trzymali w rękach tablice z nazwiskami zamordowanych bojowników polskiego podziemia niepodległościowego wraz z nazwiskami prokuratorów, którzy skazywali ich na śmierć. Bardzo wyraźnie podkreślano żydowskie pochodzenie części sędziów.

Stosunkowo szybko zauważono, że Grunwald dysponuje dosyć typowymi dla komunistycznych władz środkami działania. Ich broszury tropiące, kto w Solidarności miał stalinowskie korzenie lub żydowskie pochodzenie, były drukowane na sprzęcie, który był raczej poza zasięgiem opozycji. Ruch cieszył się sympatią partyjnego betonu i podejrzewano go o ścisłe relacje ze Służbą Bezpieczeństwa. Po 13 grudnia Grunwald nie został zdelegalizowany, zgłosił akces do popierającego ekipę Jaruzelskiego Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego i poparł wprowadzenie stanu wojennego. Popularność Grunwaldu była marginalna, choć ruchowi temu udało się przyciągnąć część kombatantów AK z podziemia narodowego, oczekujących – z racji pobytu w więzieniach w latach 1944–1956 – rozliczenia win tych osób, także pochodzenia żydowskiego, które przeszły drogę od marksizmu do wspierania Solidarności.

Piotr Semka

Zmiana języka

Sierpień zmienił też język. Gdzieś zniknął nomenklaturowy żargon o „realizacji zadań planowych” czy „dalszej intensyfikacji polepszania jakości życia”. Językoznawca prof. Andrzej Markowski, badacz języka używanego przez komunistyczne media, wskazuje na jego bezpośrednie podporządkowanie propagandzie:

PRL-owska nowomowa charakteryzowała się wyeksploatowaniem kilku kręgów tematycznych, na przykład wojskowości. Była więc „akcja”, „kampania”, „akcja żniwna”, „przyczółek małych kontaktów osobistych”, „oczyszczenie przedpola”, „notoryczny przeciwnik w batalii o lepszą przyszłość”. Ale oprócz tego oczywiście – „byliśmy, jesteście, będziemy” – taka trójca. Stosowało się stopień najwyższy w przymiotnikach, wszystko było „naj”. Jeżeli chodzi o to, co „my” chcemy, to chcemy tylko „polepszać”, bo przecież już jest dobrze. Było takie sformułowanie „o dalsze...”, nie żeby coś robić, tylko żeby dalej coś robić. Jakby coś robiło się od początku, to znaczy, że jest źle, więc nie jest źle, jest dobrze, ale chcemy, żeby było jeszcze lepiej.

Na tym tle jak haust świeżego powietrza objawił się Polakom język używany przez Jana Pawła II w czasie pielgrzymki do ojczyzny w 1979 r. Piękna, ale prosta polska składnia. Bez kalek z języka rosyjskiego. Wzmacniana silnym, niskim głosem o aktorskim wyrobieniu. Ten papieski język uniwersalnych wartości i polskich tradycji był dla Solidarności naturalnym i niekwestionowanym wzorem. Spontanicznie, z dobrą wiarą, mniej lub bardziej udolnie, naśladowanym.

Ludzie nieprzywykli do wystąpień publicznych próbowali tym językiem przemawiać. Niekiedy z powodzeniem, niekiedy nadrabiając braki w obyciu szczerością intencji. Popularnym wówczas autorem nowych i zarazem zadziwiających określeń był lider Solidarności Lech Wałęsa. Jego niekiedy dziwne lub zabawne konstrukcje językowe bawiły Polaków długie lata. Ale wtedy, w latach 1980–1981, były przyjmowane z entuzjazmem jako spontaniczne odświeżenie języka polityki. Określenie typu „mądrość etapu”, „plusy dodatnie, plusy ujemne” czy „wczoraj byłem najedzony, dzisiaj jestem głodny” przemawiały do wielomilionowych mas członków Solidarności swoją prostotą, zwięzłością czy obrazowym stylem.

Piotr Semka

Związek Zawodowy Funkcjonariuszy MO

W marcu 1981 r. milicjanci z Gdańska wysłali rezolucję do komisariatów w sprawie reformy Milicji Obywatelskiej. W maju zaś w jednej z katowickich komend MO w Szopienicach milicjanci z ponad setki katowickich komisariatów założyli Związek Zawodowy Funkcjonariuszy MO i sformułowali blisko 20 postulatów. W większości socjalnych, jednak jednym z najważniejszych, jaki wówczas podnosili, było nieangażowanie przez władze komunistyczne funkcjonariuszy MO do rozgrywek politycznych. Pod koniec miesiąca ruch rozprzestrzenił się na cały kraj. Na 49 województw w 40 powstały Tymczasowe Komitety Założycielskie NSZZ Funkcjonariuszy MO. Tymczasowym przewodniczącym związku został sierżant Ireneusz Sierański. W czerwcu powstał Ogólnopolski Komitet Założycielski ZZ Funkcjonariuszy MO. Na przewodniczącego wybrano porucznika Wiktora Mikusińskiego z Komendy Stołecznej MO. Rozpoczęto rozmowy z Komitetem Koordynacyjnym Rady Ministrów ds. Umocnienia Praworządności i Przestrzegania Porządku Publicznego w sprawie uznania związku. Komuniści jednak nie wyrażali zgody na jego rejestrację.

Sceptycznie do powstałych związków MO podeszły władze NSZZ „Solidarność”, uważając, iż może to być prowokacja władz. Tym bardziej że wiele związków zawiązywało się podczas zebrań zakładowych organizacji PZPR. – Działo się tak dlatego – jak mówił były przewodniczący ZZ FMO Wiktor Mikusiński – że było to wówczas jedyne miejsce, gdzie funkcjonariusze mogli się spotkać w takiej masie. Jak wspomina Mikusiński, absolwent prawa na Uniwersytecie Warszawskim, on i nowi ludzie szli po to do MO, by ścigać bandytów, a nie działaczy Solidarności.

Funkcjonariusze chcieli odwołać się do przedwojennej etyki zawodu i nie pozwalać na to, by milicja była wykorzystywana do celów politycznych. Do postulatów socjalnych i ekonomicznych zaczęto dodawać żądania o charakterze wolnościowym. Znajdowały one oddźwięk szczególnie wśród młodych funkcjonariuszy, którym przeszkadzała cenzura. Najbardziej jednak młodych uwierało ograniczanie im prawa do udziału w uroczystościach religijnych.

Te i inne postulaty funkcjonariuszy nie zyskiwały akceptacji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Kierownictwo MSW wprawdzie przychodziło na rozmowy ze związkowcami, również jego późniejszy szef Czesław Kiszczyk, ale zażądano od milicjantów rezygnacji z nazwy „związki zawodowe”. Na to jednak związkowcy się nie zgodzili, a władze zaczęły ich represjonować. Ministerstwo podjęło decyzję o „wprowadzeniu stanu podwyższonej gotowości”, co oznaczało zakaz oddalania się funkcjonariuszy od swoich jednostek. W praktyce był to rodzaj stanu wyjątkowego w MO. Komenda Główna MO podjęła decyzję o zwolnieniu blisko 100 funkcjonariuszy, w tym przewodniczącego

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

Ł

M

N

O

P

R

S

T

U

W

Y

Z

Ż

związku Wiktora Mikusińskiego. Represje wobec milicjantów spowodowały, że w ich obronie stanęło kierownictwo NSZZ „Solidarność”. W wielu regionach „S” przydzielono im pomieszczenia, umożliwiając w ten sposób nieskrępowaną działalność. Zapewniono im również opiekę prawną. Związek Zawodowy Funkcjonariuszy wystąpił w 1981 r. do sądu o rejestrację. Sąd jednak zawiesił rozpatrywanie wniosku, a wielu funkcjonariuszy zaczęło odchodzić ze związku. Nie mały na to wpływ miało zastraszanie w jednostkach MO. Również przekonywanie, że aktywiści związku są „agentami Solidarności”. Działacze ZZ FMO w grudniu 1981 r., w proteście przeciwko niepodejmowaniu z nimi rozmów, podjęli głódówkę w Stoczni Szczecińskiej, jednak bez rezultatu.

Z chwilą wprowadzenia stanu wojennego kilkudziesięciu funkcjonariuszy internowano. Dziesiątki wyrzucono z pracy bądź przesunięto na niższe stanowiska. Innych odesłano na wcześniejsze emerytury. Wielu jednak z wyrzuconych milicjantów podjęło działalność w podziemnych strukturach NSZZ „Solidarność”. W III RP powołano Stowarzyszenie Funkcjonariuszy MO i ich Rodzin Represjonowanych w PRL.

Mateusz Wyrwich



Żeby Polska była Polską

Myśl, by napisać o polskich sprawach utwór poważniejszy od mojej rutynowej twórczości, pojawiła się po robotniczych protestach w Radomiu i Ursusie w czerwcu 1976 r. Reakcja komunistycznej władzy na te wydarzenia była szczególnie drastyczna – brutalna przemoc i dzika propaganda. A działo się to po kilku latach złudzeń, że obyczaje Gierka są bardziej europejskie, odbiegają od sowieckich wzorów. Piętnowanie „wichrzycieli” i „warchołów” na obowiązkowych wiecach to był koszmar. Obserwując w TV spędzonych pod przymusem ludzi i stojącą na trybunie szajkę właścicieli Peerelu, trudno było sobie poradzić psychicznie. Szary tłum wystraszonych ludzi wbijających wzrok w ziemię, a na podeście władza ubliżająca Polakom, którzy się ośmielili protestować przeciwko podwyżkom cen żywności. Oni stali na biało-czerwonym tle, w łopocie flag, przy dźwiękach orkiestry dętej i łgali jak najęci, a ludzie stali w błocie i widzieli, że ukradziono im nie tylko godne życie, ale także narodowe symbole. Taki był bezpośredni impuls, by sięgnąć do historii i przywołać wszystkie pokolenia od Kraka, Lecha i Piasta na świadków naszego upokorzenia. Zwrotki o przeszłości, refren o przyszłości „żeby Polska była Polską!” budziły emocje dotyczące terażniejszości, ówczesnej terażniejszości. Zgodę cenzury na publiczne wykonanie dostałem w 1977 r. Premiera odbyła się w restauracji Melodia. Muzykę skomponował Włodzimierz Korcz. Pieśń jako finał przedstawienia wykonywał zespół w składzie: Krystyna Janda, Marlena Miarczyńska, Piotr Fronczewski, Kazimierz Kaczor, Jacek Kaczmarski, Stanisław Klawe, Krzysztof Jaroszyński, z oczywistym udziałem autora. Dość szybko władza zorientowała się, że utwór jest groźny i Kabaret pod Egidą zlikwidowano. Jak napisała w raporcie agentka SB „Zadra”: „Nastrój, jaki wprowadza finał, sugeruje dorzucenie oświetlenia z karbidówek i mamy okupację gotową”. To była trafna recenzja. O to mi właśnie chodziło. Pieśń rozeszła się na nielegalnie nagrywanych taśmach. Kiedy w Sierpniu '80 powstała Solidarność, dzięki radiowęzłom fabrycznym pieśń stała się spontanicznym hymnem Solidarności. Hymn dotarł również do prezydenta Ronalda Reagana, który pod tytułem „Let Poland be Poland” w styczniu 1982 r. zrobił show popierający Solidarność. Program obejrzało 200 milionów widzów na całym świecie.

Jan Pietrzak

B E R A

H J P S

K T W M

NDY 0 AUTOBRACH

BARBARA FEDYSZAK-RADZIEJOWSKA – ur. w 1949 r. w Chorzowie. Etnograf, absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego, doktor socjologii. Autorka badań i prac poświęconych społecznościom wiejskim, a zwłaszcza rolnikom, ich etosowi pracy, postawom wobec UE, przedsiębiorczości wiejskiej oraz kapitałowi społecznemu polskiej wsi. Od 1980 r. członek NSZZ „Solidarność”. W latach 1982–1988 kierowała pracami grupy socjologów, którzy w ramach podziemnej struktury Solidarności prowadzili dla RKW i TKK analizy stanu nastrojów działaczy niejawnych komisji zakładowych NSZZ „S”. W latach 2007–2011 członek Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej, od kwietnia 2010 r. jego przewodnicząca. Członek Rady ds. Wsi i Rolnictwa przy prezydencie RP Lechu Wałęsie oraz Lechu Kaczyńskim. Odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

ANDRZEJ HORUBAŁA – ur. w 1962 r. w Warszawie. Absolwent Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Od grudnia 1980 r. przewodniczący NZS Wydziału Polonistyki UW, współzałożyciel biuletynu Centrum Informacji Akademickiej NZS UW (CIA), po 13 grudnia 1981 r. – aktywny w strukturach Solidarności, współzałożyciel Akademickiego Ruchu Samoobrony (ARS), współpracownik, a później członek redakcji tygodnika MKK „Wola”, autor „Kultury Niezależnej”. Po 1989 r. związany z „Tygodnikiem Literackim” i magazynem „Debata”. W latach 1994–1996 szef widowisk artystycznych i rozrywkowych w TVP 1.

Pisarz, krytyk, producent telewizyjny. Autor czterech powieści i pięciu tomów szkiców krytycznych, twórca wielu popularnych programów telewizyjnych. W 1999 r. wyróżniony przez ministra kultury i sztuki Andrzeja Zakrzewskiego odznaką „Zasłużony Działacz Kultury” za aktywność w podziemnym ruchu wydawniczym i kulturalnym. W 2017 r. odznaczony przez prezydenta Andrzeja Dudę Krzyżem Wolności i Solidarności oraz Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

PAWEŁ JANOWSKI – ur. w 1968 r. w Połczynie-Zdroju. Historyk, teolog, pracownik naukowy KUL, pracował m.in. w Instytucie Leksykografii (wydawca 20-tomowej „Encyklopedii katolickiej”) i Ośrodku Badań nad Polonią i Duszpasterstwem Polonijnym. Był kierownikiem Działu Historii Zakonów i Zgromadzeń Zakonnych w rosyjskiej „Encyklopedii katolickiej”. Jest autorem artykułów naukowych, kilku książek i kilkuset haseł, m.in. do „Encyklopedii katolickiej”, „Encyklopedii politycznej”, „Encyklopedii Gutenberga” i „Encyklopedii »Białych Plam«”. Członek Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” i Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Był także wiceprzewodniczącym Komisji Uczelnianej NSZZ „Solidarność” KUL i członkiem Zarządu Krajowej Sekcji Nauki NSZZ „Solidarność”.

JAN STEFAN PIETRZAK – ur. się w Warszawie na Targówku w 1937 r. Twórca i lider dwóch satyrycznych kabaretów: studenckiego w Hybrydach (lata 1960–1967) i Kabaretu pod Egidą (od 1967 r.). Autor piosenek, monologów, felietonów oddających polskie nastroje i realia ostatniego półwiecza. Przenikliwy komentator społecznych i politycznych przygód społeczeństwa przełamującego zniewolenie komunistycznego ustroju.

Jego patriotyczna pieśń „Żeby Polska była Polską” stała się w 1980 r. spontanicznym hymnem Solidarności. Powiedzonka, refreny, myślowe skrótory pana Janka zapadły w pamięć milionom Polaków. Wprowadził nowy, niestosowany wcześniej styl prowadzenia kabaretowej narracji, styl, który znalazł licznych naśladowców. Od Komisji Krajowej „S” otrzymał tytuł „Zasłużony dla Solidarności”. W 2009 r. został odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. W 2011 r. powołał fundację Towarzystwo Patriotyczne, wręczającą nagrody „Żeby Polska była Polską”. Rok później został wybrany przez czytelników Człowiekiem Roku „Tygodnika Solidarność”, a w 2014 r. – Człowiekiem Roku Klubów „Gazety Polskiej”.

PIOTR SEMKA – ur. się w 1965 r. w Gdańsku. Historyk, absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Od początku stanu wojennego zaangażowany w działalność niepodległościową i solidarnościową. Współtwórca i autor tekstów podziemnych czasopism i audycji radiowych. Członek Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Po 1989 r. zaangażowany w publicystykę prasową, a także aktywny dziennikarz telewizyjny i radiowy. Prowadził wiele audycji o charakterze społeczno-politycznym. Współautor książki „Lewy czerwcowy”, autor publikacji: „Wojna światów”, „Obrazki z wystawy”, „My, reakcja”, „Lech Kaczyński. Opowieść arcypolska”, „Za, a nawet przeciw. Zagadka Lecha Wałęsy”.

BARBARA SUŁEK-KOWALSKA – ur. w 1951 r. w Słupsku. Absolwentka Uniwersytetu Gdańskiego, dziennikarka, publicystka i nauczyciel akademicki. Pracowała w tygodniku „ITD” (usunięta po weryfikacji dziennikarzy w 1982 r.), tygodniku „Zwierciadło”, podziemnej Niezależnej Agencji Informacyjnej, „Tygodniku Gdańskim”, „Tygodniku Solidarność”, współtworzyła tygodnik „Idziemy”, gdzie w latach 2005–2020 była sekretarzem redakcji; od 2020 r. pisze dla „Tygodnika TVP”. W latach 80. współpracowała z Edmundem J. Osmańczykiem przy tworzeniu jego „Encyklopedii ONZ i Spraw Międzynarodowych”. W 1987 r. pomysłodawczyni pierwszej gazety parafialnej „Wiadomości Parafialne” na warszawskim Ursynowie. W latach 90. zaangażowana w ruch niezależnych gazet lokalnych. Wykładowca praktyki dziennikarskiej na Uniwersytecie Warszawskim i w katolickim Ośrodku OCIPE. Współautorka „Poradnika dla wydawców i dziennikarzy prasy lokalnej” oraz skryptu „Podstawy warsztatu dziennikarskiego”. Aktywna w dialogu chrześcijańsko-żydowskim, współtworzyła Polską Radę Chryścjan i Żydów (1991–2013), członek Komitetu Episkopatu Polski ds. Dialogu z Judaizmem, w 2001 r. doradca premiera Jerzego Buzka.

WOJCIECH TOMCZYK – ur. w 1960 r. w Warszawie. Dramatopisarz, scenarzysta, a także producent filmowy i telewizyjny. Absolwent Wydziału Wiedzy o Teatrze warszawskiej PWST oraz Studium Scenariuszowego łódzkiej Szkoły Filmowej. Członek Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Autor sztuk teatralnych (m.in. „Marszałek”, „Norymberga”,

„Wampir”) oraz wielu scenariuszy do filmów fabularnych, dokumentalnych i seriali. Wielokrotnie nagradzany. Niekarany.

MATEUSZ WYRWICH – ur. w 1951 r. w Białogardzie. Politolog, dziennikarz, pisarz. Absolwent Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. W Solidarności od 1980 r. W 1981 r. dziennikarz działu informacyjno-związkowego „Tygodnika Solidarność” i wiceprzewodniczący Komisji Zakładowej „S” w tym tygodniku. W latach 80. aktywny publicysta w podziemnych wydawnictwach, w tym dziennikarz, redaktor „Tygodnika Wojennego” i koordynator jego filii w kraju. Współzałożyciel, redaktor i dziennikarz, a także koordynator filii w latach 1985–1989 dwutygodnika „Samorządna Rzeczpospolita”. W 1989 r. uczestnik obrad Okrągłego Stołu w podzespole ds. samorządu terytorialnego. W latach 1989–1993 wicedyrektor w Urzędzie Rady Ministrów. Od 1990 r. publicysta i dziennikarz, autor telewizyjnych reportaży społeczno-historycznych, również książek z zakresu najnowszej historii Polski. Odznaczony odznaką „Zasłużony Działacz Kultury” (1999), Srebrnym Krzyżem Zasługi (2007), Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2011, nie przyjął). W 2018 r. uhonorowany Krzyżem Wolności i Solidarności.



A F K O U

B G L P W

DROGA KU WOLNOŚCI

C H Ł R Y

D I M S Z

E J N T Ź



*Rok 1945 przyniósł upragniony koniec wojny,
jednak Europa Środkowo-Wschodnia,
w tym Polska, nie mogła świętować.
Okupację niemiecką zastąpiła bowiem sowiecka.*

*The year 1945 brought about the longed-for
end of the war, but Central and Eastern Europe,
including Poland, could not celebrate. The German
occupation was replaced by the Soviet one.*



Nie poddaliśmy się, przecież walka o wolność to nasza tradycja. Nawet jeśli to walka straceniowa. Powojenne, krwawo zdławione, podziemie antykomunistyczne liczyło ponad sto tysięcy osób.

We didn't give up – after all fighting for freedom is a part of our tradition. Even if the fight is doomed to fail. The post-war anti-communist underground, although violently suppressed, amounted to over one hundred thousand people.

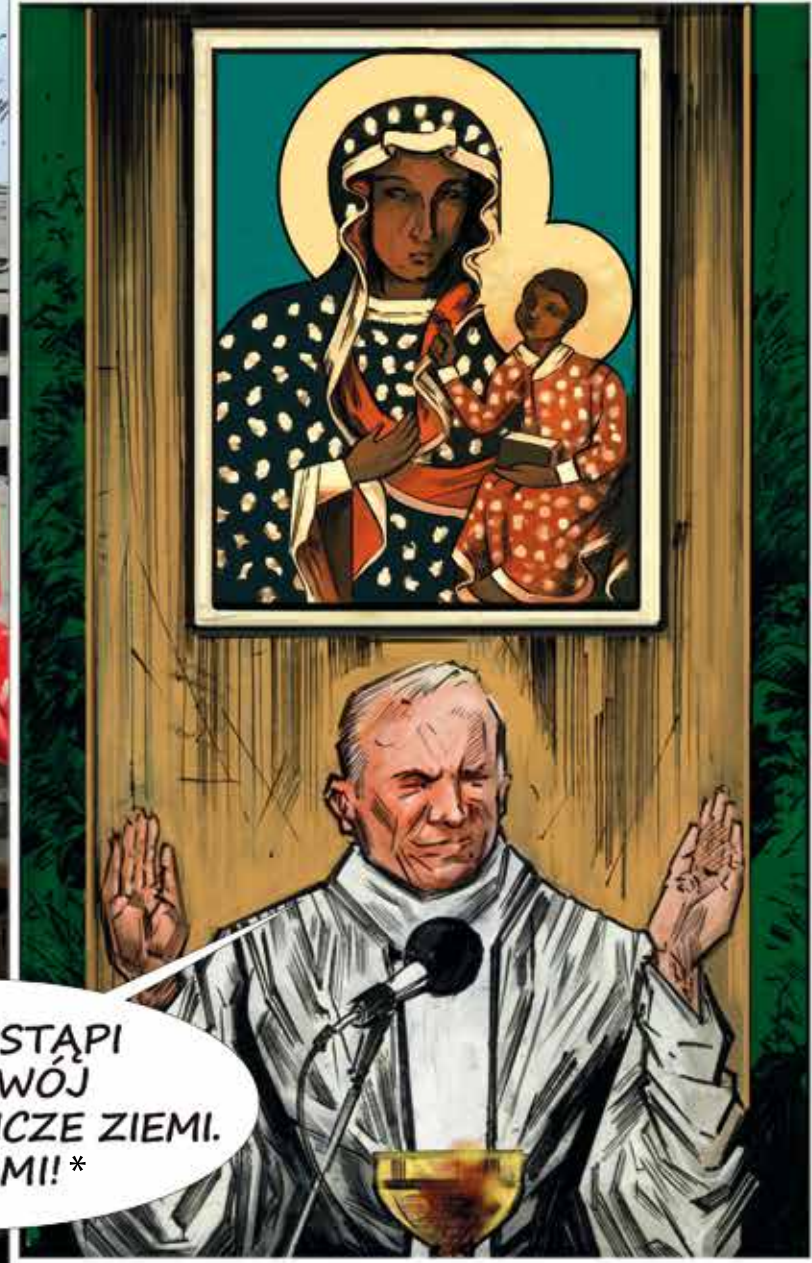


„JESZCZE
POLSKA
NIE ZGINEŁA,
KIEDY MY
ŻYJEMY”.*

* "Poland is not dead yet, when we live..."

Jednak nigdy nie zapomnieliśmy o tym, że chcemy być wolni. W Poznaniu w 1956 r. i na Wybrzeżu w 1970 r. komunistyczna władza strzelała do protestujących robotników. Antyrządowe protesty odbywały się też w całym kraju w 1968 r. oraz w Radomiu i Ursusie w 1976 r.

We never forgot that we wanted to be free. During the events in Poznań in 1956 and on the Baltic Coast in 1970, the communist authorities ordered to shoot at protesting workers. Anti-government protests also took place throughout the country in 1968 as well as in the cities of Radom and Ursus in 1976.



** Let your spirit descend and renew the face of the land. This land!*

Wybór Karola Wojtyły na Papieża przywrócił nam nadzieję, a pierwsza pielgrzymka pokazała potęgę zwalczanego przez komunistów Kościoła.

The election of Karol Wojtyla as Pope gave us back hope, and his first pilgrimage showed the power of the Church fought against by the communists.



Zyskaliśmy siłę, która pomogła nam ponownie przeciwstawić się władzy. Polityczne zwolnienie Anny Walentynowicz, prostej suwnicowej ze Stoczni Gdańskiej, spowodowało masowe protesty w całym kraju.

We gained strength that helped us to resist the communist authorities again. The dismissal of Anna Walentynowicz, a simple gantry crane operator from the Gdańsk Shipyard, from work for political reasons, caused mass protests throughout the country.



*Byliśmy razem i byliśmy
zdeterminowani, by wygrać.*

*We were united and we were
determined to win.*



Nasi liderzy byli silni siłą milionów Polaków, a solidarność międzyludzka zrodziła Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność.”

Our leaders were empowered by the strength of millions of Poles, and this unique bond gave birth to the Independent Self-Governing Trade Union "Solidarity."



DZIEŃ DOBRY,
POPROSZĘ „TYGODNIK
SOLIDARNOŚĆ”.*

* Good Morning. Could I have "Tygodnik Solidarność", please?

Dzięki wywalczonej wolności
znów mogliśmy choćby przez chwilę
poczuć się jak we własnym domu...
Odzyskałiśmy m.in. wolność słowa.

Thanks to the won back freedom,
we were able to feel at home for
a moment again... We regained the
freedom of speech, among others.

13 GRUDNIA 1981

13 DECEMBER 1981

TO WASZ KONIEC!
JESTEŚ ARESZTOWANY,
SOLIDARUCHU.*

* This is your end! You are under arrest Solidarity Guy!

Jednak po kilkunastu miesiącach
narzucona władza ponownie
rozpętała wojnę z narodem.
Internowano blisko 10 tys. osób...

However, after a dozen or so months,
the imposed authority started a war
with the nation again. Nearly 10,000
people were interned...



*...a kilkadziesiąt straciło życie, w tym
9 górników z Kopalni „Wujek” na Śląsku.*

*...and several dozen lost their lives, including
9 miners from the “Wujek” coal mine in Silesia.*



NIE DAJ SIĘ
ZWYCIĘŻYĆ ZŁU,
ALE ZŁO DOBREM
ZWYCIĘŻAJ.*

** Do not be overcome by evil, but overcome evil with good.*

Mordowano również naszych duchownych liderów, nawet jeśli głosili pokojowe hasła, jak bł. ks. Jerzy Popiełuszko, kapelan robotników z warszawskiej huty.

Our clergy leaders were also murdered, even if they preached peace, e.g. blessed Father Jerzy Popiełuszko, a chaplain of workers from the Warsaw steel mill.



STÓJ, BO STRZELAM!*

* Stop or I will shoot!

Mijały lata, a nasz zapał do podziemnej działalności nie stygnął...

Years passed by but our enthusiasm for the underground activity did not wear off...



** Vote for Solidarity!*

*W końcu nasza niezłomność zmusiła
komunistów do zorganizowania częściowo
wolnych wyborów. Znowu byliśmy solidarni.
Znowu zwyciężyliśmy.*

*In the end our steadfastness forced
the communists to organize partially
free elections. We were united again.
We won again.*

SIERPIEŃ 2020,
40. URODZINY
SOLIDARNOŚCI

AUGUST 2020
40TH BIRTHDAY
OF SOLIDARITY



*Fala wolności zainicjowana przez
Solidarność rozlała się po całej
Europie Środkowo-Wschodniej. Dziś
wspólnie z nami możecie świętować
40. urodziny najważniejszego
związku zawodowego w historii świata...*

*The wave of freedom initiated by
Solidarity spread throughout all of
Central and Eastern Europe. Today
– together with us – you can celebrate
the 40th birthday of the most
important trade union in world history...*



40
Solidarność

DROGA KU WOLNOŚCI

GRAFIKI „Droga ku wolności”
TYSOL Spółka z o.o. ©

AUTOR GRAFIK „Droga ku wolności”
Krzysztof Brynecki / TYSOL sp. z o.o.

AUTOR OPISÓW GRAFIK „Droga ku wolności”
Mateusz Kosiński / TYSOL sp. z o.o.

TŁUMACZENIE OPISÓW GRAFIK „Droga ku wolności”
Maria Chojnacka / TYSOL sp. z o.o.



EGZEMPLARZ BEZPŁATNY



DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

WSPÓŁZAŁOŻYCIEL IDS



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

NSZZ
Solidarność
KOMISJA KRAJOWA

